

STEPHEN E. AMBROSE

AUTOR „D-DAY” I „KOMPANII BRACI”

— MOST —
PEGASUS

6 CZERWCA 1944



„Najlepsza wojenna relacja, jaką kiedykolwiek czytałem.”
Noland Mergaard, THE DENVER POST

WYDAWNICTWO
MAGNUM

STEPHEN E. AMBROSE

MOST

6 CZERWCA 1944

Wstęp

W 1984 roku, w czterdziestą rocznicę D-Day, Brytyjczycy stanęli przed trudnym wyborem - gdzie zorganizować główne uroczystości z tej okazji. Amerykanie zdecydowali się na plaże Omaha i Utah, na których wylądował ich desant w Normandii. Brytyjczycy skłaniali się początkowo ku podobnemu rozwiązaniu; mogli zebrać się w Lion--

Sur-Mer, w pobliżu plaży Sword, albo w Arromanches, opodal plaży Gold. Zwłaszcza Arromanches wydawało się odpowiednim miejscem, gdyż tam właśnie podczas wojny Brytyjczycy wzniesli sztuczne nabrze-

że; było ono triumfem brytyjskiej pomysłowości, techniki i przedsiębiorczości.

Główna uroczystość odbyła się jednak w niewielkiej osadzie Ranville, oddalonej o około 10 kilometrów od morza, gdzie 6 czerwca 1944 roku znajdowała się kwatera polowa dowództwa brytyjskiej 6 Dywizji Powietrznodesantowej. Na uroczystości przyjechał książę Karol, który wziął też udział we mszy na miejscowym cmentarzu wojskowym. Zgromadziły się setki weteranów, tysiące widzów, a tak-

że fotoreporterów, dziennikarzy i ekip telewizyjnych.

Weterani przedefilowali przed księciem Karolem, który jest ho-norowym dowódcą pułku spadochronowego. Przy dźwiękach woj-skowych orkiestr maszerowali w beretach na głowach, z orderami na dumnie wypiętych piersiach, i ze łzami w oczach. Mieszkańcy Normandii, mężczyźni i kobiety, wylegli tłumnie na ulice, wiwatując i pła-cząc ze wzruszenia.

Książę Karol przybył do Ranville na pokładzie samolotu; przelatywał nad niewielkim mostem na kanale Caen, znajdującym się dwa kilometry od osady. To właśnie ten most nocą z 5 na 6 czerwca 1944

roku opanowała kompania szybowcowa 6 Dywizji Powietrznodesantowej w trakcie niespodziewanego ataku. Pozostałe formacje dywizji, które wylądowały na spadochronach lub szybowcach w okolicy, przez cały dzień odpierały zaciekle niemieckie kontruderzenia.

W Ranville oraz w pobliżu mostu na kanale Caen w czterdziestą rocznicę tego starcia zorganizowano wiele specjalnych atrakcji, w tym zrzut plutonu spadochroniarzy z pułku spadochronowego - weteranów walk w Irlandii Północnej i na Falklandach. Elżbieta II wpłynęła na wody kanału Caen na pokładzie królewskiego jachtu *Britannia* i oddała honory, gdy jacht przepływał pod uniesionym mostem.

Nie był to zwyczajny most, a walka o niego nie była zwyczajną potyczką. Od opanowania tego strategicznego punktu zależało powodzenie całej inwazji i Brytyjczycy wykazali się nadzwyczajnym

męstwem. Most ten - noszący dziś nazwę Pegasus, od Pegaza będącego emblematem brytyjskich wojsk powietrznodesantowych - stał się głównym miejscem uroczystości rocznicowych.

Mosty zawsze odgrywały w wojnach kluczową rolę. Wynik bitew i kampanii często zależał od tego, komu udało się je utrzymać, zdobyć czy zniszczyć.

Podczas II wojny światowej w walkach w północno-zachodniej Europie szczególny rozgłos zyskały trzy mosty. Pierwszym z nich był

kolejowy most Ludendorffa na Renie w Remagen. Siódmego marca 1945 roku porucznik Karl H. Timmermann przedarł się przez ten zaminowany przez Niemców most na czele swojej kompanii z amerykańskiej 9 Dywizji Pancерnej. Był to jeden z najbardziej śmiałych wojennych wyczynów, który doczekał się upamiętnienia w książkach oraz filmach; najlepszy opis akcji zawiera *Most w Remagen* Kena He-chlera [na podstawie tej książki nakręcono film, wyświetlany w Polsce pod tytułem *Most na Renie*].

Drugi ze sławnych mostów znajdował się w Arnhem. Był on lepiej znany w Wielkiej Brytanii niż w Stanach Zjednoczonych aż do roku 1974, kiedy Cornelius Ryan opublikował książkę *O jeden most za daleko*. Wyczyny pułkownika Johna Frosta i jego spadochroniarzy w Arnhem zyskały rozgłos po obu stronach Atlantyku.

Trzeci z mostów, Pegasus, nadal cieszy się sławą, głównie w Zjednoczonym Królestwie, choć występuje w filmowej wersji *Najdłuższego dnia* według książki Ryana i w każdym z poważniejszych opracowań poświęconych inwazji w Normandii. Niniejsza książka stanowi pierwszy pełny opis tego wojennego epizodu.

Temat zafrapował mnie po raz pierwszy 7 czerwca 1981 roku.

Znalazłem się przy moście Pegasus wraz z grupą amerykańskich weteranów, którzy wraz z żonami objeżdżali pola bitew II wojny światowej. Oglądaliśmy most, wychwalaliśmy kunszt pilotów szybowców, odwiedziliśmy miejscowe muzeum. Pełniłem rolę przewodnika i gdy wracałem ze wszystkimi do autokaru - byliśmy jak zwykle spóźnieni

- zatrzymał mnie pewien siwy, wsparty na lasce starszy mężczyzna, pytając:

- Czy któryś z was jest z brytyjskiej 6 Dywizji Powietrznodesantowej?

- Nie, proszę pana - odpowiedziałem. - W tym autobusie są sami Amerykanie.

- W takim razie przepraszam - odparł.

- Nic nie szkodzi. Czujemy się dumni z tego, że jesteśmy Amerykanami. A czy pan był w 6 Powietrznodesantowej?

- Tak, byłem - odparł. - Jestem major John Howard.

- Coś podobnego! Coś podobnego! - wykrzyknąłem, ściskając mu dłoń. - To wielki zaszczyt poznać pana.

Zapytał wtedy, czy „moi chłopcy” nie chcieliby wysłuchać krótkiej opowieści o tym, co zdarzyło się w tej okolicy. Zapewniłem go, że tak. Zebraliśmy się wokół majora Howarda, który stanął nad kanałem, zwrócony plecami do mostu. Niemal wszyscy uczestnicy naszej wycieczki przepadali za słuchaniem wojennych relacji. I potem zgodnie stwierdziliśmy, że jeszcze nigdy nie mieliśmy okazji słuchać tak dobrze opowiedzianej. Rok później Howard już oficjalnie uczestniczył ze mną w objeździe z kolejną grupą, opowiadając więcej szczegółów o wydarzeniach z 6 czerwca 1944 roku.

Przyjechał znów w 1983 roku. Gdy autokar w drodze do Paryża zatrzymał się przed dawną kwaterą Rommla w jednej z kawiarni, Howard stanął przed budynkiem i energicznie zasalutował. I wtedy właśnie pomyślałem, aby opisać historię mostu Pegasus.

W owym czasie ukończyłem wieloletnie prace badawcze nad życiem Dwighta D. Eisenhowera. Wcześniej przestudiowałem ponad dwa miliony dokumentów, na podstawie których sporządziłem liczący z górą dwa tysiące stron rękopis. Siłą rzeczy przez ten czas patrzyłem na II wojnę światową i potem na okres Zimnej wojny oczami naczelnego dowódcy i prezydenta USA. Chciałem, by moja następna książka była zupełnie odmienna - jeśli chodzi o źródła, rozmiary i perspektywę.

Pegasus idealnie pasował do tego zamiaru. Akcja jednej kompanii nie została utrwalona w zbyt wielu dokumentach, a ponieważ wywołuje żywe wspomnienia - mogłem bazować na ustnych relacjach weteranów w większym stopniu niż na spisanych świadectwach. Ponadto opis jednego dnia działań kompanii musiał się okazać znacznie krótszy od opisu 78 lat życia Ike'a Eisenhowera. Wreszcie praca nad uwiecznieniem walk o most Pegasus pozwalała zejść do poziomu dowódcy kompanii i jego żołnierzy - czyli na pole bitwy.

To, na czym mi zależało, najlepiej określił Russ Weigley we wstę-

pie do swojej znakomitej książki *Eisenhower's Lieutenants*. Napisał:

„Od dawna budzi we mnie niepokój tendencja w «nowej» historii militarnej po 1945 roku (...) do unikania wchodzenia w epicentrum walk. Wynika to po części z próby nadania naukowej i intelektualnej szacowności współczesnej historii militarnej. (...) A przecież to przygotowywanie i prowadzenie wojen jest głównym celem armii; w przypadku historyka wojskowości owo unikanie próby ognia sprawia, że napisane dzieło staje się groteskowo niepełne”. Po tych wszystkich latach spędzonych na studiowaniu biografii Ike'a siła tego stwierdzenia szczególnie do mnie przemówiła, ponieważ sztaby Eisenhowera znajdowały się z dala od huków dział, ognia walk, uczucia strachu o życie.

Zaintrygowała mnie także konkluzja Weigleya: „Jeden dzień w bo-ju często mówi więcej o zasadniczej wartości armii niż wizerunek całego pokolenia czasów pokoju”. To święta prawda, pomyślałem, ten wniosek można uogólnić: jeden dzień bitwy mówi nie tylko o wartości armii, ale i całego narodu. I dlatego historia Johna Howarda 1

żołnierzy kompanii D pułku Ox i Bucks ukazując prawdziwą wartość

armii brytyjskiej i narodu brytyjskiego.

Zawsze byłem pod wrażeniem dzieł S.L.A. Marshalla, a zwłaszcza sposobu, w jaki odtwarzał wydarzenia na polu bitwy na podstawie rozmów z jej uczestnikami. Marshall twierdzi, że historyk wojskowości musi rozmawiać z żołnierzami zaraz po walce. W moim przypadku było to oczywiście wykluczone, a jednak uważam, iż u uczestników inwazji na Normandię D-Day pozostanie na zawsze w pamięci. Mo-gę się posłużyć przykładem Ike'a, który wprawdzie spędził dwie kadencje na stanowisku prezydenta Stanów Zjednoczonych, lecz zawsze wspominał D-Day jako swój największy dzień; zapamiętał go ze zdumiewającymi szczegółami.

Wywiady do swojej książki przeprowadziłem jesienią 1983 roku w Kanadzie, Anglii, Francji i Niemczech. Nagrałem dwadzieścia godzin taśm rozmów z Johnem Howardem, dziesięć z Jimem Wallworkiem, pięć z Hansem von Luckiem oraz po dwie lub trzy godziny z innymi żołnierzami.

Słuchanie opowieści weteranów było fascynującym przeżyciem.

Chętnie dzielili się swoimi wspomnieniami. Zdarzało mi się wysłuchać sześciu czy ośmiu opisów tego samego incydentu - różniły się tylko drobiazgami. Nierzadko jednak wynikały niezgodności w kwestii dokładnego czasu konkretnego zdarzenia bądź kolejności wypadków. Konfrontując spisane wywiady z innym materiałem dokumen-tacyjnym i stale wyjaśniając szczegóły, zdołałem ustalić sekwencję wydarzeń, która, jak sądzę, jest na tyle zbliżona do prawdziwej, na ile można to było osiągnąć po upływie kilkudziesięciu lat.

Kluczowym momentem było lądowanie pierwszego szybowca desantu w D-Day. Zegarki Johna Howarda i jednego z szeregowych wskazywały akurat 16 minut po pomocy. I oba zatrzymały się właśnie na godzinie 0.16 - najpewniej wskutek wstrząsu wywołanego przez lądowanie.

Nie ustają spory co do tego, który z alianckich żołnierzy jako pierwszy postawił stopę na francuskiej ziemi 6 czerwca 1944 roku. Zaszczyt ten przypisują sobie zwiadowcy z amerykańskich 82 i 101 Dywizji Powietrznodesantowych oraz brytyjskiej 6 Dywizji Powietrznodesantowej. Nie sposób dzisiaj stwierdzić, czy czynili to przed innymi Jim Wallwork, John Howard i inni żołnierze kompanii D z szybowca nr 1. Natomiast wiadomo z całą pewnością, że kompania D pułku Ox i Bucks weszła do akcji jako pierwsza. Postawiono też przed nią najtrudniejsze i najważniejsze zadanie, które wypełniła doskonale.

O niej właśnie jest ta książka.

1

D-DAY

Od godziny 0.00 do 0.15

To był most ze stalowymi dźwigarami, pomalowany na szaro, z dużą nadbudową i wieżą ciśnię. O północy z 5 na 6 czerwca 1944 roku wiatr rozpędził chmury i w blasku księżyca był teraz dobrze widoczny ponad wodami kanału Caen.

Na moście szeregowy Bąk, dwudziestodwuletni Polak powołany do służby w niemieckiej armii [jego nazwisko zapisano jako Bonck], stuknął dziarsko obcasami, salutując szeregowemu Helmutowi Romerowi, osiemnastolatkowi z Berlina. Romer zluzował go na warcie.

Gdy Bąk schodził z posterunku, natknął się na innego wartownika, również Polaka. Obydwaj stwierdzili, że nie chce im się spać i pójda się trochę zabawić do pobliskiego burdelu w miasteczku Benouville.

Wyruszyli pieszo szosą biegnącą na zachód od mostu, na skrzyżowaniu skręcili w lewo (na południe) i doszli do drogi prowadzącej do miasteczka. Pięć minut po północy dotarli do burdelu. Byli tam sta-

łymi bywalcami i już dwie minuty później popijali tanie czerwone wino z dwiema francuskimi dziewczkami.

Tymczasem opodal mostu, na zachodnim brzegu kanału i na po-

łudnie od szosy, Georges i Theresa Gondree spali w niewielkiej kawiarni, którą prowadzili i w której mieszkali z dwiema córkami.

Zajmowali dwa oddzielne pokoje - w ten sposób chcieli zapobiec dokwaterowaniu im niemieckich żołnierzy. Upływała 1450 noc niemieckiej okupacji Benouville.

Dla Niemców Gondree'owie byli prostymi wieśniakami z Normandii, którzy nie sprawiali kłopotów. Georges sprzedawał piwo, kawę i prowiant, a jego małżonka zaopatrywała niemieckich żołnierzy przy moście w osobliwy koktajl własnej roboty z przejrzałych melonów i cukru. W okolicy stacjonowało około pięćdziesięciu żołnierzy, szeregowych, podoficerów i oficerów - w większości nawet nie Niemców, tylko ludzi ze wschodniej Europy, przymusowo wcielonych do Wehrmachtu.

Jednakże Gondree'owie nie byli takimi prostakami, jakich udawali. Theresa pochodziła z Alzacji i mówiła po niemiecku, z czym się nie zdradzała przed żołnierzami. Z kolei Georges, zanim nabył kawiarnię, pracował przez dwanaście lat w paryskiej filii banku Lloyda i trochę znał angielski. Gondree'owie nienawidzili Niemców za to, co uczynili z Francją, za warunki życia pod okupacją. Obawiali się o przyszłość swoich córek i byli gotowi uczynić wszystko, aby przyczynić się do zakończenia niemieckiego panowania. Najcenniejsza przysługa, którą mogli oddać aliantom, polegała na przekazywaniu informacji o sytuacji w okolicy mostu. Theresa podsłuchiwała rozmowy podoficerów i żołnierzy w kawiarni, powtarzała Georges'owi, który przekazywał je pani Vion, dyrektorce szpitala położniczego.

Ta z kolei kontaktowała się z ruchem oporu w Caen, kiedy jeździła tam po zaopatrzenie dla szpitala. Z Caen owe informacje przewo-

żono do Anglii samolotami typu *Lysander* - niewielkimi, jednosilnikowymi maszynami, które mogły lądować choćby na polu i szybko wystartować z powrotem.

Zaledwie parę dni wcześniej, 2 czerwca, Georges przekazał tą drogą wiadomość zasłyszana przez Theresę: urządzenie detonujące, które miało doprowadzić do eksplozji podłożonych pod mostem ładunków wybuchowych i zniszczenia jego konstrukcji, znajdowało się w bunkrze obok szosy - po jej drugiej stronie stało działo przeciwpancerne. Georges Gondree miał nadzieję, że ta informacja dotrze tam, gdzie powinna; nie wyobrażał sobie, by most został zniszczony.

Człowiekiem, który wydał rozkaz zaminowania mostu był major Hans Schmidt, dowódca strzegącego go pododdziału. Miał pod swoją komendą niepełną kompanię 736 pułku grenadierów z 716 Dywizji Piechoty. O północy z 5 na 6 czerwca przebywał w Ranville, osadzie oddalonej o dwa kilometry na wschód od rzeki Orne płynącej równoległe do kanału w odległości około 400 metrów. Również nad nią znajdował się most (stały, jednak bez stanowisk kaemów i artylerii).

Obydwu mostów, stanowiących jedyne przeprawy przez Orne na normandzkim wybrzeżu, strzegły tylko po dwie warty; reszta żołnierzy spa-

ła w bunkrach, drzemała w okopach - lub też bawiła się w Benouville.

Tego wieczoru Schmidt przebywał u swojej przyjaciółki z Ranville, racząc się normandzkimi przysmakami i winem. Wiejące od dwóch dni silne wiatry oraz burzowa pogoda raczej wykluczały akcję nieprzyjaciela. Wcześniej Schmidt otrzymał rozkaz zniszczenia obu mostów w razie prawdopodobieństwa zdobycia przez wroga. Wprawdzie wstępnie przysposobił je do wysadzenia w powietrze, ale nie zezwolił

na założenie ładunków wybuchowych na dźwigarach - z obawy przed wypadkiem albo atakiem partyzantów. Mosty były oddalone około 8 kilometrów od morza, uważał więc, że zdąży się przygotować, zanim nad kanał i rzekę Orne dotrą oddziały desantowe.

W Vimont, na wschód od Caen, pułkownik Hans A. von Luck, dowódca 125 pułku grenadierów pancernych z 21 Dywizji Pancerniej, w swojej kwaterze przygotowywał raporty personalne. Von Luck różnił się od Schmidta nie tylko tym, że pracował do późnych godzin nocnych. Schmidta „zmiękczyły” lata wygodnej służby w okupowanym kraju, natomiast von Luck był oficerem zaprawionym w bojach.

W 1939 roku walczył w Polsce, w 1940 roku dowodził batalionem rozpoznawczym dywizji Rommla pod Dunkierką, w 1941 roku znalazł się w składzie wojsk zmotoryzowanych pod Moskwą (w grudniu tamtego roku doprowadził swój batalion do rogatek Moskwy), wreszcie uczestniczył w północnoafrykańskiej kampanii Rommla w latach 1942-1943.

Również ostro kontrastowały ze sobą jednostki von Lucka oraz Schmidta. 716 Dywizja Piechoty była drugorzutową, marnie wyekwi-powaną i pozbawioną transportu motorowego formacją, złożoną w dużym stopniu ze wcielonych do Wehrmachtu Polaków, Rosjan, Francuzów i żołnierzy innych narodowości; 21 Dywizja Pancerna była ulubioną dywizją Rommla. Pułk von Lucka, 125 pułk grenadierów pancernych, należał do najlepiej uzbrojonych w niemieckiej armii.

Wprawdzie 21 Dywizja Pancerna uległa rozbiciu w Tunezji w kwietniu i maju 1943 roku, ale Rommel zdołał wydostać z tunezyjskiej pułapki większość kadry oficerskiej tej jednostki i doprowadził do odtworzenia dywizji. Wyposażono ją w najnowszy sprzęt, w tym cięż-

kie czołgi *Tiger*, wszelkiego rodzaju wozy bojowe, a także znakomite urządzenia radiowe. Żołnierzami byli ochotnicy, młodzi Niemcy, wychowywani przez nazistów na wojowników, silni, dobrze wyszkoleni, rwący się do walki z wrogiem.

Tej nocy w powietrzu panował duży ruch; brytyjskie i amerykań-

skie bombowce przeleciały kanał La Manche, by zaatakować z powietrza Caen. Schmidt jak zwykle nie zwracał na to większej uwagi.

Von Luck około godziny 1.00 odnotował coś szczególnego. Oto kilka samolotów przeleciało na bardzo małej wysokości - około 150 metrów. Oznaczać to mogło zrzut spadochronowy. Pomyślał, że pewnie alianci zaopatrują ruch oporu i polecił zorganizowanie obławy, licząc na ujęcie partyzantów w chwili, gdy będą przechwytywać dostawę.

Heinrich (obecnie Henry) Heinz Hickman, sierżant niemieckiego 6 (samodzielnego) pułku spadochronowego, jechał w tym czasie w otwartym samochodzie sztabowym z Ouistreham na wybrzeżu ku Benouville. Dwudziestoczteroletni Hickman walczył wcześniej na Sycylii i we Włoszech. Jego pułk przybył do Normandii przed dwoma tygodniami. Piątego czerwca o godzinie 23.00 dowódca kompanii, w której służył Hickman, polecił zabrać czterech młodych szeregowych z posterunków obserwacyjnych pod Ouistreham i przywieźć ich do miejsca stacjonowania sztabu jednostki, koło Breville, na wschód od rzeki.

Hickman, sam będąc spadochroniarzem, także usłyszał przelatują-

ce nisko samoloty. I doszedł do takiego samego wniosku, co von Luck -

to zaopatrzenie dla francuskiego ruchu oporu. Nie przyszło mu do głowy, że alianci mogą dokonać zrzutu spadochroniarzy, angażując do tego zaledwie kilka maszyn. Hickman pojechał dalej w stronę mostu nad kanałem Caen.

O północy nad kanałem La Manche dwie grupy, po trzy ciężkie bombowce *Halifax*, leciały na wysokości ponad 2000 metrów ku Caen.

W powietrzu znajdowało się wiele innych alianckich samolotów, więc obsługa niemieckich reflektorów-szperaczy, ani artylerzyści z baterii przeciwlotniczych nie spostrzegli, że *Halifaxy* ciągną na holu szybowce transportowe typu *Horsa*.

W pierwszym z szybowców obdarzony silnym głosem szeregowy Wally Parr z kompanii D pułku Oxfordshire and Buckinghamshire Light Infantry (Ox i Bucks), wchodzącej w skład 6 Brygady Powietrz -

nodesantowej brytyjskiej 6 Dywizji Powietrznodesantowej, śpiewał

głośno wraz z dwudziestoma ośmioma żołnierzami piosenkę *Abby, Abby, My Boy*. Kapral Billy Gray, siedzący na tej samej ławce co Parr, ledwie otwierał usta - odczuwał nieodpartą potrzebę oddania moczu. W ogonie szybowca kapral Jack Bailey niby śpiewał, ale myś-

łał przede wszystkim o swoim spadochronie.

Pilot, dwudziestoczteroletni sierżant sztabowy Jim Wallwork z puł-

ku pilotów szybowcowych, dostrzegł już fale rozbijające się o normandzki brzeg. Obok niego drugi pilot, sierżant sztabowy John Ainsworth, wpatrywał się w napięciu w stoper. Siedzący za nim dowódca kompanii D, trzydziestojednoletni major John Howard, były policjant, śmiał się wraz ze wszystkimi, gdy piosenka się skończyła, a Parr za-wołał: „Czy pan major zrzucił już towar?”. Howard cierpiał na chorobę lokomocyjną i wymiotował podczas każdego z treningowych lotów. Tym razem jednak czuł się dobrze. Podobnie jak jego podwładni miał po raz pierwszy wejść do walki, a ta perspektywa bardziej go uspokajała niż przerażała.

Kiedy Parr zaintonował nową piosenkę *-It's a Long, Long Way to Tipperary* - Howard wymacał czerwony bucik w kieszeni kurtki munduru. Był to bucik jego dwuletniego syna Terry'ego, który zabrał ze sobą na szczęście. Pomyślał o swojej żonie Joy, Terryem oraz o nowo narodzonej córeczce Penny. Jego rodzina wróciła do Oksfordu i zamieszkała w pobliżu jednej z fabryk - Howard miał nadzieję, że nie spadną tam bomby. Obok Howarda siedział porucznik Den Brotheridge, którego żona oczekiwała dziecka (pięciu żołnierzy z kompanii zostawiło w Anglii żony w ciąży). To Howard namówił Brotheridge'a do przeniesienia do jego kompanii i wybrał jego pluton do szybowca nr 1, ponieważ uznał, że są najlepszymi żołnierzami w całej kompanii.

Za szybowcem Wallworka leciał *Horsa* nr 2, z plutonem porucznika Davida Wooda na pokładzie. Następny w kolejności, szybowiec nr 3, przewoził pluton porucznika R. „Sandy'ego” Smitha. Te trzy szybowce miały znaleźć się nad wybrzeżem koło Cabourga, na wschód od ujścia rzeki Orne.

Parę minut później, i nieco dalej na zachód, znalazły się nad Francją trzy inne szybowce z plutonami poruczników H.J. „Toda” Sweeneya oraz Dennisa Foxa. Ta druga grupa kierowała się ku ujściu Orne. W plutonie Foxa sierżant M.C. „Wagger” Thornton śpiewał

Cow Cow Boogie i jak prawie wszyscy w szybowcach - palił papie-rosy Players, jednego za drugim.

W szybowcu nr 2 pierwszej z grup pilot, sierżant sztabowy Oliver Boland, który dwa tygodnie wcześniej skończył dwadzieścia trzy lata, uznał przelot przez kanał La Manche za „nadzwyczaj emocjo-nujące” przeżycie; znalazł się w „awangardzie najpotężniejszej armii.

Trudno mi było uwierzyć, że wszystko przebiega tak zwyczajnie”.

Siedem minut po północy czołowy szybowiec Wallworka znalazł

się nad wybrzeżem i wyczepił się z holu. W owej chwili zaczęła się inwazja na kontynentalną Europę.

Tego dnia zaplanowano przerzucenie do Francji drogą morską i powietrzną 156 tysięcy żołnierzy -

Brytyjczyków, Kanadyjczyków i Amerykanów. Kompania D wyruszyła jako pierwsza i była jedyną kompanią, która działała całkowicie samodzielnie. Aż do czasu wykonania zadania Howard nie musiał składać meldunków ani odbierać rozkazów od przełożonych. Gdy Wallwork zwolnił linę holowniczą, kompania D była zdana już tylko na siebie.

Po zwolnieniu liny holowniczej szybowcem nagle szarpnęło. Żołnierze przestali śpiewać, huk silników bombowca nagle ucichł, słychać było tylko szum powietrza uderzającego w skrzydła szybowca. Chmury przesłoniły księżyc. Ainsworth skierował światło latarki na swój stoper, który uruchomił natychmiast po zejściu z holu.

Bombowce *Halifax*, już bez szybowców na holu, poleciały dalej nad Caen, gdzie miały zrzucić niewielki ładunek bomb na fabrykę cementu -było to raczej działanie pozorujące dla odwrócenia uwagi Niemców. Kiedy w czasie kampanii w Normandii Caen zostało niemal całkowicie zniszczone, jedynym budynkiem w mieście, który nie legł w gruzach, była owa fabryka cementu. „Świetnie nas holowali

- twierdzi Wallwork - ale beznadziejnie bombardowali”.

Howard odszedł myślami od Joy, Penny i Terry'ego. Tu miał swoją drugą „rodzinę” - kompanię D. Żył się z dowódcami poszczególnych plutonów, sierżantami i kapralami oraz wieloma szeregowymi, z którymi przygotowywali się wspólnie do tej akcji od dwóch lat. Oficerowie i pozostali żołnierze znakomicie wypełniali wszystkie zadania, które przed nimi stawiał. Uznał, że to najlepsza kompania w całej brytyjskiej armii.

Pomyślał o niebezpieczeństwach, które na nich czyhały. Zdjęcia rozpoznania lotniczego ujawniły, że Niemcy kopali doły na antydesan-towe i antyszybowcowe słupy (nazywane przez aliantów „szparagami Rommla”). Czy zdążyli już je ustawić? Do chwili lądowania szybowców wszystko zależało od sprawności pilotów. Jeśli zdołają bezpiecznie wysadzić kompanię D w odległości 400 metrów od celu, wówczas uda się wykonać zadanie. Jeśli jednak zejdą z kursu o co najmniej kilometr, wtedy rozwiewała się szansa na powodzenie akcji. Gdyby Niemcy dostrzegli zbliżające się szybowce i wycelowali w nie karabiny maszynowe, żaden z jego żołnierzy nie wylądowałby żywy na francuskiej ziemi. Uderzenie w drzewo, nabrzeże czy jeden ze „szparagów Rommla” również oznaczało dla ludzi z desantu śmierć.

Howard modlił się w duchu, aby Wallwork doleciał do celu. W pewnym momencie porucznik Brotheridge, przytrzymywany przez dwóch żołnierzy, zaczął otwierać boczne drzwi. Zacięły się i Howard musiał

mu pomóc. Po otwarciu wjazdu spojrzeli w dół, ale dostrzegli tylko chmury. Uśmiechnęli się do siebie i wrócili na miejsca, przypominając o zakładzie o pięćdziesiąt franków dla tego, kto jako pierwszy opuści szybowiec.

Howard przywołał w pamięci otrzymane rozkazy z 2 maja. Rozkaz dla niego, podpisany przez brygadiera Nigela Poetta i określony jako „Bigot” [super tajny, przeznaczony dla nielicznych oficerów z tzw.

listy Bigotów, znających datę i miejsce lądowania alianców w Normandii] brzmiał:

Waszym zadaniem jest uchwycenie *nie naruszonych* mostów na rzece Orne i kanale w Benouville i Ranville oraz utrzymanie ich aż do nadejścia-

cia odsieczy. (...) Opanowanie tych mostów zależy w dużym stopniu od wykorzystania zaskoczenia, szybkości oraz od brawury. W sytuacji, gdy większość pododdziału wylądował bezpiecznie, nie powinien mieć pan większych trudności z pokonaniem rozpoznanej obrony mostów. Problemem będzie odparcie nieprzyjacielskiego kontrnatarcia na mosty aż do czasu nadejścia posiłków.

Z odsieczą mieli przybyć żołnierze 6 Dywizji Powietrznodesantowej, a konkretnie 7 batalion 5 Brygady Spadochronowej tejże dywizji, którzy lądowali między rzekami Orne i Dives o 5.00 rano. Brygadier Poett, dowódca 5 Brygady, powiedział Howardowi, że może on liczyć na zorganizowane wsparcie w ciągu dwóch godzin od wylądowania.

Spadochroniarzy czekało przejście przez Ranville, gdzie Poett zamierzał zorganizować kwaterę polową i z niej kierować obroną mostów.

Sam Poett, który leciał razem ze zwiadowcami mającymi za zadanie oznakowanie strefy zrzutu dla głównych sił 5 Brygady Spadochronowej, powinien znaleźć się na miejscu już dwie do trzech minut po Howardzie. Jego grupa znajdowała się na pokładzie sześciu samolotów - były to owe nisko lecące maszyny, które usłyszeli von Luck i Hickman. Poett chciał wyskoczyć ze spadochronem jako pierwszy, ale o godzinie 0.08 zmagął się jeszcze z pokrywą włazu w spodzie kadłuba. Wraz z dziesięcioma żołnierzami utknął w archaicznym bom-bowcu *Albemarle*. Wielkim problemem okazało się już zamknięcie tego przekłętego włazu, możliwe dopiero po tym, jak żołnierze stoczyli się w kadłubie. Teraz, nadlatując nad francuski brzeg kanału La Manche, nie mogli go otworzyć. Poett bał się, że w ogóle nie wy-dostaną się z samolotu i w niesławie powrócą do Anglii.

W szybowcu nr 3 porucznik Sandy Smith czuł, jak coś ścisną go w żo-

łądku, zupełnie jak przed ważnymi zawodami sportowymi. Miał zaledwie dwadzieścia dwa lata i lubił to charakterystyczne napięcie, które poznał jako gwiazdor reprezentacji Cambridge w rugby. „Rwaliśmy się do akcji - wspomina - byliśmy bardzo sprawni. No i bardzo naiw-ni. Wyobrażałem sobie, że każdy wykaże się bohaterskimi czynami w rytm werbli i przy dźwiękach orkiestry wojskowej, a ja okażę się najdzielniejszym z dzielnych. Nie miałem cienia wątpliwości, że tak właśnie będzie”.

Na ławce po drugiej stronie siedział podenerwowany doktor John Vaughan. Miał za sobą wiele skoków spadochronowych i wyzbył się lęku. Zgłosił się na ochotnika do tej misji, nie znając szczegółów, ale kiedy znalazł się w szybowcu z otwartym włazem, powtarzał w my-

ślach: „Boże, dlaczego nie mam spadochronu?”.

W tym czasie w Oksfordzie Joy Howard głęboko spała. Minał typowy dzień; o 7.00 wieczorem ułożyła dzieci do łóżek, a potem przez parę godzin słuchała radia, ozdabiając plisą sukieneczki Penny.

Podczas ostatniego urlopu John schował mundur w szafie. Wziął

ze sobą czerwony bucik Terry'ego, ucałował dzieci i wyszedł - by po chwili wrócić i uściskać je raz jeszcze. Odchodząc, powiedział Joy, że kiedy usłyszy o rozpoczęciu inwazji, może przestać się martwić - jego rola będzie już wtedy skończona. Jednak Joy odkryła schowany mundur i zorientowała się, że John zabrał dziecięcy bucik. Domyśliła się, że inwazja rozpocznie się w najbliższych dniach; pozostawienie wyjś-

ciowego munduru oznaczało, iż John nie planował się stołować w ka-synie oficerskim.

Było to wiele tygodni wcześniej, lecz jakoś nic się nie działo. Piąte-go czerwca 1944 roku wieczorem Joy nie miała żadnych szczególnych przeczuc. Słyszała wprawdzie samoloty w powietrzu, ale ponieważ większość bombowców przebazowywano z Midlands (hrabstwa śród-kowej Anglii) na południe, nie zwracała na to większej uwagi. Niebawem zasnęła.

Na południowo-wschodnim skraju Londynu, niemal graniczącym z hrabstwem Kent, Irene Parr słyszała i widziała wielką armadę powietrzną lecącą ku Normandii i natychmiast się domyśliła, że zaczę-

ła się inwazja. Jej mąż Wally - ewidentnie łamiąc tajemnicę wojskową

- powiedział wcześniej, iż kompania D wyruszy jako pierwsza i jak przypuszcza, stanie się to w pierwszym tygodniu czerwca. Irene nie wiedziała oczywiście, gdzie jest teraz Wally, ale była pewna, iż miał

wykonać szczególnie niebezpieczne zadanie - i modliła się za niego.

Na pewno sprawiłaby jej radość wiadomość, że tuż przed opuszcze-niem Anglii pomyślał o niej: zanim wszedł na pokład szybowca *Horsa* pilotowanego przez Wallworka, wziął kawałek kredy i napisał na kadłubie *Lady Irene*.

Wallwork przeleciał nad wybrzeżem na wschód od ujścia rzeki Orne.

Chociaż był pilotem szybowca nr 1, a szybowce nr 2 i 3 leciały tuż za nim, nie miał zadania doprowadzenia całej grupy do strefy lądowania. W razie gdyby załogi szybowców straciły ze sobą kontakt wzro-kowy, ich piloci winni działać na własną rękę. Boland wspomina

„poczucie osamotnienia w powietrzu, martwą ciszę, szybowanie nad francuskim wybrzeżem ze świadomością, że nie ma drogi powrotu”.

Wallwork nie widział ani mostów, ani nawet rzeki i kanału. Starał

się ustalić położenie na podstawie kompasu, prędkościomierza i wysokościomierza. Po trzech minutach i czterdziestu dwóch sekundach szybowania Ainsworth rzucił: „Teraz!” i Wallwork wykonał szybowcem zwrot w prawo.

Wyjrzał przez owiewkę, wypatrując charakterystycznych punktów.

Nie mógł niczego dostrzec.

- Nie widzę Bois de Bavent - odezwał się szeptem do Ainswortha, nie chcąc niepokoić żołnierzy desantu. Ainsworth syknął:

- Na litość boską, Jim. To największa miejscowość w okolicy.

Skup się.

- Nic nie ma - odpowiedział Jim gorączkowo.

- I tak jesteśmy na kursie - stwierdził Ainsworth i zaczął odliczać:

- Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden. Dobra. Zwrot w prawo.

Wallwork ponownie wychylił drewniany wolant i wykonał następny zwrot. Szybowiec zmierzał teraz na północ, wzdłuż wschodniego brzegu kanału i raptownie wytracał wysokość. Uruchamiając wielkie klapy skrzydeł (nazywane „wrotami od stodoły”), sprowadził szybowiec z wysokości ponad 2000 metrów na niespełna 200 metrów i zredukował jego szybkość z 250 do 180 kilometrów na godzinę.

Na widnokręgu, z boku, widać było łunę nad Caen, utworzoną przez smugowe pociski przeciwlotnicze, światła reflektorów oraz po-

żary wzniecone przez bomby. Jednak przed sobą Wallwork nadal nie dostrzegał niczego. Miał nadzieję, że Ainsworth się nie myli i rzeczywiście znajdują się nad celem.

Ów cel stanowiło małe pole w kształcie trójkąta, o długości około 500 metrów, z podstawą na południu i wierzchołkiem wycelowanym w południowo-wschodni koniec mostu na kanale. Wallwork nie mógł

go wypatrzeć, ale tyle razy pilnie studiował zdjęcia i makietę okolicy, że miał w pamięci wyraźny obraz mostu, z nadbudówką i wieżą ciś-

nień przy wschodnim krańcu, górującego nad płaskim otoczeniem.

Tuż na północ od mostu, na wschodnim brzegu, znajdował się bunkier z karabinem maszynowym, a także stanowisko działa przeciwpancernego po drugiej stronie drogi - otoczone zasiekami z drutu kolczastego. Na ostatniej naradzie Wallworka z Howardem ten ostatni stwierdził, że chciałby, aby dziób *Horsy* rozbił te zasieki. Wallwork pomyślał, iż nie ma najmniejszych szans, by wylądować wielkim i przeciążonym szybowcem z taką precyzją, i to o północy, na wyboistym terenie, przy minimalnej widoczności. Zapewnił jednak Howarda, że zrobi, co tylko się da. Wraz z Ainsworthem doszedł do wniosku, iż takie taranowanie skończy się „połamaniem jednej albo kilku nóg”.

Obaj uważali, że jeśli wyjdą z podobnej eskapady tylko ze złamanymi nogami, to i tak będą mieli szczęście.

Teraz Wallwork próbował ustalić położenie, przeniknąć wzrokiem ciemność i chmury, lecz nie był to jego jedyny problem. Szybowiec miał wylądować przy prędkości około 150 kilometrów na godzinę.

Gdyby wpadł na drzewo albo wbity przez Niemców słup, to jeśli nawet wszyscy by ocaleli, z powodu odniesionych obrażeń nie mogliby wykonać zadania. Niepokoił go też spadochron, który znajdował się w ogniu szybowca, przytrzymywany przez kaprała Bailey'a. Wallwork przystał na użycie spadochronu w ostatniej chwili. Pomysł polegał na spowolnieniu lądowania i dobiegu szybowca dzięki rozwinięciu spadochronu za kadłubem. Jednak obawiał się, że mógł on zaryć dziobem w ziemi.

Mechanizm rozwijający czaszę tego spadochronu znajdował się nad głową Ainswortha. W odpowiedniej chwili miał on nacisnąć przycisk otwierający luk oraz spadochron. Inna dźwignia powodowała odrzucenie spadochronu. W teorii brzmiało to rozsądnie, niemniej Wallwork miał nadzieję, że nie będzie musiał korzystać z tego „wy-nalazku”.

O godzinie 0.14 Wallwork krzyknął przez ramię do Howarda, by się przygotował. Howard i jego żołnierze objęli klatki piersiowe ramionami i podciągnęli do nich kolana.

Howard wspominał: „Widziałem, jak Jim się zмага, próbując w ostatniej chwili sterować tym cholernym wielkim pudłem, a wyrazu jego twarzy nigdy nie zapomnę. Mogłem dostrzec wielkie krople potu na jego czole i policzkach”.

Szybowce nr 2 i 3 leciały za Wallworkiem w minutowych odstępach. Druga grupa szybowców jednak się rozdzieliła. „Czwórkę” Pridaya zniosło nad rzekę Dives. Dostrzegłszy most na Dives, pilot szybowca nr 4 zaczął się szykować do lądowania. Dwie pozostałe *Horsy* nie zeszły z prawidłowego kursu i nadlatywały nad Orne. Nie musiały wykonywać zwrotów. Miały „trafić”, czyli, w żargonie szybowców, wylądować zwrócone w kierunku południowym na zachodnim brzegu rzeki, na polu długości prawie 1000 metrów.

Brygadier Poett w końcu zdołał otworzyć właz (w innym ze starych *Albemarle'ów* jeden z oficerów Poetta wypadł w trakcie otwierania luku i zginął w wodach kanału La Manche). Stojąc okrakiem nad otworem w podłodze, Poett nie mógł dostrzec niczego na zewnątrz. Jego samolot przeleciał dokładnie nad baterią Merville, innym kluczowym celem akcji spadochroniarzy tej nocy. Minęła kolejna minuta, była godzina 0.16. Pilot zapalił zieloną lampkę i Poett skoczył przez luk w czarną noc.

Szeregowy Romer i drugi wartownik jak co noc przemierzali most na kanale w tę i z powrotem. Bombardowanie Caen nie było niczym nowym i obaj nie spojrzeli nawet na łunę nad miastem. Obsługa karabinu maszynowego jak zwykle drzemała za betonowymi płytami i workami z piaskiem, podobnie jak żołnierze w wąskich rowach strzelniczych. Działa przeciwpancernego nikt nie pilnował.

W Ranville major Schmidt otworzył następną butelkę wina. W

Benouville szeregowy Bąk dopił swój trunek i udał się do jednego z pokojów z francuską prostytutką. Na szosie z Ouistreham sierżant Hickman pędził samochodem sztabowym na południe, w stronę

Benouville i mostu. W domu, w którym mieściła się kawiarnia, Gon-dree'owie spali.

Wallwork sprowadził szybowiec na wysokość około 70 metrów i zmniejszył prędkość do 150 kilometrów na godzinę. Kwadrans po północy znalazł się na ostatecznym kursie. Około dwóch kilometrów od celu chmury się rozeszły, odsłaniając księżyc. Wallwork widział teraz rzekę i kanał, które przypominały srebrne paski. Po chwili ujrzał most, dokładnie w miejscu, w którym spodziewał się go zobaczyć. Pomyślał:

„No, mam cię wreszcie”.

Dwa lata wcześniej

Wiosna 1942 roku była ciężka dla aliantów. W Afryce Północnej Brytyjczycy zbierali ciężki. W Rosji Niemcy podjęli gigantyczną ofensywę na Stalingrad. Na Dalekim Wschodzie Japończycy zajmowali amerykańskie, brytyjskie i holenderskie posiadłości kolonialne, zagrażając Australii. Hitler opanował niemal całą Europę. Jediną nadzieją było to, że 7 grudnia 1941 roku Ameryka przystąpiła do wojny. Początkowo jednak mogła wesprzeć sojuszników tylko niewielką liczbą okrętów; ani amerykańskie wojska lądowe, ani lotnictwo nie było jeszcze gotowe do działań zaczepnych. Nieznacznie tylko zwiększono wojskowe dostawy w ramach lend-lease.

Od września 1939 do maja 1940 roku trwała tzw. dziwna wojna, jednakże dla tysięcy młodych Brytyjczyków powołanych do wojska w tym okresie następne miesiące - od wiosny 1941 do początków 1944 roku - nie przyniosły powodów do chwały. Przestało straszyć widmo niemieckiej inwazji. Brytyjskie wojska lądowe brały aktywny udział w walkach tylko w basenie Morza Śródziemnego. Gdzie indziej czas upływał żołnierzom na ogół na szkoleniu i nudnych, rutynowych obowiązkach. Stan dyscypliny pozostawiał wiele do życzenia, częściowo z powodu wszechobecnej nudy, po części zaś dlatego, że w Ministerstwie Wojny panował pogląd, iż surowa dyscyplina kłóci się z zasadami demokracji. Poza tym uważano, że osłabia ona ducha bojowego żołnierzy.

Wielu żołnierzom odpowiadała ta sytuacja; nie mieli oni nic przeciwko perspektywie spędzenia wojny w koszarach, gdzie defilowali, ćwiczili musztrę czy też oddawali się innym podobnym zajęciom.

Jednakże ci, którzy wstąpili do wojska, by walczyć za króla i ojczyznę, spragnieni działania i mocnych wrażeń, nie byli z tego zadowoleni.

Na wiosnę 1942 roku, kiedy ogłoszono ochotniczy nabór do wojsk powietrznodesantowych, otworzyła się przed nimi szansa.

W Wielkiej Brytanii podjęto decyzję o stworzeniu armii powietrznodesantowej i zorganizowano 1 Dywizję pod dowództwem generała majora F.A.M. „Boya” Browninga. Owiany legendą, znany z zamiłowania do surowej dyscypliny, Browning wyglądał jak gwiazdor filmowy i bardzo dbał o swój wizerunek. Jego żona, powieściopisarka Daphne du Maurier, w 1942 roku zaproponowała, by wojska powietrznodesantowe nosiły czerwone berety i zaprojektowała ich odznakę przed-stawiającą mitologicznego Bellerofonta, który dosiada skrzydlatego Pegaza.

Wally Parr był jednym z tysięcy, którzy zgłosili się ochotniczo do Czerwonych Beretów. Wstąpił do wojska w lutym 1939 roku w wieku szesnastu lat (w sumie w kompanii D znajdowało się około tuzina żołnierzy, którzy, zaciągając się do armii, podali nieprawdziwą datę urodzenia). Otrzymał przydział do pułku piechoty i spędził trzy lata

„nie robiąc nic choć trochę ważnego. Rozciąganie zasieków, nazajutrz ich zwijanie i przenoszenie.

(...) W ogóle nie strzelałem z karabinu.

Nie robiłem nic". Po zgłoszeniu się do sił powietrznodesantowych, przeszedł sprawdzian sprawnościowy i został przyjęty do Ox i Bucks, przeformowanego na jednostkę desantu powietrznego, a w ramach pułku - do kompanii D. Po trzech dniach w nowej jednostce poprosił o rozmowę z dowódcą, majorem Johnem Howardem.

- Ach, to ty, Parr - powiedział Howard, gdy Parr wszedł do jego biura. - Co mogę dla ciebie zrobić?

- Chcę prosić o przeniesienie do innej jednostki.

- Przecież dopiero co cię przyjęto.

- Tak, wiem - odrzekł Parr - ale spędziłem trzy dni na snuciu się po koszarach. Nie po to tu się zjawilem. Chcę trafić do spadochroniarzy. Zgłosiłem się na ochotnika do prawdziwych akcji, a nie do tych głupich szybowców, których zresztą i tak nie mamy.

- Nie gorączkuj się - poradził Howard. - Poczekaj trochę. -I od prawil Parra.

Wychodząc z biura dowódcy, Parr pomyślał: „Lepiej uważać z tym gościem”.

W rzeczywistości Parr nie miał jeszcze pojęcia, jak twardy okaże się dowódca nowej kompanii. Howard, podobnie zresztą jak prawie wszyscy jego żołnierze, wywodził się ze środowiska robotniczego. Przyszedł na świat 8

grudnia 1912 roku jako najstarszy z dziewiątki dzieci. Przez cztery lata, nim skończył szósty rok życia, jego ojciec, Jack Howard, walczył w I wojnie światowej we Francji. Kiedy Jack powrócił, dostał pracę w browarze Courage przy wyrobie beczek. Rodzina zamieszkała na londyńskim West Endzie, gdzie energiczna i zaradna matka Johna dbała o to, by dzieciom niczego nie zabrakło. John wspomina: „Najlepszy okres swojego dzieciństwa, gdy miałem trzynaście i czternaście lat, spędziłem na pchaniu wózka z mlekiem, pomagając w zakupach i robiąc podobne rzeczy”.

John wolny czas spędzał wśród skautów. W weekendy i latem wyjeżdżał

z nimi z Londynu na obozy, choć kumple z londyńskiej ulicy drwili z jego skautowskich szortów i „ogólnie dawali mi popalić”. Nawet młodszy bracia nie wytrzymali w skautingu. John wytrwał; uwielbiał ruch na świeżym powietrzu, sport i rywalizację.

Jego kolejną wielką pasją była szkoła. Uczył się dobrze, najlepsze oceny miał z matematyki i uzyskał stypendium do szkoły średniej. Jednak z uwagi na sytuację materialną musiał podjąć pracę i w wieku czternastu lat zatrudnił się jako urzędnik w firmie brokerskiej. Uczęszczał do szkoły wieczorowej, pięć razy w tygodniu. Uczył się angielskiego, matematyki, księgowości i rachunkowości, a także pisania na maszynie i stenotypii, czyli wszystkiego, co mogło mu się przydać w pracy. Jednakże latem 1931

roku, kiedy powrócił do Londynu z obozu dla skautów, dowiedział się, że giełdowe akcje jego firmy poszły w dół - i został bez posady.

W tym czasie dorastało młodsze rodzeństwo i w domu Howardów zrobiło się ciasno. John postanowił zaciągnąć się do wojska.

Wstąpił do pułku King's Shropshire Light Infantry. Tam starsi żołnierze byli „bardzo surowi i twardzi. (...) Przyznam, że przez pierwsze noce w koszarach z tymi twardzielami bez przerwy płakałem i zastanawiałem się, czy uda mi się przeżyć”.

W rzeczywistości szybko stanął na nogi. Podczas szkolenia rekrutów w Shrewsbury okazał się jednym z najlepszych w większości dyscyplin

- biegu przełajowym, pływaniu, boksie i w innych konkurencjach, które wcześniej poznał w ruchu skautowskim. Na początku lat 30. w armii brytyjskiej, podobnie jak w innych armiach czasów pokoju, panował duch wprost

fanatycznego

współzawodnictwa

sportowego

pomiędzy

plutonami, kompaniami, batalionami. Kiedy John dołączył do swojego batalionu w Colchester, dowódca natychmiast zrobił z niego pisarza kompanii, a taka „fucha” pozwalała na częsty udział w zawodach sportowych. Potem został skierowany na kurs pedagogiczny, a po powrocie zajął się wychowaniem fizycznym rekrutów, nadal reprezentując swą kompanię na różnych zawodach.

Ale jego ambicje sięgały wyżej. Chciał zdobyć stopień oficerski, liczył, że dopomogą mu w tym jego osiągnięcia sportowe i ukończone kursy, a także dobre wyniki zdawanych w wojsku egzaminów. Jednak w warunkach pokojowych widoki na szybki awans w wojsku były nikłe. Mimo wszystko Howard uzyskał rangę kaprała.

W tym czasie poznał Joy Bromley. Była to typowa „randka w ciemno”.

Jeden z jego kumpli umówił się na spotkanie z dwiema dziewczynami.

Ów kumpel miał zająć się Joy, ale to John zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Joy miała zaledwie szesnaście lat (skłamała Johnowi, że osiemnaście), była szczupła i zgrabna, rozmowna i wesoła. Na randkę przyszła dość niechętnie -jej rodzice zajmowali się handlem detalicznym i należeli do szanowanej klasy średniej. Umawiała się już z pewnym chłopakiem z Cambridge i oświadczyła przyjaciółce:

- Nie wolno mi zadawać się z żołnierzami.

- Pójdziemy tylko na kawę - nalegała przyjaciółka. - Obiecałam, że będziemy.

Joy uległa i przy kawie szybko znalazła wspólny język z Johnem. Na dworcu kolejowym John

pocałował ją na pożegnanie.

Zdarzyło się to w roku 1936 i od tamtej pory zaczęli się spotykać.

Początkowo utrzymywali wszystko w tajemnicy - Joy obawiała się reakcji swojej matki. Umawiali się pod wielkim czerwonym bukiem w pobliżu ogrodu przy jej domu. John postanowił zagrać w otwarte karty. Oznajmił

Joy, że porozmawia z jej matką. „O mało nie umarłam - wspominała. -

Myślałam, że mama w ogóle go nie przyjmie", a jeśli nawet będzie inaczej, to „złoi mi skórę za nawiązywanie takich znajomości". A jednak matka dziewczyny i John świetnie się porozumieli; przyszła teściowa od razu go polubiła i nawet powiedziała córce: „To prawdziwy mężczyzna". W kwietniu 1938 roku doszło do zaręczyn, podczas których młodzi obiecali matce Joy, że poczekają nieco ze ślubem.

W 1938 roku wygasł kontrakt podpisany przez armię z Johnem Howardem. W czerwcu John wstąpił do miejskiej policji w Oksfordzie.

Po ukończeniu intensywnego szkolenia uzyskał drugie miejsce spo-

śród dwustu kandydatów, rozpoczął nocną służbę patrolową na ulicach Oksfordu. Uznał to za „mocne doświadczenie. Człowiek jest sam i wszystko się może wydarzyć".

Pozostał w policji aż do wybuchu wojny. Dwudziestego ósmego paź-

dziernika 1939 roku poślubił Joy. Drugiego grudnia zameldował się w pułku King's Shropshire Light Infantry. Już po dwóch tygodniach awansował z kaprała na sierżanta. Miesiąc później został starszym sierżantem i w ciągu zaledwie pięciu miesięcy miał już najwyższą rangę podoficerską - co stanowiło swoisty rekord nawet jak na warunki wojenne. A w maju 1940 roku dowódca brygady zaproponował mu podjęcie starań o stopień oficera.

John się wahał. Był w pułku starszym sierżantem i odpowiadał tylko przed swoim przełożonym. Czy warto było zamieniać to na wątpliwe przywileje młodszego oficera? Ponadto, o czym Howard wspomniał

żonie, nie miał zbyt dobrego zdania o podporucznikach z nowego zaciągu i nie chciał trafić do ich grona. Joy stwierdziła, że powinien jednak wystąpić o awans. I tak Howard w czerwcu 1940 roku wstąpił

do OCTU - Officer Cadet Training Unit -jednostki szkolnej kadetów.

Otrzymując stopień oficera, złożył prośbę o przydział do Ox i Bucks - był zżyty z Oksfordem i lubił ten pułk. Po upływie dwóch tygodni uważał jednak, że popełnił wielki błąd. Ox i Bucks był „dobrym prowincjonalnym pułkiem", zasłużonym w walkach o Bunker Hill, pod Nowym Orleanem, i Waterloo oraz podczas I wojny światowej. Połowa pułku dopiero co powróciła z Indii. Wszyscy oficerowie

wywodzili się z arystokracji. Snobistyczni, patrzyli z góry na człowieka pochodzącego z niższej warstwy społecznej, który w dodatku pracował wcześniej w policji. A to bolało.

Po dwóch tygodniach zaciskania zębów Howard zadzwonił do Joy, mieszkającej wówczas z rodzicami w Shropshire.

- Lepiej się tu przeprowadź - powiedział - jest strasznie i potrze buję wsparcia, długo nie wytrzymam.

Joy obiecała, że wkrótce przyjedzie.

Następnego ranka Howard kierował na placu apelowym musztrą czterech pododdziałów. Jego żołnierze byli już na tyle wyszkoleni, że potrafili sprawnie wykonywać skomplikowane zwroty. Kiedy rozkazał

żołnierzom się rozejść, zobaczył, że stoi za nim pułkownik, który zapytał

cicho:

- Dlaczego nie sprowadzi pan tu żony, Howard?.

W ciągu tygodnia Joy znalazła mieszkanie w Oksfordzie, a John w końcu zdobył uznanie i sympatię kolegów-oficerów.

Niebawem awansował na kapitana i objął dowództwo nad kompanią, którą szkolił przez następny rok. Na początku 1942 roku dowiedział się o decyzji przekształcenia Ox i Bucks w formację powietrznodesantową, jego batalion miał się stać jednostką szybowcową. Nikogo nie zmuszano do służby w wojskach powietrznodesantowych; każdy z oficerów i żołnierzy mógł uzyskać przeniesienie do innego pułku. Około 40 procent skorzystało z tej możliwości. Kolejne 10 procent odrzucono na sprawdzianach fizycznych. Pułk miał być formacją elitarną.

Howard postanowił lepiej poznać swoich żołnierzy. Wally Parr wspominał: „Pierwszego dnia ściągnął całą cholerną kompanię na przegląd. Patrzył na nas, my patrzyliśmy na niego i wszyscy wiedzieli, kto tu rządzi”.

Howard zrezygnował ze służby w piechocie, by zostać oficerem wojsk powietrznodesantowych. Po trzech tygodniach przydzielono mu kompanię D. Wkrótce potem, w maju 1942 roku, uzyskał awans na majora.

Kompania D wywodziła się w połowie z Ox i Bucks, resztę zaś stanowili ochotnicy z rozmaitych rodzajów brytyjskich sił zbrojnych. Żołnierze pochodzili ze wszystkich zakątków Wielkiej Brytanii i reprezentowali różne klasy społeczne i profesje. Łączyło ich to, że byli młodzi, przykładali się do szkolenia, palili się do walki - takich podopiecznych chciałby mieć każdy dowódca kompanii.

Dowódcy poszczególnych plutonów w kompanii Howarda również trafili do wojska z różnych środowisk. Dwaj z nich zgłosili się ochotniczo do służby jako studenci Cambridge, jeden ukończył uniwersytet w Bristolu, a najstarszy, dwudziestosześcioletni porucznik Den Brotheridge, podobnie jak Howard awansował od szeregowego. W istocie to Howard zarekomendował Dena, wówczas

jeszcze kaprala, do OCTU.

Dowódcy innych plutonów początkowo spoglądali na Dena trochę z ukosa; jeden z nich wyjaśnił: „Cóż, nie był jednym z nas”. Den bowiem grywał w piłkę nożną, nie zaś w rugby czy krykieta. Jednak oficer natychmiast dodał: „Ale nie można go było nie polubić”.

Zastępcą Howarda został kapitan Brian Priday. Miał metr osiemdziesiąt wzrostu, był spokojny, zrównoważony i idealnie nadawał się na stanowisko zastępcy dowódcy kompanii. Priday i Howard od razu znaleźli wspólny język, do czego z pewnością przyczynił się fakt, że ojciec tego pierwszego również służył w policji w Oksfordzie. Sam Priday w cywilu sprzedawał

samochody. Miał dwadzieścia kilka lat. Porucznicy Tod Sweeney i Tony Hooper też ledwie przekroczyli dwudzistkę. Podporucznik David Wood, dziewiętnastolatek, dopiero co ukończył OCTU. „Wielkie nieba -

pomyślał Howard, gdy zameldował się u niego - on jest chyba trochę za młody dla tych twardzieli z mojej kompanii. Był jednak tak bystry i kipiał

entuzjazmem, że pomyślałem: «Coś z niego zrobimy». Przydzieliłem mu pluton młodszych żołnierzy, dałem do pomocy doświadczonemu podoficerowi i świetnie sobie poradził”.

Sweeney tak opisuje siebie i pozostałych młodszych oficerów: „Byliśmy nieodpowiedzialnymi młodzikami, życie traktowaliśmy lekko, choć toczyła się wojna. John [Howard] był uzdolnionym i poważnym dowódcą, a my -

szczeniakami, których usiłował wyszkolić”.

Howard wydawał się zadowolony ze swojej kompanii, z oficerów, podoficerów i szeregowych, zwłaszcza, że miał w oddziale tak wielu londyńczyków. Tymczasem pułk przeniósł się do Bulford. Kompanię D

zakwaterowano w budynku w pobliżu koszar, ale oddzielnie. „Od początku byliśmy zdani sami na siebie” - powiedział Howard. Chciał, aby żołnierze żyli się ze sobą i stworzyli znakomitą jednostkę bojową.

Z walk w Afryce Północnej von Luck wyniósł dobre wspomnienia.

Dowodził tam zmechanizowanym batalionem rozpoznawczym na skrajnej prawej (południowej) flance wojsk Rommla. Miał więc pewną swobodę, tak jak Brytyjczyk, który dowodził jednostką po drugiej stronie frontu. Obydwaj oficerowie uzgodnili, że będą prowadzili cywilizowaną wojnę. Codziennie o 5.00 po południu działania przerywano; Brytyjczycy parzyli sobie herbatę, a Niemcy kawę. Mniej więcej kwadrans po 5.00 von Luck i brytyjski dowódca nawiązywali łączność radiową. „Cóż - powiadał von Luck - dzisiaj wzięliśmy do niewoli tego-to-a-tego, ma się dobrze, przesyła pozdrowienia swojej matce i mówi, żeby się nie martwiła”. Kiedy von Luck dowiedział się, że jego brytyjscy adwersarze otrzymali miesięczny przydział papierosów, zaproponował wymianę pojmanego oficera - dziedzica fortuny koncernu tytoniowego Players - na milion sztuk. Brytyjczyk

przedstawił kontrofertę: 600 tysięcy papierosów. Von Luck wyraził zgodę.

Jednakże sam jeniec wyraził szczere oburzenie z powodu tak niskiego okupu. Uparł się, że jest wart co najmniej milion papierosów i od-mówił wzięcia udziału w wymianie.

Pewnego wieczoru podekscytowany kapral Wehrmachtu zameldował, że właśnie ukradł brytyjską ciężarówkę załadowaną mięsny-mi konserwami i innymi specjałami. Von Luck spojrzął na zegarek

- minęła 18.00 - i odrzekł kapralowi, iż trzeba będzie zwrócić ten łup, gdyż został zdobyty po 5.00 po południu. Kapral zaprotestował: trwa przecież wojna, a poza tym żołnierze i tak rozdrapali już wiktuały ze zdobyczej ciężarówki. Wtedy von Luck zadzwonił do Rommla, swego mentora z akademii wojskowej. Powiedział, że odnotował

podejrzane ruchy Brytyjczyków jeszcze dalej na południu i sądzi, iż powinien wybrać się na dwudniowy zwiad. Czy w tym czasie inny batalion mógłby zająć jego dotychczasowe pozycje? Rommel się zgodził. Tego wieczoru, o 17.30, Brytyjczycy - zgodnie z oczekiwaniami von Lucka - skradli *dwie* niemieckie ciężarówki z zapasami.

Heinz Hickman walczył w 1940 roku w Holandii, Belgii i Francji ja-ko kanonier działa kalibru 88 mm. W 1941 roku wstąpił ochotniczo po pułku spadochronowego i otrzymał skierowanie do szkoły dla skoczków w Spandau. W maju 1942 roku odbywał szkolenie.

W tym czasie w Warszawie Werner Bąk robił, co mógł, by uniknąć powołania do niemieckiej armii, pracując ze szczególną wydajnością na tokarce. Helmut Romer z Berlina miał wtedy szesnaście lat i koń-

czył rok szkolny.

Na moście nad kanałem Caen nie było jeszcze betonowych umocnień, stacjonował tam tylko niewielki niemiecki garnizon. Żołnierze okupanta dawali się mocno we znaki mieszkańcom Benouville, Le Port i Ranville. Niemcy brali wszystko, co najlepsze, płacąc za to prawie bezwartościowymi papierowymi frankami. Zabierali młodych mężczyzn do pracy przymusowej, uniemożliwiali podróżowanie, wprowadzili godzinę policyjną i rozstrzeliwali nieposłusznych. W maju 1942 roku Gondree'owie zdecydowali, że nie mogą się temu biernie przyglądać. Georges wstąpił do ruchu oporu. Otrzymał zadanie zbie-rania dla Brytyjczyków informacji o sytuacji w okolicy mostu. Źródłem tych informacji stały się prowadzone przez niemieckich żołnierzy rozmowy w kawiarni, podsłuchiwane przez jego żonę. Gondree'owie wiedzieli, że jeśli zostaną przez Niemców przyłapani na współpracy z podziemiem, to czekają ich tortury, a potem szubienica. Mimo to działali nadal.

W maju 1942 roku Jim Wallwork, chłopak z Manchesteru, który ja-ko dziewiętnastolatek na ochotnika wstąpił do wojska w marcu 1939

roku, również przechodził szkolenie. Ojciec Jima, artylerzysta z czasów I wojny światowej, poradził mu: „Rób, co chcesz, Jim, bylebyś tylko, na Boga, nie trafił do piechoty. Idź do artylerii, do największych dział, jakie są, a jeśli to możliwe - do armat kolejowych". Jim wylądował jednak w

piechocie i nudził się jak mops, choć awansował

na sierżanta. Próbował załatwić sobie przeniesienie do Królewskich Sił Powietrznych, ale storpedował ten plan jego przełożony, który chciał zatrzymać Wallworka przy sobie.

I wtedy, na początku 1942 roku, ogłoszono zaciąg do pułku pilotów szybowcowych. Jim skorzystał z okazji i wiosną znalazł się w Tilshead, w obozie treningowym na równinach Salisbury. „Było dosyć ciężko

- wspomina - sam musiałem dbać o sprzęt, czyścić oporządzenie, brać udział w koszmarnych marszobiegach, musztrach i wszystkich tych bzdurach". Najbardziej jednak obawiał się, jak zresztą wszyscy w pułku, skrótu „RTU”, oznaczającego *Return To Unit*, czyli „po-wrót do (macierzystej) jednostki”, niełaszkę i blamaż. Jimowi jednak się udało utrzymać i w maju 1942 roku trafił do szkoły pilotażu, gdzie uczył się latać na małych samolotach.

Howardowi powiększała się rodzina. Joy, która mieszkała u krewnych koło Shrewsbury, była w ciąży. Dziecko miało przyjść na świat pod koniec czerwca; w dwutygodniowym okresie przed porodem Howard był tak rozdrażniony, że podkomendni woleli omijać go z daleka.

Wreszcie 12 lipca urodził mu się syn - Terry. Kiedy wieść o tym radosnym wydarzeniu dotarła do Bulford, zorganizowano wielką popijawę. Howard, który podczas wojny stronił od alkoholu, żeby „dać dobry przykład młodym oficerom”, teraz czystą whisky „oblewał główkę dziecka”. Upił się jak bąk.

W lipcu Howard otrzymał zadanie opracowania harmonogramu szkolenia. Z początku położył nacisk na odpowiednie przeszkolenie swoich żołnierzy do zadań typowych dla piechoty. Uczył celnego strzelania z karabinów, lekkich i ręcznych kaemów, pistoletów, pan-cerzownic typu *Piat* i innej broni przeciwpancernej. Instruował, jak i kiedy używać rozmaitych typów granatów.

Podstawowe uzbrojenie 30-osobowego plutonu szybowcowego stanowiły karabiny *Enfield*, pistolety maszynowe typu *Sten*, ręczne karabiny maszynowe *Bren*, dwu- i trzycalowe moździerze oraz *Piaty* (pancerzownice do zwalczania czołgów). *Enfield* był starym, lecz niezawodnym brytyjskim karabinem powtarzalnym. Jeden lub dwóch ludzi w każdym z pododdziałów wypełniało funkcję snajperów, a ich karabiny były wyposażone w optyczne celowniki. *Sten* to z kolei pistolet maszynowy kalibru 9 mm. Produkowano je masowo i uzbrojono w nie tysiące żołnierzy - nie dlatego, że były udaną konstrukcją; były po prostu tanie. Często się zacinały bądź strzelały samoczynnie. W 1942 roku David Wood postrzelił Dena Brotheridge'a w nogę ze swego *Stena*, zapomniał

bowiem zabezpieczyć broń. Brotheridge wyzdrowiał i też wybrał *Stena*.

Broń ta ważyła zaledwie około trzech kilogramów, miała tylko 75

centymetrów długości, strzelała celnie na 50 metrów, a w jej magazynku znajdowały się 32 naboje. Pomimo wszelkich wad, *Sten* okazywał się niezwykle skuteczny i groźny w starciach na bliskich dystansach - o ile tylko się nie zaciął.

Z *Brena*, ręcznego karabinu maszynowego o ciężarze nieco ponad 10

kilogramów - można było strzelać z biodra, dwójnogu lub trójnożnej podstawy. Zasięg celnego ognia wynosił niespełna 500 metrów, a szybkostrzelność dochodziła do 120 pocisków na minutę. Każda drużyna miała jednego *Brena*; 30-nabojowe magazynki do kaemu nosili w niej wszyscy. Jeśli chodzi o szybkostrzelność, niezawodność i inne cechy, *Bren* ustępował uniwersalnemu niemieckiemu kaemowi *MG-34* i podobnie jak *Sten* nie mógł się równać z niemieckim *Schmeisserem*.

Z ręcznej pancernicy typu *Piat* strzelało się z ramienia. Broń ta miotła półtorakilogramowe pociski, których prędkość początkowa wynosiła około 100 metrów na sekundę. Pocisk kumulacyjny eksplodował pod wpływem uderzenia w cel. Teoretyczna skuteczna donośność wynosiła nieco poniżej 100 metrów, ale żołnierze z kompanii D osiągnęli celne trafienia z *Piatami* tylko na dystansie do 50 metrów. *Piaty* nie zawsze były celne i zacinały się. Żołnierze niezbyt je lubili, choć nauczyli się nimi sprawnie posługiwać. Jediną inną ręczną bronią przeciwpancerną były granaty typu *Gammon* - wybuchowy plastik, który rzucony, przylepiał się do pancerza czołgu, a następnie eksplodował.

Howard położył zasadniczy nacisk na uczenie podwładnych błyskawicznego reagowania. Byli jednostką desantu szybowcowego i w starciu z nieprzyjacielem musieli natychmiast podejmować decyzje.

Kompanię D wyróżniało jedno - sprawność fizyczna, do której dowódca przykładał wielką wagę. Zaprawa żołnierzy Howarda była czymś niezwykłym jak na standardy obowiązujące w brytyjskiej armii. Wprawdzie cały pułk szczylił się osiągnięciami w tym zakresie (jeden z oficerów kompanii B określał siebie mianem fanatyka kul-tury fizycznej), ale wszystkich zdumiewał, a niektórych nawet trochę niepokoił, realizowany przez Howarda program.

Dla kompanii D dzień rozpoczynał się od 8-kilometrowego biegu przełajowego; dystans ten pokonywano w czasie od 35 do 40 minut.

Potem żołnierze się przebierali, porządkowali teren, jedli śniadanie i spędzali resztę dnia na zaprawie fizycznej, zazwyczaj bardzo intensywnej. Późnym popołudniem ludzie Howarda zajmowali się uprawianiem różnych dyscyplin sportowych. Sam Howard najbardziej lubił konkurencje indywidualne, bieg na przełaj, pływanie i boks, jednak aż do capstrzyku zajmował swoich chłopców grą w piłkę nożną, rugby - wszystkim, co wymagało ruchu i aktywności.

Dwa razy w miesiącu Howard zabierał całą kompanię na dwa, trzy dni w teren, gdzie ćwiczone pozorowaną walkę i spano pod gołym niebem. Dzięki forsownym marszom jego kompania wkrótce potrafiła pokonywać pieszo znaczne odległości. Wally Parr zapewnia - a liczni weterani potwierdzają jego słowa - że mogli przebyć 40 kilometrów w pełnym rynsztunku, z *Brenami* i moździerzami, w ciągu pięciu i pół

godziny. Po powrocie z takiego marszu, zgodnie z relacją Parra, „odbywał

się przegląd, coś tam się jadło i człowiek miał do wyboru: gra w piłkę nożną albo bieg na przełaj”.

Wszyscy oficerowie, w tym Howard, dotrzymywali kroku szeregowym żołnierzom. Byli

wysportowani i uwielbiali sportową rywalizację. Wspólne treningi, rozgrywki oraz uczestnictwo w morderczych marszach tworzyło silną więź między oficerami a szeregowymi. David Wood był lubiany przez ludzi ze swojego plutonu i to samo można powiedzieć o Todzie Sweeneyu. Szczególną estymą cieszył się jednak Brotheridge. Znakomity piłkarz, jako były kapral czuł się wśród szeregowych jak u siebie w domu.

Wieczorami przychodził do koszar, siadywał na łóżku ordynansa, Billy'ego Graya, i dyskutował z chłopakami o futbolu, w tym czasie czyszcząc swoje buty. Wally Parr nie może zapomnieć widoku brytyjskiego porucznika polerującego sobie buty - podczas gdy ordynans leżał na łóżku - i rozprawiającego

O

Manchesterze United, West Ham i innych drużynach piłkarskich.

Howardowi sen z powiek spędzał problem nudy i monotonii w obozie, które miały wpływ na morale żołnierzy, i rozmyślał nad sposobami urozmaicenia szkolenia. Problem ten nie dotyczył wyłącznie kompanii D; pod koniec lata 1942 roku generał Browning wysłał cały pułk na dwa miesiące wspinaczki w hrabstwie Devonshire. Potem polecił, by pułk odbył

drogę powrotną - ponad dwustukilometrową - do Bulfort pieszo. Naturalnie, kompanie miały ze sobą rywalizować w tym osobliwym wyścigu.

Dwa pierwsze dni tego powrotu wypadły w najgorętszą porę lata, z maszerujących żołnierzy pot lał się strumieniami. Pod koniec drugiego dnia ubłagali, by pozwolono im zmienić umundurowanie na letnie.

Pogoda jednak raptownie się zmieniła i przez następne dwa dni musieli iść lekko odziani w strugach zimnego, ulewnego deszczu.

Howard maszerował obok kolumny i ponaglał swoich żołnierzy. Niósł

starą oficerską laskę z mosiężną główką. Pisarz kompanijny i zarazem operator radionadajnika, kapral Tappenden, zaproponował majorowi skorzystanie ze swojego roweru.

- Nic z tych rzeczy - warknął Howard. - Prowadzę swoją kompanię. Na dłoniach miał otarcia od ściskania laski. Jednak maszerował dalej.

Rankiem czwartego dnia, kiedy Howard zbudził żołnierzy i rozkazał im stanąć w dwuszeregu, pod Wallym Parrem i jego przyjacielem Jackiem Baileyem ugięły się kolana. Nogi odmówiły im posłuszeń-

stwa. Mimo to podnieśli się i ruszyli w drogę.

- Stuknięty drań - szeptali między sobą żołnierze, gdy Howard podjął marsz. - Stuknięty, ambitny drań. Wykończy nas wszystkich.

A jednak wyruszyli za majorem.

Do bazy wrócili wieczorem piątego dnia. Maszerowali w miarowym tempie 140 kroków na minutę, śpiewając głośno *Onward, Christian Soldiers*. O pół dnia wyprzedzili inne kompanie pułku. Podczas marszu odpadło tylko dwóch ludzi Howarda - ze stu dwudziestu.

(Laska majora zużyła się jednak na tyle, że musiał ją wyrzucić).

Wcześniej Howard poinformował przez radionadajnik o tym, że zbliża się do bazy wraz z kompanią. Czekali na nich gorące natryski i posiłek. Kiedy oficerowie kompanii zaczęli się rozbierać pod prysznic, Howard polecił im ubrać się z powrotem, skontrolować stan stóp swoich podwładnych, dopilnować, by się starannie umyli, sprawdzić ilość i jakość przygotowanych posiłków oraz przeprowadzić inspekcję w koszarach. Do czasu, gdy oficerowie weszli wreszcie pod prysznic, cała ciepła woda została już zużyta; gdy zasiedli do stołów, jedzenie zdążyło już ostygnąć. Jednak nikt nie poskarżył się na Howarda.

„Od tamtej pory -wspomina Howard - nie trzymaliśmy się sztywnego cyklu szkolenia". Pułkownik dał mu w tym względzie większą swobodę i zapewnił środki transportu. Howard zaczął wozić swoją kompanię do Southampton, Londynu czy Portsmouth, gdzie w zniszczonych przez bomby dzielnicach organizował ćwiczenia w walkach ulicznych. Kompania D ćwiczyła z ostrą amunicją.

Howard skompletował ostatecznie doborową kompanię.

Rok wcześniej

Na wiosnę 1943 roku brytyjskie wojska powietrznodesantowe zostały podzielone na dwie dywizje. 1 Dywizja Powietrznodesantowa wyruszyła do Afryki Północnej. 6 Dywizję (taka numeracja została ustalona w celu zmylenia niemieckiego wywiadu) utworzono z oddziałów, które pozostały w metropolii, w tym kompanii D.

Generał Richard Gale, znany wszystkim jako „Windy” [czyli

„Wietrzny”; „gale” oznacza po angielsku podmuch wiatru], objął

dowództwo 6 Dywizji Powietrznodesantowej. Ten postawny, pewny siebie, doświadczony oficer, który wcześniej dowodził 1 Brygadą Spadochronową, miał w sobie coś z korsarza i sporą dozę wyobraźni.

Dowódcą 5 Brygady Spadochronowej został Nigel Poett, oficer Durham Light Infantry. Potężnie zbudowany Poett należał do do-wódców niezwykle skrupulatnych i drobiazgowych, kierował walką bezpośrednio z linii frontu. Na czele 3 Brygady Spadochronowej stanął

James Hill, oficer pułku Royal Fusiliers, odznaczony Orderem za Wybitną Służbę (DSO) za udział w kampanii północnoafrykańskiej. Kompania D

weszła w skład 6 Brygady Powietrznodesantowej dowodzonej przez Hugh'a Kindersleya.

Pod nadzorem Gale'a szkolenie przyspieszono. Krążyły pogłoski, że dywizja uczestniczy w przygotowaniach do inwazji na Francję. Gale, zarządzając manewry i ćwiczenia, chciał się przekonać, na co stać dywizję i w jaki sposób można wykorzystać jego żołnierzy w D-Day.

W COSSAC (Szefostwie Sztabu Naczelnego Dowództwa Alianckie-go) już od roku planowano inwazję pod kierownictwem generała Fredericka Morgana. Do wiosny 1943 roku Morgan i jego stratedzy wybrali na rejon inwazji wybrzeże Normandii, na zachód od ujś-

cia rzeki Orne. Kompania D i cała 6 Dywizja Powietrznodesantowa miała osłaniać lewe skrzydło sił inwazyjnych, w tym brytyjską 3 Dywizję lądującą na plaży Sword. Owa lewa flank miała kluczowe znaczenie dla powodzenia całej inwazji - dalej na wschód, za Hawrem i u ujścia Sekwany, Niemcy zgromadzili gros swoich sił pancernych na zachodzie. Gdyby Rommel przerzucił czołgi przez Sekwanę, przeprawił się przez rzeki Dives i Orne, a następnie przeprowadził zdecydowany kontratak na odsłonięte skrzydło 3 Dywizji, miał szansę rozbić siły inwazyjne. Przerzucenie przez

aliantów na przyczółek czoł-

gów i artylerii do odparcia podobnego uderzenia nie mogło nastąpić od razu.

Morgan i jego sztabowcy, przeciwdziałając temu zagrożeniu, za-planowali skierowanie 6 Dywizji Powietrznodesantowej w rejon mię-

dzy rzekami Orne i Dives. Po styczniu 1944 roku, kiedy Naczelne Dowództwo Alianckich Ekspedycyjnych Sił Zbrojnych (SHAEF) objął Eisenhower, a Montgomery stanął na czele brytyjskiej 21 Grupy Armii, skupiającej inwazyjne wojska lądowe, plan ten uległ wielu zmianom i korektom, z których najistotniejsza polegała na powiększeniu obszaru działania oraz liczebności pierwszego rzutu desantu z trzech do pięciu dywizji. Ale jedna decyzja COSSAC pozostała nie zmieniona: 6 Dywizja Powietrznodesantowa miała operować samodzielnie, na wschód od Orne, z zadaniem powstrzymania pancernych kontrataków nieprzyjaciela. Sposób wykonania tego zadania pozostawiono generałowi Gale'owi.

Kompania D rozpoczęła szkolenie lotnicze na niewielkich szybowcach *Waco*. Howard koncentrował się na zgraniu działań swoich zespołów. Drzwi otwierano, gdy szybowiec podchodził do lądowania; kiedy dotknął ziemi, żołnierze byli popędzani okrzykami: „Jazda, ruszać się!”. Howard wciąż powtarzał podkomendnym, że są jak „szczury w pułapce”, dopóki nie opuszczą szybowców.

Latanie w szybowcach dawało się ludziom we znaki, szczególnie Howardowi. Generał Napier Crookenden napisał w książce *Drop Zone Normandy*:

Ponieważ szybowiec na końcu liny holowniczej posuwał się naprzód zrywami, gdy hol naprzemiennie napinał się i rozluźniał niewielu żołnierzy potrafiło znieść półgodzinny lot, nie dostając mdłości. Podłogę szybko pokrywały wymiociny, a ich widok wywoływał skurcze najmocniejszych żołądków.

Howard nie potrafił przezwyciężyć ataków mdłości; wymiotował

podczas każdego z dwunastu treningowych lotów, w których brał udział.

Na szczęście, w przeciwieństwie do choroby morskiej, tego rodzaju dolegliwość miała krótkotrwały przebieg i na ziemi bardzo szybko dochodził do siebie.

Ta drobna słabość Howarda stała się tematem żołnierskich żartów, które zresztą dawały tak potrzebne żołnierzom chwilowe odprężenie. W

koszarach dochodziło do rozmaitych incydentów. Wally Parr relacjonuje:

„Była północ, spaliśmy, aż tu nagle otwierają się drzwi i wpada banda wrzeszczących szajbusów z plutonu Sweeneya i nasze łóżka dosłownie wylatują w powietrze. Okazało się, że to ćwiczebne race, które oni rozrzucali po całym pomieszczeniu, na lewo i prawo, razem ze świecami dymnymi. Tak się dawało upust nadmiarowi energii i silnej frustracji”.

Nuda szczególnie dręczyła Parra, wówczas już kaprała, dowodzącego snajperami. „Ja, Billy Gray i jeszcze jeden gość tak się nudziliśmy pewnego wieczoru, że postanowiliśmy, dla zabawy, obrabować magazyny NAAFI*. Czekaliśmy, aż się ściemni, potem zasnęliśmy i zapomnieliśmy o pomysle, ale przebudziliśmy się o 5.00 nad ranem i pomyśleliśmy, co tam, do licha, możemy spróbować i teraz.

Włamaliśmy się do magazynu i zakosiliśmy mydło, proszek higieniczny i podobne rzeczy. Wróciliśmy, rozsypaliśmy je na bruku i chodniku. Przyszedł deszcz i wszystko zmył.

Nigdy w życiu nie widziałem takiej piany".

Za ten wybryk Howard zdegradował Wally'ego Parra do stopnia szeregowego i wsadził go na dwa tygodnie do aresztu. Billy Gray i ów trzeci dostali po 28 dni paki.

Przełożony Howarda, pukownik Mike Roberts, chciał odesłać Parra do macierzystej jednostki. Howard zaoponował, że to zbyt surowa

* NAAFI - Navy, Army and Air Force Institutes - organizacja zaopatrująca wojskowe jednostki brytyjskie [przyp. wyd.].

kara i wyjaśnił Robertsowi: „Parr to może i szeregowy, ale jest prawdziwym żołnierzem, a na froncie szybko uzyska awans. To urodzony dowódca". Roberts pozwolił Howardowi zatrzymać Parra. Podobne wybryki zdarzały się wcale nierzadko. Howard nazywał czołowych rozrabiaków „swoimi nicponiami" i mówi: „Najwięksi nicponie okazali się najlepszymi żołnierzami w ogniu walki. W bitewnym chaosie czuli się jak ryby w wodzie. Niestety, większość z nich poległa, bo byli porywczy i narwani". Już 8 czerwca 1944, dwa dni po wejściu kompanii do akcji, Parrowi przywrócono stopień kaprała.

Howard walczył z nudą, zmuszając żołnierzy do skrajnego wysiłku fizycznego. Sam sobie nie udzielał taryfy ulgowej. Bywały długie okresy, kiedy sypiał zaledwie po dwie lub trzy godziny na dobę, przygotowując się do podejmowania szybkich decyzji w warunkach znużenia i wyczerpania umysłowego.

Howard postanowił też uczynić z kompanii D doskonałą bojową jednostkę nocną. Wprawdzie nie wiedział jeszcze, że wezmą udział w nocnym desancie, niemniej miał świadomość, iż za linią frontu przyjdzie im walczyć również nocą. Często przypominał sobie zasłyszane, krążące w niemieckiej armii powiedzenie: „Noc nie jest przyjaciółką człowieka".

W armii brytyjskiej mówiono, że „Niemiec nie lubi walczyć w nocy".

Szkopuł w tym, iż Brytyjczycy także za tym nie przepadali. Howard postanowił uporać się z problemem walki w ciemnościach, czyniąc z nocy dzień. Stawiał kompanię na nogi o godzinie 20.00, brał żołnierzy na zaprawę, prowadził do stołówki, a potem przez następne dwanaście godzin ćwiczyli na poligonie, doskonalili musztrę, zajmowali się rutynową robotą papierkową - słowem, wszystkim, co normalnie wykonuje się za dnia. Po 10.00 rano zapędzał swych ludzi na plac sportowy, a o 13.00 odsyłał do koszar spać. O 20.00 procedura rozpoczynała się na nowo: pobudka, forsowny bieg. Początkowo taki rozkład zajęć utrzymywano przez tydzień; na początku 1944 roku, zgodnie ze wspomnieniami Parra, „przez kilka tygodni, nieprzerwanych tygodni, zamiana nocy w dzień, a co pewien czas [Howard] wprowadzał «normalny» tydzień". Na pytanie, czy przyniosło to pożądaný skutek, Parr odpowiada: „Och, przywykliśmy do tego, przyzwyczailiśmy się do działań nocnych, robienia wszystkiego po ciemku".

Kompania D miała coraz silniejsze poczucie niezależności i sa-modzielności. Sportowa pasja zaowocowała, zgodnie z nadziejami Howarda, rozbudzeniem zbiorowych ambicji. Jego żołnierze chcieli, by kompania D była pierwsza we wszystkim i w istocie wygrywali pułkowe zawody w boksie, pływaniu, biegach przełajowych, piłce nożnej i innych konkurencjach. Kiedy brygadier Kindersley wyraził ochotę zobaczenia wyścigu najlepszych biegaczy w brygadzie, kompania D wystawiła do tych zawodów dwudziestu uczestników i piętnastu z nich uplasowało się w pierwszej dwudziestce. Według Howarda, Kindersley „skakał z tego powodu z radości”.

By zaskarbić sobie takie uznanie, Howard i jego kompania pracowali długo i ciężko. W ostatecznym rozrachunku chodziło naturalnie o zwycięstwo nad Niemcami, ale prześcignięcie innych kompanii w brygadzie także dawało satysfakcję. Kompania D pragnęła stać się najlepszą kompanią szybowcową, gdyż to dawało szansę odegrania w walce historycznej roli. Nikt nie był w stanie odgadnąć, jaka ona będzie, ale każdy szeregowy domyślał się, że Ministerstwo Wojny wydaje tyle pieniędzy na tworzenie elitarnych formacji, bo ma zamiar wykorzysta je w inwazji. Równie oczywiste było to, iż wojska po-wietrznodesantowe zostaną zrzucone na tyły wroga, że najambitniej-sze zadanie otrzyma najlepsza z kompanii. Ta właśnie myśl dodawała skrzydeł Howardowi i jego żołnierzom podczas długich, wyczerpujących miesięcy dwuletniego szkolenia.

Wszyscy bez wyjątku żołnierze kompanii zdawali sobie - świadomie albo podświadomie - sprawę, że D-Day będzie najważniejszym dniem w ich życiu. Nic, co wydarzyło się wcześniej, nie mogło się z nim równać, i nic potem nie będzie miało takiej rangi. Kompania D dokładała więc wszelkich starań, ażeby uzyskać prawo wejścia do akcji jako pierwsza.

Wiosną 1943 roku Jim Wallwork ukończył kurs pilotażu szybowcowego, latając głównie na *Hotspurach*, przechodząc pomyślnie surową selekcję, podczas której odrzucono ponad dwie trzecie kandydatów. Następnie Wallworka oraz dwudziestu dziewięciu innych pilotów szybowców skierowano do Brize Norton, starej bazy lotniczej, „i tam zobaczyliśmy pierwszy szybowiec z podwoziem, *Horsę*, i natychmiast się w nim zakochaliśmy”.

Szybowce typu *Horsa* były produktem brytyjskiego przemysłu. W

grudniu 1940 roku Ministerstwo Lotnictwa, w związku z koniecznością oszczędzania metali o znaczeniu strategicznym, zamówiło całkowicie drewniany szybowiec transportowy. Prototypy zbudowano w miejscu dzisiejszego lotniska Heathrow, a pięć następnych -w zakładach Airspeed w Portsmouth, gdzie powstało też siedemset egzemplarzy seryjnych. *Horsa* był zapewne „najbardziej drewnianym”

statkiem powietrznym w dziejach lotnictwa; nawet tablice przyrządów w kabinie pilotów wykonano z drewna. Był to górnopłat z kanciastym

„nosem” z pleksiglasu i stałym podwoziem. Rozpiętość skrzydeł wynosiła 29 metrów, a długość kadłuba - nieco ponad 22 metry. Załogę tworzyło dwóch pilotów, na pokład można było zabrać dwudziestu ośmiu w pełni uzbrojonych żołnierzy albo dwa jeepy lub haubicę kalibru 75 mm i jednego jeepa.

Tyle danych technicznych. Wallwork tak opisał moment, kiedy pierwszy raz zobaczył *Horsę*: „Przede

wszystkim byliśmy zdumieni rozmiarami tego szybowca. Przypominał wielką czarną wronę. Kiedy po raz pierwszy weszliśmy do środka, zanim jeszcze wzlecieliśmy w powietrze i zaznajomiliśmy się z układem sterowniczym, zwróciliśmy uwagę na rozmiary klap i hamulców aerodynamicznych. Zrobił na nas wrażenie, szczególnie, że to my mieliśmy nim latać". Fotele w kabynie pilotów były ustawione obok siebie „i bardzo duże”, a widoczność - znakomita. W

kabynie znajdował się podwójny zestaw oprzyrządowania, identyczny dla obu pilotów.

Wśród instrumentów pokładowych były m.in.

prędkościomierz, zakrętomierz, sztuczny horyzont, wskaźnik ciśnienia w instalacji pneumatycznej, kompas i wysokościomierz.

„Prowadzenie szybowca przypomina - zdaniem Wallworka - pilotowanie samolotu. Przyrządy i wskaźniki pokładowe są takie same, brakuje tylko wskaźnika obrotów silnika oraz wskaźnika temperatury. I sam silnik znajduje się sto metrów z przodu, ktoś inny nadzoruje jego pracę”.

Szybowiec holowano na pojedynczej linie, umocowanej do zamka w nosie kadłuba (*Horsa MkII*). Od samolotu holującego wzdłuż liny holowniczej

biegł kabel, umożliwiając utrzymywanie

łączości

telefonicznej między pilotem bombowca a załogą szybowca.

W połowie wiosny Wallwork został jako jeden z pierwszych za-kwalifikowany do grona pilotów szybowców transportowych *Horsa*, a następnie przerzucono go do Afryki Północnej.

*

*

*

W marcu 1943 roku Rommel wezwał von Lucka do swojego sztabu w pobliżu Benghazi. Po omówieniu spraw związanych z zaopatrzeniem, Rommel, który traktował von Lucka jak swego

drugiego syna, zabrał go na przechadzkę. Chciał z nim szczerze porozmawiać.

- Posłuchaj - powiedział - pewnego dnia wspomnisz moje słowa.

Przeegraliśmy tę wojnę.

- Przecież wdarliśmy się w głąb Rosji -wykrzyknął Luck. - Jesteś my w Skandynawii, we Francji, na Bałkanach, w Afryce Północnej.

Jak możemy przegrać?

- Powiem ci - odrzekł Rommel. - Dostaliśmy w skórę pod Stalin gradem, stracimy Afrykę wraz z częścią najlepiej wyszkolonych sił

pancernych. Bez nich nie damy rady walczyć. Jediną rzeczą, którą możemy zrobić, to prosić o zawieszenie broni. Musimy skończyć tę całą aferę z Żydami, zmienić podejście do spraw religijnych i starać się o rozejm już teraz, kiedy jeszcze mamy w ręku jakieś atuty.

Rommel polecił von Luckowi udać się do kwatery głównej Hitlera i błagać Fuhrera o ewakuację wojsk z Afryki. Sytuacja sił „Osi” w Afryce Północnej stała się beznadziejna, stwierdził Rommel, który chciał ocalić swój Afrika Korps.

Von Luck poleciał do kwatery Hitlera, ale rozmawiał tylko z generałem Jodlem. Oznajmił on von Luckowi, że Fuhrer prowadzi właśnie negocjacje polityczne z Rumunami i nie należy mu zawracać głowy kwestiami militarnymi. „A poza tym - powiedział Jodl - wcale nie planujemy odwrotu z Afryki Północnej”.

Von Luck już nie wrócił do Tunezji. Rommel odleciał do Europy, a formacje Afrika Korps uległy rozbiciu i trafiły do niewoli.

Przez następne pół roku von Luck wykładał w akademii wojskowej.

Późną jesienią 1943 roku dostał przydział do 21 Dywizji Pancerniej w Bretanii, gdzie objął dowództwo jednego z dwóch pułków. Trafił tam na specjalne żądanie dowódcy dywizji, generała majora Edgara Feuchtingera, który był blisko Hitlera i dostawał tych oficerów, o których prosił. Feuchtinger wskrzesił 21 Dywizję Pancerną (rozbitą w Afryce Północnej). Jej oficerami byli wyłącznie weterani, głównie z Afryki i frontu wschodniego, żołnierzami natomiast - ochotnicy; młodzi, pełni zapału do walki. Jednostka miała pełny stan - prawie 16 tysięcy ludzi - i dysponowała znakomitym sprzętem, w tym najnowszymi czołgami.

Dzięki inicjatywie majora Beckera,

oficera rezerwy i prawdziwego geniusza w sprawach sprzętu, posiadała też imponującą liczbę dział samobieżnych.

Von Luck zajął się swoim pułkiem. W ćwiczeniach kładł nacisk na przygotowanie żołnierzy do walk nocnych. Pod koniec 1943 roku Rommel został dowódcą niemieckiej Grupy Armii „B”, w skład

której wchodziła między innymi 7 Armia stacjonująca w Normandii i Bretanii. Przybycie obdarzonego silną osobowością Rommla stało się tak potrzebnym zastrzykiem entuzjazmu dla żołnierzy budujących Wał

Atlantycki, który miał strzec od zachodu hitlerowskiej *Fe-stung Europa*.

Nawet major Schmidt pilnujący mostów na Orne zaraził się tym entuzjazmem. Zjawił się w Normandii kilka miesięcy wcześniej i szybko przeobraził się z fanatycznego nazisty w garnizonowego oficera korzystającego z uroków życia francuskiej prowincji. Nakazał swoim żołnierzom kopanie rowów strzeleckich i schronów, a nawet budowę stanowiska karabinu maszynowego. Wraz z objęciem dowództwa na Zachodzie przez Rommla tempo przygotowań obronnych znacznie wzrosło, podobnie jak liczba stałych fortyfikacji i umocnień polowych.

W marcu 1944 roku załogę mostu wzmocniło dwóch ludzi. Jednym z nich był Werner Bąk, schwytany przez gestapo w Warszawie i skierowany na sześciotygodniowe przeszkolenie, na którym ledwie rozumiał komendy wydawane przez niemieckich podoficerów. Potem trafił do 716 Dywizji Piechoty stacjonującej na wybrzeżu na północ od Caen. Drugi z przybyłych, Helmut Romer, skończył w Berlinie naukę, został

powołany do wojska i także otrzymał przydział do 716 Dywizji.

W tym okresie Theresa Gondree urodziła córeczkę, siostrzyczkę 6-letniej Georgette.

Heinz Hickman spędził większą część 1943 roku z bronią w ręku.

Wziął udział w kampanii sycylijskiej, potem walczył pod Salerno i Cassino. Pod Cassino jego pułk poniósł tak ciężkie straty, że musiał zostać wycofany do Bolonii dla uzupełnienia stanu. Zimą 1943/1944 roku Hickman i jego pułk spadochronowy - podobnie jak Howard wraz z całą kompanią D oraz von Luck z 21 Dywizji Pancerniej - kontynuował

intensywne szkolenie.

W czerwcu Jim Wallwork znalazł się w Algierii, gdzie uczył się latać na amerykańskich szybowcach typu *Waco Hadrian*, które lądowały na płozach i przewoziły siedemnastu żołnierzy desantu. Była to konstrukcja trudna w pilotażu i bardzo nie lubiana przez brytyjskich pilotów szybowcowych. Ci sami piloci zareagowali z radością na wieść, że Oliver Boland i kilku innych ma się udać do Anglii w celu sprowadzenia do Afryki Północnej paru szybowców *Horsa*. Wallwork powiedział swoim amerykańskim instruktorom:

- Bądźcie tu dzisiaj, to zobaczycie prawdziwy szybowiec. Dopiero się przekonacie.

Wtedy nadleciał pierwszy *Halifax* z *Horsą*. Zwracając się do instruktora, Wallwork wrzasnął:

- Spójrz na to, cholerny Jankesie, oto prawdziwy samolot, prawdziwy szybowiec, wszystko jak trzeba. Ale... niech mnie ziemia pochłonie!

Horsa odczepił hol, zatoczył w powietrzu łuk, podszedł do lądowania

„i zarył nosem tak, że aż mu odpadł. Można to sobie wyobrazić. A to był

pierwszy szybowiec. Cóż, nasi amerykańscy przyjaciele mieli niezły ubaw”.

W dniu alianckiej inwazji na Sycylię Jim przewoził w *Waco* pewnego porucznika, dziesięciu piechurów i skrzynię z amunicją. Szybowiec holowali Amerykanie pilotujący transportowe *Dakoty* - samoloty bez samouszczelniających się zbiorników paliwa i osłony z pancernych płyt.

Mieli rozkaz unikać za wszelką cenę ognia artylerii przeciwlotniczej.

Kiedy zbliżyli się do linii brzegowej, a nieprzyjaciel zaczął do nich strzelać, większość z amerykańskich pilotów odrzuciła hol i zawróciła ku morzu. W rezultacie aż dwadzieścia z dwudziestu czterech szybowców nie dotarło do brzegu, a wielu żołnierzy desantu utonęło (po tym wydarzeniu John Howard zintensyfikował trening pływacki swoich ludzi).

Jim zaklinał pilota „swojej” *Dakoty*, by ten ciągnął dalej. Pilot jednak nie pociągnął i zawrócił w stronę morza. Wykonał następny nawrót i poleciał

Jimowi zejście z holu, czego Jim nie usłuchał. Wallwork widział, że brzeg znajduje się zbyt daleko i wrzasnął:

-Dalej! Dalej!.

Potem nastąpiło trzecie podejście i Jim po raz kolejny odmówił

odrzucenia holu. Za czwartą próbą pilot *Dakoty* stwierdził spokojnie, lecz stanowczo:

- James, ja stąd zjeżdżam. Musisz puścić hol.

Tym razem Jim nie miał wyjścia. I w istocie udało mu się wylądować; szybowiec prześliznął się po plaży, a potem po małym wyboistym poletku, dość blisko gniazda włoskiego karabinu maszynowego.

Włosi otworzyli ogień „i wszyscy wyskoczyliśmy; wiedzieliśmy już, że z szybowca trzeba się szybko wynosić”. Jim skierował w stronę Włochów lufę swojego *Stena* i pomyślał: „Dobra, dranie, zaraz dam wam popalić”.

Nacisnął spust, ale bez skutku. *Sten* się zaciął. Na szczęście za pomocą *Brena* udało się ich unieszkodliwić. Gdy drużyna desantowa zaczęła rozładunek szybowca, porucznik spytał Wallworka:

- Gdzie my, u diabła, jesteśmy? Czy wiesz, gdzie wylądowaliśmy?

- Właściwie, panie poruczniku - odparł Jim - myślę, że należą się panu gratulacje.

- Za co?

- Sądzę, że jest pan pierwszym alianckim oficerem, który zaata kował miękkie podbrzusze Europy przez włoski but.

Dziś Wallwork utrzymuje, iż kolejne naloty nad plażę tak go skołowały, że naprawdę nie był pewien, czy wylądował na właściwym kontynencie.

Porucznik parsknął tylko:

- Cóż, nie zastanawiałem się zbyt nad tym. Później owej jesie ni Wallwork powrócił do Anglii, by wziąć udział w operacji o krypto nimie „Deadstick”.

Plan operacji opracował generał Gale. Studiując problemy taktyczne, stwierdził, że najlepszy sposób zabezpieczenia lewej flanki plaży Sword polega na zniszczeniu przez spadochroniarzy mostów na rzece Dives i następnie skierowanie żołnierzy do obrony mostów w Ran-ville i Benouville nad rzeką Orne i kanałem Caen. Bez tych mostów Niemcy nie mogli zagrozić lewemu skrzydłu wojsk inwazyjnych. Jednakże wysadzenie ich w powietrze oznaczałoby odcięcie całej dywizji powietrznodesantowej na nieprzyjacielskim terytorium, pozbawienie jej naturalnych osłon, silnego uzbrojenia przeciwpancernego czy też zapasów umożliwiających dłuższą walkę.

Tak więc mosty należało uchwycić nie zniszczone. Gale wiedział, że strzeże ich niemiecki garnizon i że zostały one przygotowane do wysadzenia w powietrze. Spadochroniarze byli w stanie zdobyć owe mosty, ale szansa opanowania ich w stanie nietkniętym wydawała się nikła.

Czas, potrzebny spadochroniarzom do zebrania sił i zorganizowania ataku, umożliwiłby Niemcom zniszczenie przepraw. Gale doszedł zatem do wniosku, że jedyne rozwiązanie polega na opanowaniu mostów nagłym atakiem przez desant na szybowcach *Horsa*, które przewoziły po dwudziestu ośmiu żołnierzy. Co więcej, szybowce były bezgłośnie, a w nocy prawie niewidoczne. Gale napisał w swoich wspomnieniach, że pomysł takiego niespodziewanego szturmu przyszedł

mu do głowy, kiedy analizował niemieckie desanty szybowcowe przeprowadzone na belgijski fort Eben Emael w 1940 roku i kanał

Koryncki w Grecji w 1941 roku. Był przekonany, że dobrzy piloci szybowcowi i sprawna kompania desantu mogą dokonać podobnego wyczynu. Największy problem polegał na utrzymaniu mostów i odparciu nieprzyjacielskich kontrataków aż do chwili nadejścia z odsieczą oddziałów spadochroniarzy.

Gale postanowił oddać kompanię szybowcową pod komendę brygadiera Poetta, ponieważ to właśnie jego brygada spadochroniarzy miała dotrzeć jako pierwsza do szybowców na ziemi. Wyjaśnił brygadierowi:

- Uchwycenie tych mostów w stanie nie naruszonym ma najwyższe znaczenie dla przebiegu dalszych działań. Skoro mosty zostały przygotowane do wysadzenia, to błyskawiczne unieszkodliwienie ich obrony przez grupę uderzeniową będzie pańskim pierwszym celem.

Musi pan podjąć to ryzyko.

Gale przedstawił też plan zaskakującego uderzenia Kindersleyowi, którego spytał, kto w jego brygadzie jest najlepszym dowódcą kompanii i mógłby dokonać takiego wyczynu. Kindersley odparł:

- Sądzę, że wszyscy moi żołnierze są świetni, ale mam wrażenie, że najlepiej poradziłby sobie Johnny Howard.

Gale zarządził trzydniowe manewry. Kompania D dostała zadanie opanowania trzech niewielkich mostów i utrzymania ich do chwili nadejścia wsparcia. Szturm przeprowadzono nocą, na poligonie wylądowała znaczna część dywizji. Żołnierze desantu szybowcowego przybyli do wyznaczonej „strefy lądowania” na ciężarówkach. Wszystko odbywało się pod okiem rozjemców. Około godziny 23.00 kompania D, po krótkim starciu ze spadochroniarzami broniącymi przepraw, uchwyciła mosty, zanim obrońcy zdążyli je zniszczyć. „Naprawdę biliśmy się pierwszorzędnie - wspomina Howard - choć używano oczywiście ślepej amunicji. „Windy” Gale, Hugh Kindersley i Nigel Poett uważnie obserwowali przebieg ćwiczeń.

Na odprawie 18 kwietnia Gale pochwalił „mostowy desant” kompanii D, szczególnie wyróżniając „werwę” kompanii. Był to oczywiście wielki komplement dla Howarda i jego ludzi, ale na tym się nie skończyło.

Pułkownik Mike Roberts wezwał Howarda do swojego biura i wstępnie zapoznał go z planowaną misją. Stwierdził, że kompania D dostanie „pewne bardzo ważne zadanie do przeprowadzenia po rozpoczęciu inwazji. Macie zdobyć dwa nie naruszone mosty. Stoją one w odległości około 400 metrów od siebie i mają po 45 metrów długości”.

- Znajdziecie się w czołówce wojsk inwazyjnych i z pewnością będę dzieckiem pierwszym brytyjskim pododdziałem, który wyląduje na kontynencie - dodał.

Roberts, który zwykle skrywał swoje uczucia, wydawał się głębo-ko poruszony, gdy to mówił. Stwierdził, że przydzielenie kompanii takiej misji to wielki, wielki zaszczyt dla Ox i Bucks.

Wszelkie informacje na ten temat są oczywiście objęte ścisłą tajemnicą wojskową - powiedział dalej, a on sam przekazał je Howardowi tylko dlatego, iż Gale szykuje następne, jeszcze większe manewry o nazwie „Mush”, które będą właściwie próbą generalną przed desantem we Francji. Ponadto Gale postanowił wzmocnić kompanię D z czterech do sześciu plutonów. Roberts polecił Howardowi wy-branie dwóch dodatkowych plutonów z pułku.

Howard zdecydował się na dwa plutony z kompanii B, z których jednym dowodził Sandy Smith, a drugim Dennis Fox. Obaj poruczni-cy, lubiani przez żołnierzy, niegdyś studenci Cambridge, byli zapalonymi sportowcami, w świetnej formie fizycznej; kipieli młodzieńczym entuzjazmem.

Howard polecił Brianowi Pridayowi zorganizować im powitanie w nowej kompanii. Pewnego wieczoru Priday wyciągnął Smitha i Foxa z kwater i zapytał ich w wielkim sekrecie.

- Chcecie wziąć udział w małej bibce, którą robimy? Nie możemy wam nic zdradzić, poza tym, że czekają was przenosiny do kompanii D.

Smith i Fox wymienili spojrzenia. Obydwaj trochę się nudzili w wojsku, nie przepadali za zawodowymi żołnierzami, szczególnie nie znosili fanatyków. A John Howard miał w pułku opinię fanatyka. Co więcej, lubili „uganiać się za kobietami i dobrze się zabawić. Byliśmy lekkoduchami, a

ta banda oficerów z kompanii D wydawała nam się śmiertelnie nudna. Sweeney, Brotheridge, Hooper, Priday, Wood...

trzymaliśmy się z daleka od tej zgrai fanatyków. Swoją drogą, oni też uważali nas za postrzelców". Jednak uczestnictwo w ściśle tajnej misji było pokusą nie do odparcia. Ku swemu zdumieniu, szybko i bez kłopotów dogadali się z nowymi kolegami.

Kompania D otrzymała jeszcze jedno wzmocnienie - trzydziestu saperów pod dowództwem Jocka Neilsona. Nie tylko wchodzili oni w skład wojsk inżynieryjnych, ale byli też spadochroniarzami. Howard wspominał, że kiedy się u niego zameldowali, „wyrazili dosyć jasno swoją opinię na temat lądowania w szybowcach. Spadochroniarze i żołnierze oddziałów szybowcowych darzą się nawzajem re-spektem, ale o ile wielu z nas chętnie weszłoby do walki po skoku ze spadochronem, to chłopaków od spadochroniarzy trudno było za-ciągnąć do boju w [szybowcach] *Horsa*".

Przed ćwiczeniami „Mush” kompania D dostała dwutygodniowy urlop. Joy nieco wcześniej kupiła mały dom w Oksfordzie, gdzie John ujrzał po raz pierwszy nowo narodzoną córeczkę Penny. To wtedy właśnie Howard schował swój wyjściowy mundur i zabrał

dziecinny bucik Terry'ego. Joy ze śmiechem wspomina, że w roku 1940, gdy w Anglii obawiano się niemieckiej inwazji, John zostawił

jej pistolet *Luger* i pouczył, jak się z nim obchodzić. W kwietniu 1944

roku po wyjeździe męża zauważyła, że wziął ze sobą naboje. Doszła do wniosku, że uczynił to z obawy, iż może nie powrócić, a ona z rozpaczy odbierze sobie życie. Joy śmieje się i mówi, że nie była w stanie nawet podnieść tego pistoletu, a co dopiero użyć.

Den Brotheridge także odwiedził swoją Margaret, z którą ożenił

się rok wcześniej; była w siódmym miesiącu ciąży. Wally Parr pojechał

do Irene do Londynu. Większość pozostałych chłopaków także spotkała się z rodzinami.

Pod koniec kwietnia wszyscy stawili się z powrotem w Bulford.

Cofnięto do odwołania wszelkie przepustki i przeprowadzono manewry „Mush”. Kompania D miała zaatakować, zdobyć i utrzymać most do momentu przybycia spadochroniarzy. W ćwiczeniach uczestniczyły wszystkie plutony oraz saperzy z kompanii. Przewieziono ich na miejsce ćwiczeń, potem pokonali pieszo kilkanaście kilometrów do wyznaczonej strefy lądowania, gdzie rozjemca nakazał im czekać na sygnał oznaczający zebranie szyków po pozorowanym wylądowaniu. Znajdowali się zaledwie kilkaset kilometrów od mostu strzeżonego przez polskich spadochroniarzy.

Na znak rozjemcy kompania D zaczęła się po cichu skradać w kierunku mostu. Tony Hooper jako pierwszy przedostał się przez zasieki z drutu kolczastego i wraz ze swoim plutonem popędził ku mostowi. Rozjemcy oznajmili, że most wyleciał w powietrze. Howard wspominał: „Widziałem Tony'ego sprzecząc się zajadle na moście ze zdenerwowanym rozjemcą, który wykluczył go z akcji wraz z większością jego plutonu.

Niepocieszeni żołnierze obsiedli most ze zdjętymi hełmami".

Rozjemcy oznajmili, że również pluton Sweeneya został wyeliminowany z ćwiczeń, gdyż dostał się pod ogień plutonu Brotheridge'a.

Sweeney istotnie nie rozpoznał ludzi Brotheridge'a, gdy obie grupy skradały się w stronę mostu. Howard wyciągnął wnioski z tego doświadczenia.

Ćwiczenia „Mush” zaplanowano, chcąc sprawdzić w praktyce plan uchwycenia mostów za liniami wroga. Ujawniły one pewne problemy, między innymi rozpoznawanie w ciemnościach. Ale przekonały Howarda oraz innych obserwujących manewry dowódców, że jeśli tylko szybowce *Horsa* wylądują w odpowiednim miejscu, to przeprowadzenie zaskakującego ataku jest możliwe.

Klucz do powodzenia operacji znajdował się w rękach pilotów. Dlatego właśnie Jim Wallwork i inni z pułku pilotów szybowcowych pracowali dzień i noc nad przygotowaniem operacji „Deadstick”. W kwietniu 1944

roku zorganizowano dla Gale'a ćwiczenia pokazowe pod kryptonimem

„Skylark”, podczas których szybowce *Horsa* wylądowały z wysokości około 2000 metrów na niewielkim trójkątnym polu. Kiedy wszystkie znalazły się już bezpiecznie na ziemi, z zarośli wyłonili się dowódca pułku, pułkownik George Chatteron, i generał Gale. Chatterona rozpieierała duma:

- No i widzisz, Windy, mówiłem ci, że moi chłopcy w każdej chwili mogą zrobić taką rzecz.

Wallwork usłyszał tę uwagę i pomyślał: „Chciałbym, żeby tak było, ale dopiero to zobaczymy”.

Aby jeszcze bardziej podnieść kwalifikacje pilotów, Gale skierował ich na ćwiczenia „Deadstick”. Szesnastu pilotów z pułku pilotów szybowcowych, po dwóch na każdy szybowiec, który miał wejść do akcji w D-Day, plus czterech rezerwowych, skierowano do Tarrent Rush-ton, na duże lotnisko, gdzie stacjonowały dwa dywizjony *Halifaxów* i dywizjon szybowców *Horsa*. Pilotów szybowcowych traktowano z wielkimi honorami. Zakwaterowano ich w tzw. domkach Nissena (półcylindrycznych schronach z blachy falistej), znakomicie karmiono i przydzielono nawet kapitana - wszyscy piloci byli sierżantami

- który pilnował, aby im niczego nie brakowało. Oliver Boland wspominał: „Niezwykłe o nas dbali. (...) W tamtym okresie byliśmy uprzywilejowaną grupą w brytyjskiej armii”.

Pilotów przedstawiono załogom bombowców holowniczych - czego wcześniej nie praktykowano. Członkowie tych załóg również kwatrowali w Tarrent Rushton i musieli poznać się z „podopiecznymi”.

Tandemy pilotów szybowcowych współpracowały podczas treningowych lotów z tymi samymi załogami, z którymi mieli wyruszyć w D-Day.

Loty ćwiczebne w ramach „Deadstick” były piekielnie trudne.

Pułkownik Chatteron kazał pilotom lądować w odległości około 400

metrów od lasu w kształcie litery L. Trzy szybowce lądowały w miejscu osłoniętym lasem, a trzy pozostałe po jego drugiej stronie. Obciąż-

zone były cementowymi płytami. Za dnia, podczas prostego dobiegu, nie przedstawiało to specjalnych trudności. Jednakże wkrótce Chatteron wydał polecenie zwalniania holu na wysokości ponad 2100 metrów i przeprowadzania w powietrzu innych manewrów. Należało, posługując się stoperem, wykonać dwa lub trzy pełne zwroty przed nalotem nad las. Z tym także piloci jakoś sobie radzili. Potem jednak Chatteron rozkazał nałożyć na okulary lotnicze pilotów kolorowe przesłony, które pogarszały widoczność. Ostrzegł przy tym: „Lepiej teraz nie oszukujcie, bo jak przyjdzie czas, będziecie musieli zrobić to tak, jak należy”. Wallwork zdzierał jednak z twarzy gogle, gdy miał

wrażenie, że przeleci lądowisko. „Ale z czasem zaczęliśmy grać uczciwie, wiedząc, że czeka nas coś ważnego”.

Na początku maja odbywali już loty nocne, podchodzili do lądowania z wysokości 2000 metrów w odległości ponad 11 kilometrów od lasu. Latali niezależnie od pogody. Co do sekundy wykonywali zalecane zwroty i zakręty. Przeprowadzili w sumie czterdzieści trzy loty treningowe, w tym ponad połowę nocami. Byli gotowi do akcji.

D-DAY

Miesiąc wcześniej

Drugiego maja Howard został wezwany do Broadmore, tymczasowej kwatery głównej Gale'a - starego wiejskiego domostwa, ze skrzypiącymi schodami i niskimi stropami, w pobliżu Milton na równinie Salisbury. To nadzwyczaj pilnie strzeżone miejsce otaczały zasieki z drutu kolczastego.

Brygadier Poett poinformował Howarda, kiedy ten został doprowadzony do jego biura, że kompanię D wydzielono z pułku Ox i Bucks i powierzono jej specjalne zadanie. Wręczył Howardowi rozkazy opatrzone pieczęcią „Bigot” i „Ścisłe tajne” z datą 2 maja. Nakazywały one

„uchwycenie *nie naruszonych* mostów na rzece Orne oraz kanale Caen koło Benouville i Ranville i utrzymanie ich aż do nadejścia odsieczy”.

Rozkazy zawierały także informacje o stanie i rozmieszczeniu wojsk nieprzyjaciela. „Załoga obydwu mostów składa się z około 50 żołnierzy”, uzbrojonych w cztery do sześciu ręcznych karabinów maszynowych, jedno lub dwa działa przeciwpancerne kalibru poniżej 50 mm, a także w ciężki karabin maszynowy. „Betonowy schron znajduje się w trakcie budowy, a mosty są przygotowywane do wysadzenia”. W okolicy stacjonował batalion 736 pułku grenadierów, który dysponował ośmioma-dwunastoma czołgami i transportem motorowym. Co najmniej jedna niemiecka kompania miała pełnić funkcję patrolu bojowego, gotowego do natychmiastowego zwiadu i wejścia do walki. Howard powinien oczekiwać, że nieprzyjaciel będzie „w stanie wysokiej gotowości. Obsada mostu liczy się z możliwością desantu,

a ładunki wybuchowe mogły zostać już rozmieszczone w przewidzianych miejscach”.

Czytając ten rozkaz, Howard zastanawiał się, jak generał Gale wyobraża sobie uchwycenie nie naruszonych mostów, przygotowanych do wysadzenia. Wystarczyło tylko uruchomić detonator i mosty wylecą w powietrze. Sam Gale w swojej książce z 1948 roku - *The 6th Airborne Division in Normandy* - pisze, co myślał o tej sprawie: Rozkazy są niejasne; pojawia się niepewność: czy nadszedł już odpowiedni moment, czy też należy poczekać? Kto konkretnie odpowiada za naciśnięcie dźwigni i wydanie rozkazu wysadzenia mostów? To stereotypowe pytania i na wątpliwościach, które mogły pojawić się w niemieckich głowach w krytycznej chwili, wsparłem swój plan. Jednak mogliśmy liczyć nie więcej niż na jedną taką chwilę czy dwie. Atak na mosty musiał więc spaść niczym grom z jasnego nieba.

Rozkazy dla Howarda z 2 maja informowały, że pierwsze przyjdą mu w sukurs jednostki 5 Brygady Spadochronowej, których zrzut miał nastąpić o godzinie 5.00 na północ od Ranville. Stąd powinny one „ruszyć naprzód i zająć pozycje obronne wokół obydwu mostów”.

Równocześnie 3 Brygada Spadochronowa miała wylądować na za-drzewionych wzniesieniach na południe od lasu Le Mesnil. O 6.00

brytyjska 3 Dywizja Piechoty planowała rozpoczęcie desantu na zachód od Ouistreham, „nacierając ku Caen”.

3 Dywizji przydzielono komandosów brygady lorda Lovata, którzy otrzymali zadanie posuwania się naprzód możliwie najszybciej, aże-by nawiązać łączność pomiędzy desantem na plażach a spadochroniarzami i żołnierzami oddziałów szybowcowych w okolicy mostów.

Oczekiwano, że brygada komandosów zdoła zrealizować to zadanie po godzinie 11.00.

Howard oprócz swej kompanii D dysponował dwoma plutonami z kompanii B, trzydziestoma saperami, skrzydłem pułku pilotów szybowcowych oraz sześcioma szybowcami transportowymi *Horsa*. Rozkazy przekazane 2 maja przez Poetta dawały też Howardowi ogólne wytyczne dotyczące szykowanej akcji.

„Zdobycie mostów będzie kluczowym punktem operacji, a jej powodzenie zależy w dużym stopniu od zaskoczenia, szybkości i impetu (...) O ile większość pańskich sił wylądowała cało i bezpiecznie, nie powinno być większych trudności ze zdobyciem mostów. Problemy mogą wiązać się z odpieraniem nieprzyjacielskich kontrataków na mosty aż do nadejścia odsieczy”.

Poett konstatał w swoim rozkazie, że „należy oczekiwać kontrataku natychmiast po 1.00 w nocy”, czyli w godzinę po wylądowaniu.

„Ten [kontr]atak może przypuścić grupa bojowa w sile jednej kompanii na ciężarówkach, wspierana ośmioma lub mniejszą liczbą czołgów, jednym bądź dwoma działami zamontowanymi na ciężarówkach - albo też piechota na ciężarówkach bez wsparcia, lub

[przybyła na miejsce walki] pieszo”. Kontruderzenie najprawdopodobniej nastąpi z zachodu.

Howard dostał polecenie zorganizowania pozycji obronnych niezwłocznie po zajęciu mostów, ponieważ „utrzymanie przepraw jest niezwykle ważne i w tym celu należy utworzyć mały przyczółek na zachodnim brzegu oraz strzec samych mostów. Mosty oraz przyczółek od strony zachodniej trzeba utrzymać za wszelką cenę”. Rozkazy Poetta nie przewidywały jednakże wyłącznie pasywnej obrony.

„Należy zakłócać i spowalniać rozwinięcie sił nieprzyjacielskiego kontrataku (...) za pomocą zaczepnych patroli. Ruchome patrole mają odgrywać rolę ofensywną i można do tego wyznaczyć do jednej trzeciej uczestniczących w walce żołnierzy. Pozostałe dwie trzecie zostaną użyte do statycznej obrony i błyskawicznych kontruderzeń”.

Poett jasno też określił rolę saperów. Poleciał Howardowi przydzielić im następujące zadania, uszeregowane pod względem ważności:

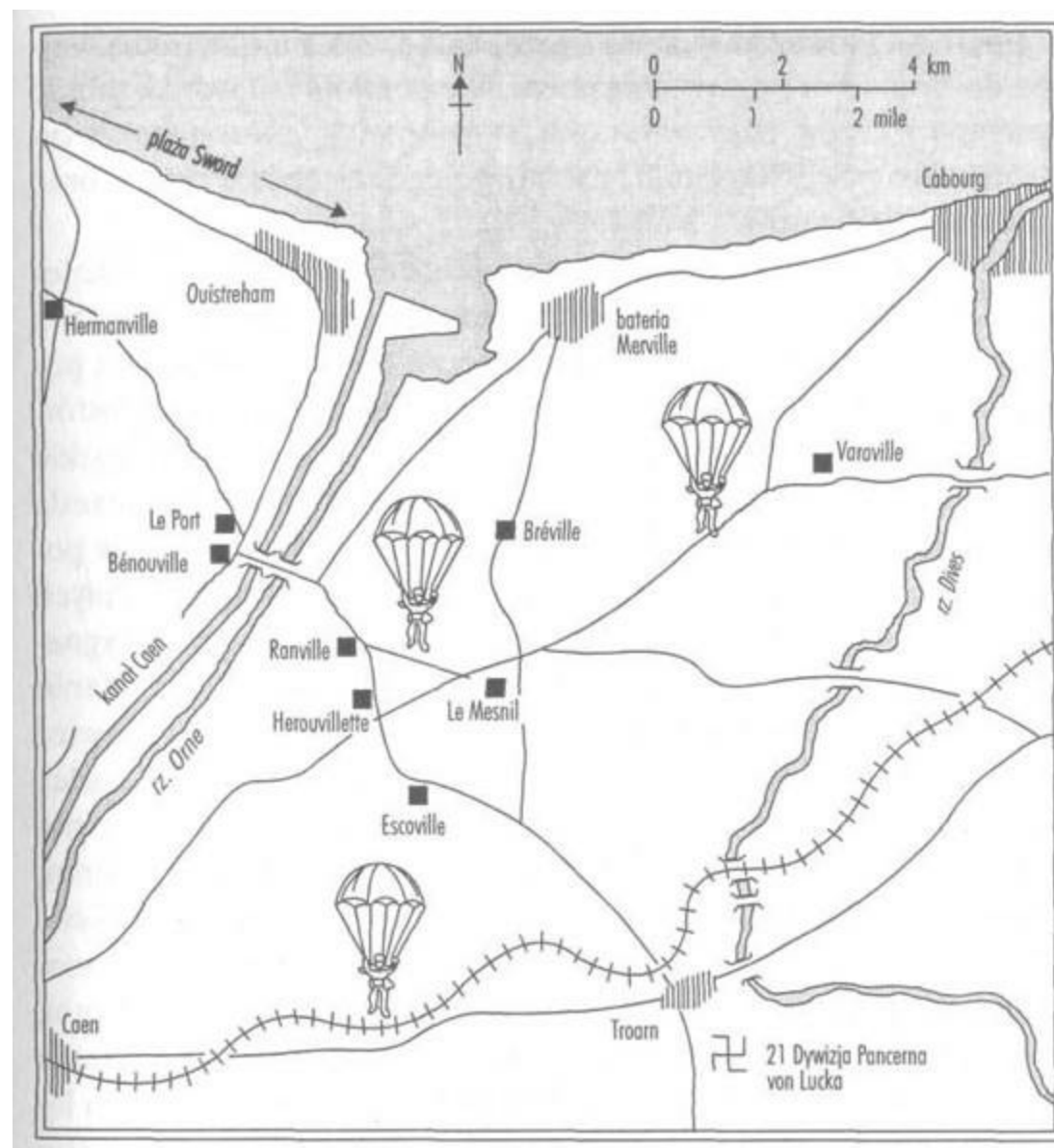
„unieszkodliwienie urządzeń służących do wysadzenia mostów; usuwanie ładunków wybuchowych z komór na moście; budowa promów i tratw przeprawowych”. Obiecał, że jedna z kompanii 7 batalionu spadochroniarzy z 5 Brygady Spadochronowej zostanie „wysłana na pomoc jak najszybciej po wylądowaniu brygady. Powinna dotrzeć do pańskich pozycji do godziny 2.30 i znaleźć się pod pana komendą aż do przybycia dowódcy 7 batalionu spadochroniarzy”.

Poett podsumował swoje rozkazy następująco: „Szkolenie pań-

skich żołnierzy zostanie uznane za kwestię priorytetową”. Zachęcał

Howarda do „zażądania specjalnych przydziałów zaopatrzeniowych i [dostępu do] placówek oraz urządzeń treningowych” i obiecywał

„udzielenie wszelkiej możliwej pomocy”.



Kiedy Howard zapoznał się z tymi rozkazami, Poett dodał, że nie zamierza wtrącać się w przygotowania kompanii D do nagłego uderzenia na mosty. Howard został obarczony podwójną odpowiedzialnością: za opracowanie efektywnego programu szkolenia oraz sporządzenie szczegółowego planu uchwycenia mostów.

Howard z trudem skrywał targające nim uczucia. Oczywiście trudne zadania, które przed nim postawiono, niepokoiły go, mógł sobie wyobrazić niekorzystny rozwój wydarzeń podczas akcji. A jednak był też podekscytowany i ogromnie dumny, że w D-Day to właśnie jego kompania D miała przetrzeć desantowi drogę.

Poett dał Howardowi zieloną przepustkę, która umożliwiała wejście do Broadmore o dowolnej porze. Nie pozwolił mu jednak zabrać stamtąd rozkazów, zdjęć lotniczych, map, notatek. Zabronił także informować o misji kompanii D nawet swojego zastępcę, Pridaya, oraz pozostałych oficerów.

Po powrocie do Bulford Howard skoncentrował się na szkoleniu. Za pomocą taśmy oznakował w terenie bieg rzeki i kanału, dwa mosty ponad nimi oraz wytyczył w rzeczywistej skali odległości pomiędzy celami.

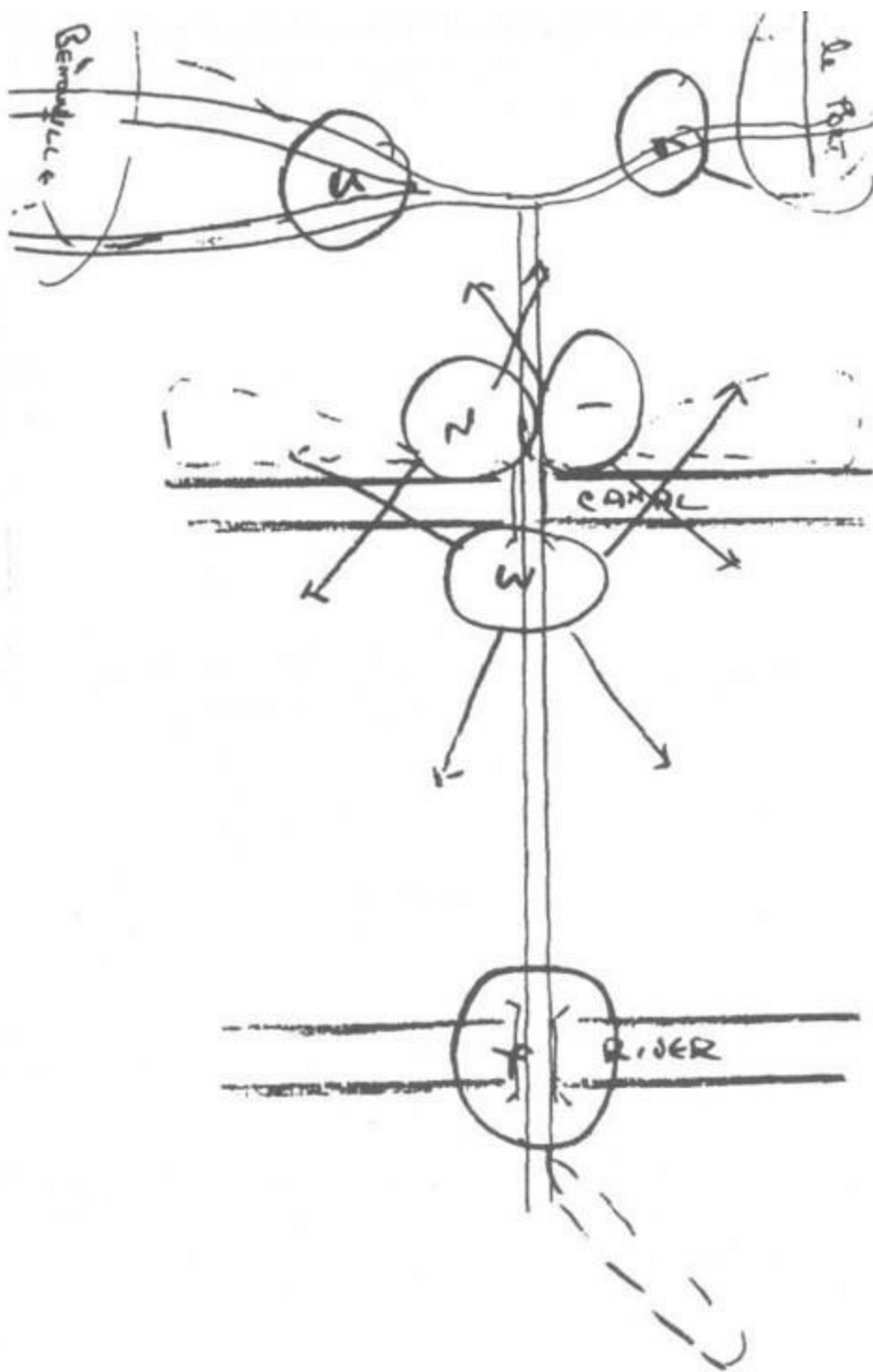
Dniem i nocą plutony ćwiczyły zdobywanie mostów - czasami pojedynczo, czasem po trzy plutony, czasem zaś wszystkie sześć. Howard wyczuwał, że jego plan musi się odznaczać przede wszystkim elastycznością. Jeśli tylko jeden szybowiec dotrze w pobliże celu, wówczas jeden pluton musi przejąć zadania pozostałych pięciu. Równocześnie nakazywał żołnierzom posługiwać się sygnałami głosowymi, przypominając o fiasku ćwiczeń

„Mush”. Po oddaniu pierwszego strzału mieli wołać do siebie co sił w płucach. Szybowiec nr 1 i jego desant dostał nazwę Able, drugi - Baker, trzeci - Charley itd. Howard żądał od *żołnierzy*, by co chwila wykrzykiwali swoje pozycje - aby łatwiej się nawzajem rozpoznawali oraz wywołali u Niemców wrażenie, iż desant jest znacznie większy niż w rzeczywistości.

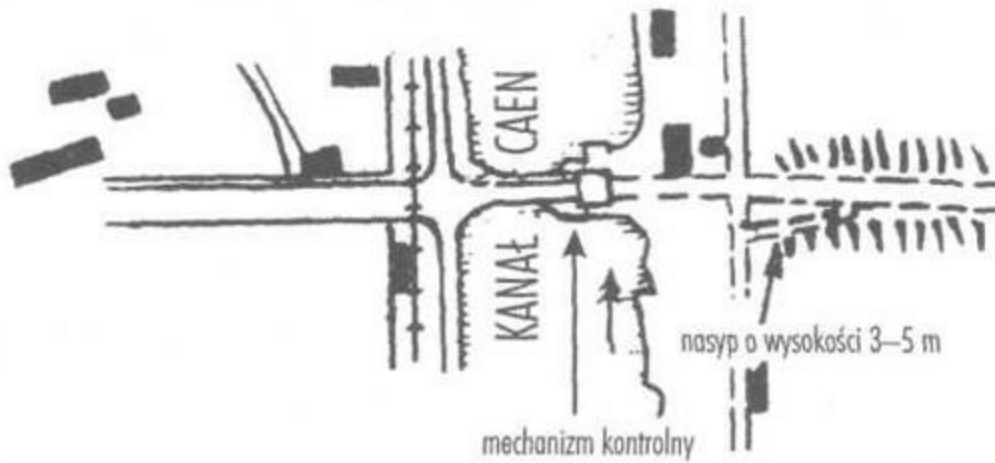
Te wszystkie ćwiczenia przeprowadzone na pozorowanych mostach i drogach dojazdowych utwierdziły Howarda w przekonaniu, że śmiały plan generała Gale'a, przewidujący lądowanie na terenie między mostami, jest słuszny. Wprawdzie niezwykle mała strefa lądowania między rzeką a kanałem wymuszała rozdzielenie desantu: jedna grupa szybowców musiała lądować zwrócona ku północy, czyli wybrzeżu, a druga ku południu, w stronę Caen. Ale miało to dwa plusy. Lądowanie między kanałem a rzeką oznaczało desant blisko mostów i umożliwiało wzajemne wspieranie się plutonów.

Tymczasem w Broadmore udostępniano Howardowi coraz więcej informacji wywiadowczych na temat sytuacji na obu mostach i w po-bliskich wsiach, zbieranych przez Georges'a Gondree'a i panią Vion z ruchu oporu w Caen. Danych dostarczały także zdjęcia lotnicze, wy-konywane przez samoloty rozpoznawcze RAF-u. Howard otrzymał

bardzo dokładny topograficzny szkic rejonu planowanej akcji.



Szkic wykonany przez Johna Howarda we wczesnym stadium przygotowań do akcji „Pegasus”, z zaznaczeniem rozmieszczenia plutonów w wypadku, gdyby wszystkie dotarły do celu.



Poniżej: Szkic topograficzny obydwu mostów z 17 maja 1944 roku.

Zwraca uwagę precyzja informacji dostarczonych przez francuski ruch oporu i alianckie samoloty rozpoznawcze.

NEPTUN BIGOT - ŚCIŚLE

TAJNE

Kopia nr: 1 17

maja 1944

SZKIC TOPOGRAFICZNY MOSTÓW W BENOUVILLE 098748 I W RANVILLE

104746

1. Szkic - BENOUVILLE 098748

2. Opis kanału i bezpośrednich okolic

(a) Nurt spokojny. Głębokość wody 9 m, ale może być regulowana śluzami w OUISTREHAM. Średnia szerokość 50 m. Średnia wysokość nadbrzeża z ziemi i tłucznia 2 m.

(b) Nad samą wodą na niemal całej długości po obu stronach kanału przebiega droga z nawierzchnią tłuczniową. Na ZACHODNIM brzegu znajduje się linia kolejowa (jednotorowa). Oba brzegi kanału porośnięte topolami. Po obu stronach mostu kilka małych domów.

(Więcej szczegółów na makiecie).

(c) Szosa prowadząca do mostu biegnie po 3-5-metrowym nasypie, za pobiegającym jej zalaniu podczas przyływu.

3. Opis mostu

(a) Długość części nadwodnej 63 m, jednak po obu stronach znajdują się oddalone od brzegów o 16 m wsporniki.

(b) Most stalowy, kratowy, z mechanizmem podnoszącym ze wspornikami z cementu.

Mechanizm kontrolny znajduje się w budce nad szosą.

Całkowita długość mostu 63 m.

Długość fragmentu zwodzonego 30 m.

Szerokość szosy 4 m; nawierzchnia asfaltowa i (na moście) stalowa.

(c) Według raportów most jest zaminowywany. (Przygotowywany do zniszczenia).

4. Obrona kanału

(a) ZACHODNI brzeg. Otwarte od góry stanowiska z kaemami widoczne nad kanałem przy podjazdach do mostu z obu stron. Inne otwarte stanowiska kaemów 098748(2), 097748(2) i 096746.

(b) WSCHODNI brzeg. Na POŁUDNIE od szosy, blisko kanału znajduje się koliste stanowisko o średnicy ok. 9 m, prawdopodobnie przygotowane dla działka panc, jednak obiekt na tym stanowisku nie został zidentyfikowany jako działko.

22 metry dalej na POŁUDNIE znajduje się kaem plot w wieży o wys. 2,5 m.

(c) 55 m na PÓŁNOC od szosy, blisko kanału, są 3 otwarte stanowiska kaemów, oddalone od siebie o 4 m, zwrócone rzędem ku północ-nemu-wschodowi.

Ok. 15 m na pn-wsch od tych stanowisk stoi betonowy schron lub bunkier o wymiarach ok. 6 x 5 m.

(d) Nie dostrzeżono zasieków z drutu kolczastego.

(e) Istnieje możliwość użycia na kanale uzbrojonych barek i łodzi, uznano jednak za mało prawdopodobną.

..... /5

5. Opis rzeki ORNE

(a) Średnia szerokość 52-80 m.

Zmiany poziomu wody w rzece [w wyniku pływów] aż do CAEN.

Średnia głębokość 3 m.

Maks. różnica poziomu wody podczas pływów w OUISTREHAM

5,3 m.

Maks. różnica poziomu wody podczas pływów w CAEN 2,6 m.

Nadbrzeże o wys. 1,4 m; błotniste, o nachyleniu ok. 1:2.

(b) W CAEN znajduje się śluza, która reguluje wody kanału kosztem rzeki i dlatego prędkość i głębokość wód ulega znacznym wahaniom. Szybkość nurtu prawdopodobnie NIE przekracza 3 węzłów

[ok. 5,5 km/h].

(c) Grunt między rzeką a kanałem jest bagnisty i poprzecinany licznymi rowami i kanalikami.

(d) Po obu stronach rzeki przez większy jej odcinek przebiega ścieżka o szer. 2,5-3,5 m.

6. Opis mostu 104745 i bezpośredniej okolicy.

(a) Most jest dwuprzęsłowy, kratowy, wparty na centralnym betonowym filarze. Mechanizm obrotowy znajduje się nad filarem, pomiędzy dźwigarami.

Całkowita długość mostu 115 m.

2 przęsła na 33 m.

Dopuszczalne obciążenie 121.

Szosa - 3 m asfaltu (6,5 m z chodnikami).

Uważa się, że mechanizm obrotowy mostu może obecnie już nie być sprawny.

Zgodnie z meldunkami most jest przygotowany do wysadzenia.

(b) Na POŁUDNIE od szosy i na ZACHÓD od rzeki znajduje się sad rozciągający się z PÓŁNOCY na POŁUDNIE.

Na obu brzegach rzeki rosną w rzędach topole. Na WSCHÓD od rzeki i na POŁUDNIE od szosy znajduje się równoległe do rzeki, oddalony od jej koryta o ok. 45 m, pas gęsto rosnących drzew.

Na PÓŁNOC oraz na POŁUDNIE od szosy znajduje się kilka małych domów stojących w ogródkach i sadach. Szczegóły: patrz makieta terenu.

7. Obrona na rz. ORNE

(a) Na WSCHODNIM skraju i na POŁUDNIE od szosy stoi bunkier o wymiarach ok. 5 x 5 m. Być może znajduje się w nim broń panc., z głównym polem ostrzału ku WSCHODOWI, wzdłuż szosy.

Niewielkie stanowisko kaemu plot przylega do tego bunkra od strony ZACHODNIEJ.

(b) Strona WSCHODNIA. Dwa otwarte stanowiska kaemów widoczne na PÓLNOCNEJ stronie szosy.

(c) Zasieków nie zauważono.

(d) Dwie zapory drogowe (prawdopodobnie zwalone kłody) leżą na szosie w punktach 105745 i 106744.

Maj

WOJSKOWA POCZTA POŁOWA 6 BRYGADA POWIETRZNODESANTOWA ANGLIA

Broadmore

DL

Pracownicy wywiadu mogli powiedzieć Howardowi, kto w Benouville kolaboruje z Niemcami, a kto należy do podziemia; Georges Gond-ree zna trochę język angielski, a jego żona - niemiecki. Benouville ma 589

mieszkańców, wójtem jest niejaki M. Thomas, a w tamtejszej sieci elektrycznej płynie trójfazowy prąd zmienny o napięciu 110/200 volt.

Ostrzeżono, że z dachu *Chdteau de Benouville*, trójkondygnacyjnego budynku pełniącego funkcję szpitala położniczego, w którym znajdowało się piętnaście łóżek i dwanaście sal, Niemcy mogą trzymać pod ostrzałem znaczny obszar doliny nad rzeką Orne.

Howarda poinformowano też, że pani Vion, dyrektorka owego szpitala, stoi na czele miejscowego ruchu oporu. Była ona „dość au-tokratyczną osobą, uważaną za kogoś w rodzaju pani na wsi”. Howard dowiedział się nawet, że na widok Theresy Gondree wielu wieśniaków odwracało wzrok, gdyż podejrzenia wywoływał jej twardy akcent, a poza tym mieszkała w pobliżu niemieckiego posterunku i sprzedawała okupantom piwo.

Howard wiedział także, iż załogę mostu stanowią żołnierze 736 pułku grenadierów z 716 Dywizji Piechoty. W dostarczonych mu przez wywiad materiałach z pieczęcią „Bigot” wyczytał, że „wartość bojowa tej dywizji została oceniona na 40 procent w walkach pozycyjnych i na 15 procent przy przejściu do kontrataku. Wyposażenie składa się w nieznanym stopniu ze [zdobyczej] broni francuskiej, brytyjskiej i polskiej”.

Ostatnie zdanie brzmiało: „Niniejsze materiały

wywiadowcze należy spalić natychmiast po przeczytaniu”. (Howard nie zastosował się do tej dyspozycji i zachował dokument).

Howardowi nie wolno było zabierać z Broadmore zdjęć wykonanych przez rozpoznanie lotnicze, ale mógł przyjeżdżać o dowolnej porze i studiować je na miejscu. Ludzie z RAF-u udostępni mu urządzenie stereograficzne, nadające fotografiom trójwymiarowości. Gdy Gale i Poett przeglądali te

zdjęcia razem z Howardem, wciąż mu powtarzali, że musi zdobyć mosty w ciągu kilku minut, zanim zostaną wysadzone w powietrze. Sukces, a nawet przetrwanie 6 Dywizji Powietrznodesantowej zależały od utrzymania tych przepraw i uchronienia ich przed zniszczeniem.

Na ile wartościowe i aktualne okazały się materiały wywiadowcze przedstawione Howardowi? Zasługiwały na najwyższą ocenę. Brytyjczycy w czasie II wojny światowej byli najlepsi w zbieraniu i analizie danych wywiadowczych, władze brytyjskie nie szczędziły wydatków na wywiad.

John Howard był jednym z tych, który z pracy wywiadu korzystał. Oto trzy przykłady.

Na początku maja Rommel, który przeprowadził inspekcję obu mostów, polecił zbudowanie umocnionego stanowiska dla armaty przeciwpancernej i bunkra otoczonego zasiekami z drutu. Rozkazał też wykopanie większej liczby rowów strzeleckich. Prace podjęto natychmiast. Już dwa dni później Howard dowiedział się od RAF-u, że Szwab instaluje jakieś podejrzanе urządzenia. Po tygodniu Gon-dree'owie przekazali przez panią Vion w Caen informację - przesłaną przez brytyjski wywiad do Broadmore, skąd trafiła do Howarda - że na to stanowisko Niemcy ścignęli działo przeciwpancerne, zamaskowali je, a także ukończyli budowę bunkra.

W połowie maja niemiecka 21 Dywizja Pancerna została przesunięta z Bretanii do Normandii; 23 maja znalazła się w okolicy Caen; pułk von Lucka zajął pozycje nieco na wschód od miasta. Już 24 maja Howard wiedział o przerzucie niemieckiej dywizji. Dwudziestego piątego maja do tego rejonu przerzucono też samodzielny pułk spadochronowy Hickmana; Howard dowiedział się o tym już nazajutrz.

Pracownicy wywiadu przygotowali makietę okolicy - model o wymiarach 4 na 4 metry. Howard określił ją mianem „prawdziwego dzieła sztuki, z odwzorowanymi wszystkimi budynkami, drzewami, krzewami i rowami, okopami, ogrodzeniami itd.” Na makiecie codziennie pojawiały się uzupełnienia i zmiany, zgodnie z wynikami porannych lotów zwiadowczych. Piętnastego maja Schmidt rozkazał

wyburzenie dwóch budynków nad kanałem; Howard ujrzał tę zmianę na makiecie dzień później.

Charakter wizyt Howarda w Broadmore w jakimś stopniu oddawała obiegowa nazwa tego miejsca - „The Madhouse” („Dom wariatów”). Po przejściu licznych posterunków, na których musiał pokazywać swoją zieloną przepustkę, spotykał „zamyślonych ludzi, spacerujących wokoło budynku, rozważających najwyraźniej wprowadzane w ostatniej chwili zmiany w ważnych planach”.

Pod koniec odprawy, która odbyła się na początku maja, Poett powiedział Howardowi: „John, tu jest wszystko, co ci potrzebne. Musisz tylko zadzwonić”.

Howard zażądał więc dla swoich ćwiczeń na poligonie „niemieckiej”

obrony - żołnierzy ubranych w niemieckie mundury, uzbrojonych w niemiecką broń oraz, o ile to możliwe, wykrzykującej rozkazy po niemiecku. I rzeczywiście, dostał zdobyczne niemieckie karabiny, pistolety maszynowe i kaemy, niemieckie moździerzce i ręczne granaty, dzięki czemu jego żołnierze zapoznali się dokładnie z ich obsługą i parametrami.

Kompania D otrzymywała wszystko, co najlepsze- z wyjątkiem jedzenia. Posiłki były marne i, co gorsza, porcje były za małe. Parr wspomina: „Większość pieniędzy z żołdu szła na wyżywkę. Zawsze byłem głodny. Trenowaliśmy tak ostro, że żarcie, które nam serwowali, nie wystarczało. Nie pytaliśmy, co jest do jedzenia, po prostu wszystko od razu połykaliśmy. Tak więc zaraz po wypłacie szliśmy do kantyny i napychaliśmy żołądki. Tak, uzupełnialiśmy naszą dietę produktami kupowanymi za żołd, nie ma co do tego żadnych wątpliwości”.

Howard dawał w tym czasie swoim ludziom na poligonie niezły wycisk, jednak bez względu na to, jaki rodzaj lądowania czy kierunek ataku obierano podczas ćwiczeń, zawsze były one przeprowadzone na hipotetycznych mostach. Wydawało się to nadzwyczaj monotonne. Po około dziesięciu dniach zajęć Howard zebrał żołnierzy na placu i powiedział:

- Słuchajcie, ćwiczymy, bo czeka nas specjalne zadanie.

Nie wspominał o inwazji - właściwie nie musiał.

- Przekonacie się, że wiele ćwiczeń, które przeprowadzamy, jak zdobywanie pozorowanych mostów, ma z tym specjalnym zadaniem ścisły związek. Jeżeli któryś z was wypowie słowo „mosty” po zajęciach, a ja się o tym dowiem, to wykopię go z powrotem do macierzystej jednostki.

(Mimo to Wally Parr już następnego popołudnia oznajmił przez telefon swojej Irene, że podczas D-Day będą zdobywali mosty).

Von Luck znalazł się wraz ze swoją jednostką na wschód od Caen, w rejonie między rzekami Dives a Orne. Planował i ćwiczył działania obronne.

Wyznaczył szlaki kontruderzeń ku przypuszczalnym rejonom zgrupowań alianckich wojsk inwazyjnych. Wytyczył miejsca na odpoczynek i uzupełnianie paliwa, wyznaczył pododdziały kierujące ruchem drogowym, oznakował objazdy, a przy szosach rozmieścił baterie dział

przeciwlotniczych.

Tymczasem

Hickman

uczestniczył

w

przygotowaniach do walki z desantem spadochronowym. Nawet major Schmidt, kierujący bezpośrednio osłoną mostów, zabrał się ostro do pracy. Nadzorował roboty wykończeniowe przy budowie bunkrów i związane z wbijaniem słupów antyszybowcowych. Gond-ree'owie obserwowali te przygotowania i informowali na bieżąco panią Vion.

Howard zwrócił się z prośbą do topografów, aby na mapie Wielkiej Brytanii wyszukali dla niego miejsce, gdzie blisko siebie przepływały rzeka i kanał, przecięte jedną drogą z mostami. Taki punkt

znaleziono w pobliżu Exeter. Howard udał się tam wraz z kompanią i przez sześć dób, dniem i nocą, „atakowali” tamtejsze mosty.

Miejscowa ludność patrzyła ze zdumieniem, jak żołnierze nacierają, rzucają granaty, instalują ładunki wybuchowe, przechodzą do walki wręcz i na całe gardło wykrzykują: *Able, Able* czy *Easy, Easy* (hasła wywoławcze plutonów). Howard starał się odtworzyć każdy możliwy rozwój wypadków - pomyślnie wylądowanie tylko jednego szybowca, optymalny przebieg lądowania i tuzin innych wariantów. Nauczył każdego z żołnierzy podstaw fachu saperskiego, a saperów instruował, jak prowadzić działania w składzie plutonów. Przygotowywał każdego z oficerów do ewentualnego przejścia, w razie konieczności, dowodzenia akcją.

Dokładał też starań, by wszyscy jego podwładni nabrali wprawy w korzystaniu ze składanych brezentowych łodzi, zabieranych do akcji na wypadek, gdyby mosty uległy zniszczeniu. Według Howarda ćwiczenia z łodziami „zawsze podnosiły morale”, gdyż „ktoś zawsze wpadał do wody”.

Miotanie granatów powodowało jednak pewne problemy. Granaty wrzucano do rzeki, aby mieć świeże ryby na kolację. Rada pobliskiego miasta zaprotestowała przeciwko takim nielegalnym odłowom. Jej członkowie narzekali również, że nieustanne przebieganie po mostach i używanie granatów poważnie osłabia te konstrukcje. (W istocie stoją one nienaruszone do dziś). Jednemu z okolicznych mieszkańców w wyniku wybuchu granatu spadło z dachu kilka dachówek. Zirykowany, udał się do Howarda. Ow odesłał go do Pridaya, a ten z kolei wydał mu stosowny formularz, na podstawie którego gospodarz miał

dostać nowe dachówki. Miesiąc później, siedząc w okopie w Normandii, Priday wybuchnął nagle śmiechem. Akurat dostarczono połowę pocztę, a wśród niej znalazł się list do Pridaya - zdesperowany gospodarz chciał wiedzieć, kiedy wreszcie naprawią mu uszkodzony dach.

Po skończeniu ćwiczeń Howard sporządził ostateczny plan. Jego głównym punktem było unieszkodliwienie bunkra, z równoczesnym przetruceniem jednego z plutonów przez most na tę stronę szosy, po której stał ów schron. Należało to osiągnąć bez wystrzału i bez alarmowania Niemców. Bunkier odgrywał kluczową rolę nie tylko ze względu na swoją siłę ognia, lecz i dlatego, że właśnie w nim znajdowało się urządzenie detonujące, dzięki któremu Niemcy mogli wysadzić most w powietrze. Howard wyznaczył kilku żołnierzy z szybowca nr 1 (czyli z plutonu Brotheridge'a) do podejścia pod bunkier i wrzucenia do środka granatów przez otwory strzelnicze. Przeciwny brzeg miał zostać opanowany przez Brotheridge'a prowadzą-

cego pozostałych żołnierzy plutonu przez most. Byłoby idealnie, gdyby dotarł do połowy mostu w momencie, gdy granaty będą wrzucane do bunkra.

Pluton Davida Wooda z szybowca nr 2 miał unieszkodliwić ze-wnętrzną linię obrony - żołnierzy w transzejach i stanowisko karabinu maszynowego na wschodnim brzegu. Pluton Sandy'ego Smitha z szybowca nr 3 otrzymał zadanie przedarcia się przez most i wzmocnienia plutonu Brotheridge'a. Podobny przebieg powinna mieć akcja na moście na rzece, przy czym Priday dotarłby na miejsce w szybowcu nr 4 (z plutonem Hoopera), a plutony Foxa i Sweeneya w szybowcach nr 5 i 6.

W każdym z szybowców miało się znaleźć po pięciu z trzydziestu saperów pod komendą kapitana

R.K. Jocka Neilsona. Zadanie saperów polegało na błyskawicznym podejściu do mostów, zejściu ku dźwigarom, poprzecinaniu lontów, odszukaniu i unieszkodliwieniu ładunków wybuchowych.

Tak przedstawiał się plan Johna Howarda, który zaakceptowali jego zwierzchnicy. Howard do wyczerpania i do znudzenia ćwiczył realizację planu w praktyce. Za każdym razem odkrywał jednak jakieś niedopatrzenie. Pewnego dnia przerwał ćwiczenia i powiedział, że jego zdaniem w akcji mogą być potrzebni ochotnicy, którzy przepłyną kanał z *Brenem* i poprowadzą ogień osłonowy z flanki. Jak wspomina Howard:

„Chętnych do wypełnienia tego niebezpiecznego zadania nie brakowało”.

Parr sam podniósł rękę, zanim jeszcze Howard zapytał o ochotników.

Dowódca kompanii kazał Parrowi opuścić rękę, ten jednak nie ustępował.

- Dobra, Parr, o co chodzi?

- Panie majorze - odrzekł Parr - najlepiej pływają Billy Gray i Charlie Gardner. Może ich wyznaczyć do tego zadania?

- Świetna myśl, Parr - zgodził się Howard. Przez resztę tygodnia Parr trzymał się z daleka od Graya i Gardnera.

W ostatni wieczór w Exeter przed akcją Howard dał swoim żołnierzom wolne. Rozeszli się po miejskich pubach. Doszło do bijatyk, wybito parę okien. Do Howarda zadzwonił szef lokalnej policji; Howard i Priday wskoczyli do jeepa i pomknęli do oddalonego o około pięć kilometrów miasta. „Kiedy przejeżdżaliśmy przez most, zostaliśmy zatrzymani przez policję za przekroczenie prędkości i dotarliśmy na komendę pod eskortą”.

Howard wszedł do gabinetu szefa komendy i powiedział:

- Jeżeli znajdziecie porucznika Brotheridge'a, to on wam pomoże uspokoić żołnierzy.

Następnie rozejrzał się i zobaczył ordery, które jego rozmówca otrzymał za udział w I wojnie światowej: „Znałem ten typ facetów, więc wyjaśniłem mu, że to ostatnia noc przed akcją i że jako policjant postąpił wzorowo”. Szef komendy wezwał wszystkich swoich ludzi, którzy odszukali żołnierzy i spokojnie odprowadzili ich do obozu.

Brotheridge, którego Howard wysłał do Exeter razem z żołnierzami, by ich uspokajał i miał na nich oko, także się upił. Jego dziec-ko miało przyjść na świat za niespełna miesiąc; nie spodziewał się ujrzeć żony przed rozwiązaniem i nie było nikogo, kto mógł mu przekazać radosną nowinę o urodzinach dziecka. Odczuwał wprawdzie dumę, że Howard wybrał go, by poprowadził 1 pluton, ale zdawał sobie sprawę, iż jako pierwszy z żołnierzy, którzy wejdą na most, może wraz z całą konstrukcją wylecieć w powietrze.

Chcąc się więc choć na chwilę wyzbyć takich myśli, Brotheridge poszedł pić ze swoimi sierżantami. Howard odwiózł go do obozu, a żołnierzy załadowano na ciężarówki.

Ani mieszkańcy Exeter ani lokalni policjanci nie wnieśli żadnych skarg.

Pod koniec maja kompanię D przeniesiono do Tarrent Rushton.

W tej wielkiej pilnie strzeżonej bazie, do której nikt nie mógł wejść ani wyjść bez przepustki, żołnierze kompanii poznali się z Jimem Wallworkiem, Johnem Ainsworthem, Oliverem Bolandem i innymi pilotami szybowcowymi. Howard z zadowoleniem zauważył, że szybko przyjęto ich w kompanii jako „swoich”, tak jak wcześniej saperów.

Wkrótce po przyjeździe kompanii D do Tarrent Rushton stało się jasne, jak bardzo losy żołnierzy są uzależnione od kunsztu pilotów.

Teraz Howard mógł już zaznajomić swoich ludzi z zadaniem. Plan akcji przedstawił najpierw oficerom, a następnie podoficerom i szeregowym.

Howard wywiesił na ścianach blaszanego baraku, w którym odbywały się odprawy, zdjęcia lotnicze mostów stanowiących cel akcji.

W baraku umieścił też makietę obszaru. Kiedy mówił, oczy jego podkomendnych otwierały się coraz szerzej ze zdumienia - jako pierwsi z wojsk desantowych mieli postawić nogę na francuskiej ziemi. Przy tym na tak małej strefie lądowania. Po zapoznaniu się z systemem niemieckiej obrony, byli jednak przekonani, że im się uda - jeżeli tylko piloci wysadzą ich bezpiecznie i blisko celu.

Tymczasem piloci szybowców kończyli ćwiczenia „Deadstick”. Ministerstwo Lotnictwa przygotowało oryginalny film. Z tysięcy fotograficznych klitek stworzono uzupełniony komentarzem cykl obrazów prezentujących to, co piloci mieli zobaczyć z kabin podczas lotów w D-Day.

„Oglądając ten film, odnosiło się wrażenie, że siedzi się w kabinie i leci szybowcem” - wspomina Wallwork. Komentarz dotyczył wysokości, prędkości lotu i położenia. Kiedy szybowiec schodził z holu,

„czuło się wytracanie kilkuset metrów wysokości i widziało się rosnące w oczach francuskie pola”. Wyrównanie lotu, zwrot, ponowny zwrot i wtedy pojawiały się mosty. „Następowało podejście do lądowania, kurs nie ulegał już zmianie i nagle wyłaniała się wieża mostu, coraz większa, wreszcie film się urywał, gdy szybowiec uderzał o ziemię”. Piloci mogli oglądać ten film, kiedy tylko chcieli i oglądali go często. „To było zupełnie fantastyczne - stwierdza Wallwork. - Nieocenione”.

Howard nieustannie wzywał na odprawy swoich żołnierzy, drużynami i plutonami. Mogli o dowolnej porze przychodzić do baraku, studiować mapy, fotografie i makietę, a także rozmawiać o zadaniach poszczególnych pododdziałów.

Dwudziestego dziewiątego maja zebrał całą kompanię i wydał

zestawy rzeczy, które mogły się przydać w razie konieczności ucieczki przez okupowany kraj. „Te rzeczy mocno kojarzyły się ze skau-tingiem” - mówi Howard. Metalowy pilnik do wszycia w wojskową kurtkę, miedziany guzik do spodni z małym kompasem, jedwabny szalik z mapą Francji, pastylki oczyszczające wodę oraz franki. „Te drobiazgi niesamowicie się podobały żołnierzom.

Nigdy nie widzia-

łem takiego entuzjazmu z powodu czegoś tak zwykłego". Billy Gray pamięta, że w ciągu zaledwie dwóch godzin przegrał w karty i kości swoje francuskie pieniądze.

Tej nocy w Normandii von Luck prowadził ćwiczenia przygotowujące do odparcia desantu poprzez błyskawiczny kontratak. „Idea była zupełnie jasna; gdyby nastąpił desant, należało niezwłocznie przystąpić do kontrnatarcia i zepchnąć nieprzyjaciela do morza” - wspomina von Luck.

Owego dnia major Schmidt otrzymał grupę robotników przymusowych z Organizacji Todta i kazał im kopać doły pod słupy anty-desantowe w miejscach, które uznał za prawdopodobne lądowiska szybowców. Zaczął od terenów wokół mostów. Samych słupów jeszcze nie dowieziono, ale spodziewano się ich lada dzień.

*

*

*

Kiedy 30 maja Howard i żołnierze z kompanii D ujrzeli owe doły na zdjęciach lotniczych, najpierw przyszła im do głowy myśl, że Niemcy odkryli ich plany. Kindersley złożył wizytę Howardowi, który był w podłym nastroju.

- Wiem o tych zdjęciach, John - zaczął Kindersley - ale nie ma się czym niepokoić.

Howard podzielił się swoimi obawami: skoro RAF co rano wykonywał

rozpoznanie lotnicze w tych samych rejonach, to Niemcy musieli się czegoś domyślić; fotografowano przecież oba mosty mające być celem akcji kompanii D.

- John - zaśmiał się Kindersley - robiliśmy takie same zdjęcia wszystkich mostów i celów od Zatoki Biskajskiej po Dunkierkę.

- Przypuśćmy, że te słupy zostaną ustawione w dołach, zanim wy lądujemy. Jaką będziemy mieć szansę? - spytał Howard.

- Na to właśnie liczymy, panie majorze - odrzekł Wallwork.

- Jak to?

- Cóż, na tym poletku będzie nam trochę za ciasno. Jest bardzo wąskie, a w dodatku z jednej strony ogranicza je nasyp. Jak w niego uderzymy, to dopiero będzie masakra. I tego obawiamy się najbar dziej. A słupy najwyżej poutrącają szybowcom skrzydła, które są z cholernej sklejki - i znakomicie nas wyhamują.

Twarz Howarda się rozjaśniła.

- Racja - przyznał. - W takim razie zbierzmy kompanię.

Wezwał swoich żołnierzy, pozwolił im przez chwilę ponarzekać na temat wspomnianych dołów. Następnie poprosił Wallworka, aby powiedział kompanii, że słupy są właśnie tym, czego im trzeba.

Oprócz sprawy słupów Wallworka niepokoiła prośba Howarda, by na miejscu akcji przebił dziobem *Horsy* zasieki z drutu kolczastego, co stanowiło nie lada trudność dla pilota sterującego nawet nie-obciążonym szybowcem. A przecież szybowce miały być znacznie przeciążone, przewożąc po trzydziestu ludzi z bronią i amunicją, po dwie składane łodzie i ciężki sprzęt inżynierski. Każdy z żołnierzy dźwigał prawie dziesięć kilogramów amunicji, niektórzy próbowali wziąć na własną rękę więcej.

Wallwork oznajmił Howardowi, że dodatkowe obciążenie jeszcze bardziej ograniczy sterowność *Horsy* i wydłuży drogę lądowania.

Howard polecił więc kapitanowi saperów Neilsonowi odciążenie każdego z szybowców, ten oświadczył jednak, że bezwzględnie musi mieć wszystkich swoich ludzi. Na szybowcach pozostawiono więc tylko po jednej łodzi. Wallwork stwierdził, że to nie wystarczy; każdy z szybowców należało jeszcze odciążyć o trzysta kilogramów.

Ostatecznie Howard podjął trudną decyzję - każdy z plutonów musiał

zostawić po dwóch żołnierzy. Wykonanie tej decyzji powierzył dowódcom poszczególnych plutonów. Billy Gray z plutonu Brothe-ridge'a wspomina:

„Wszyscy zaczęliśmy krzyczeć: «Parr jest żonaty, odrzucmy Parra.

Pozbądźmy się Parra!» Wally zaraz zaczął się pieklić, no i pozwolili mu zostać".

Porucznicy dokonali wyboru. Następnego dnia, zgodnie z relacją Howarda, „[odrzućeni] żołnierze przychodzili do mojego biura. Pewien twardy żołnierz wojsk powietrznodesantowych błagał, płacząc, żeby go zostawić w zespole. Muszę przyznać, że to był bardzo poruszający moment. Ta konieczność selekcji w ostatniej chwili była dla nich straszna".

Podczas jednej z odpraw ktoś zapytał Howarda:

- Panie majorze, czy nie możemy zabrać ze sobą lekarza? Będziemy tam zdani tylko na siebie.

Howard stwierdził, że to znakomity pomysł i zapytał Poetta, czy może wziąć na akcję ochotnika z personelu medycznego dywizji. W ten sposób doktor John Vaughan dołączył do kompanii D, choć oznaczało to konieczność odrzucenia jeszcze jednego żołnierza. Na szczęście tym razem wybrał los: pewien szeregowy z plutonu Smitha skręcił kostkę podczas gry w piłkę nożną.

Trzydziestego pierwszego maja Vaughan i Howard pojechali do Broadmoore. Howard jak zwykle jechał o wiele za szybko. Na miejscu zahamował z piskiem opon tuż przez brygadiera Poettem. Wyskoczył

energicznie z jeepa, stanął na baczność, dziarsko zasalutował i wykrzyknął:

„Panie generale, melduję się na rozkaz!”.

Tego samego wieczoru Smith i Fox wymknęli się z Tarrent Rush-ton (żaden z nich nie pamięta, jak im się to udało) i w pobliskim hotelu umówili się na kolację ze swoimi przyjaciółkami (zarówno posiłek, jak i dziewczęta zapamiętali bardzo dobrze).

Owego wieczoru Wallworkowi i pozostałym pilotom wydano specjalne rozkazy. Mówiły one, że na kontynencie nie będą podlegać żadnym innym rozkazom, a po wykonaniu zadania wszelkimi dostępnymi środkami lokomocji mają natychmiast powrócić do Wielkiej Brytanii.

Widniał na nich podpis „Bernard Law Montgomery”. Poett powiedział

Howardowi:

- Cokolwiek zrobisz, John, nie puszczaj tych pilotów do walki. Są zbyt cenni, żeby ich stracić. Przyślij ich tutaj z powrotem.

Trzeciego czerwca Howard otrzymał ostatni raport wywiadowczy. Major Schmidt skończył przygotowanie pozycji obronnych: wzdłuż nadbrzeży kanału wykopano rowy strzeleckie, stał bunkier i dział przeciwpancerne.

Obsada mostów składała się z około pięćdziesięciu żołnierzy, uzbrojonych między innymi w sześć ręcznych karabinów maszynowych, wspieranych przez jeden kaem przeciwlotniczy, armatę przeciwpancerną oraz ciężki karabin maszynowy w osobnym schronie. Labirynt okopów i tuneli łączył bunkry ze stanowiskami bojowymi. W celu zwiększenia pola ostrzału wyburzono następne zabudowania w okolicy. Przywiezione słupy przeciwdesantowe najwyraźniej nie zostały jeszcze ustawione.

Tego dnia do Tarrent Rushton przybył sam „Monty”. Chciał obejrzeć szybowce i poznać osobiście Johna Howarda. Znał szczegóły zaplanowanej operacji i pragnął się dowiedzieć, czy major Howard uważa, że zdoła opanować zaskakującym atakiem oba mosty. Howard zapewnił go, że zadanie zostanie wykonane. Na pożegnanie Montgomery powiedział:

- Niech pan uchroni od śmierci tylu chłopców, ilu się da.

Wizytę złożył także generał Gale. Zebrał wokół siebie żołnierzy wojsk powietrznodesantowych i wygłosił wzmacniające ducha bojowego przemówienie. Jack Bailey zapamiętał z niego jedno stwierdzenie: „obecnie Niemiec przypomina płochą pannę młodą - niby wie, czego się spodziewać, ale nie wie, jakie to będzie miało rozmiary”.

Czwarty czerwca miał być dniem wyjazdu. Kompania D była w pełnej gotowości. Popołudniem, gdy wszyscy, ubrani w polowe mundury, szykowali się do wejścia na pokład szybowców, nadeszła wiadomość o przesunięciu terminu akcji. W zasadzie można się było tego spodziewać, gdyż wiały silne wiatry i padał ulewny deszcz, mimo to wiadomość ta wywołała spore rozczarowanie. John Howard zanotował

w swoim dzienniku: „Załamanie pogody - co za straszny pech. Jestem bardziej przybity, niż okazuję. Wiatr i deszcz, jak długo to jeszcze potrwa?”

Im dłużej, tym lepiej się przygotowują Hunowie i tym większe ryzyko ustawienia zapór w strefie lądowania. Boże, proszę, niech się jutro przejaśni”.

Parr i jego kompani wybrali się w tej sytuacji do kina. Obejrzeliby *Stormy Weather* z Leną Horne i Fatssem Wallerem i film ten bardzo im się podobał.

Oficerowie zebrali się w pokoju Davida Wooda i opróżnili dwie butelki whisky. Den Brotheridge dwukrotnie wpadł w przygnębienie, a Wood słyszał, jak deklamuje wiersz zaczynający się od słów: „Jeśli przyjdzie mi zginąć...”. Wkrótce odzyskał jednak pogodę ducha.

Nazajutrz rano, 5 czerwca, oficerowie i żołnierze dwukrotnie sprawdzili stan swojej broni. W południe dowiedzieli się, że decyzja zapadła; mieli odpocząć, zjeść i nałożyć mundury polowe. Posiłek, który im dano, nie zawierał tłuszczu, aby zredukować ryzyko wystąpienia choroby podczas lotu. Nikt nie zjadł wiele. Wally Parr mówi: „Myślę, że po raz pierwszy od lat wszyscy odwracali się od żarcia”. Potem żołnierze usiedli i, według Parra, „próbowali żartować, co jednak niezbyt się udawało”.

Po południu ciężarówkami wyruszyli ku szybowcom. Kompania prezentowała się doskonale. Każdy z żołnierzy miał karabin, pistolet maszynowy *Sten* lub kaem typu *Bren*, po sześć do dziewięciu granatów, po cztery zapasowe magazynki do *Brenów*. Niektórzy dźwigali moździerze; na każdy z plutonów przypadał nadajnik radiowy, przy-pasany szelkami do piersi jednego z żołnierzy. Wszyscy poczernili sobie twarze opalonymi korkami. (Kiedy Parr podał zwęglony korek „Darky’emu” Bainesowi, jednemu z dwóch czarnoskórych żołnierzy w kompanii, ten odparł:

„Chyba sobie daruję”.) Wood zapamiętał, że wszyscy, oficerowie, podoficerowie i szeregowi byli tak obciążeni, że „kiedy ktoś się przewrócił, nie mógł wstać bez pomocy”. (Żołnierze, łącznie z uzbrojeniem, ważyli po 115 kg, zamiast 95 kg, co stanowiło normę dla brytyjskich piechurów). Parr zawołał, że sam ich widok śmiertelnie wystraszy Niemców.

Kiedy ciężarówki zmierzały w stronę szybowców, to-jak wspomina Billy Gray - „kobiety ze służb pomocniczych i z zaopatrzenia stały wzdłuż pasa startowego i zalewały się łzami”. Żołnierzy w ciężarówkach zapoznano z hasłami. Na sygnał rozpoznawczy wybrano *V*, a odzew *-for Victory* (za zwycięstwo). Hasłem oznaczającym pomyślnie uchwycenie mostu na kanale było *Ham* (szynka), mostu na rzece *-Jam* (dżem). Słowo *Jack* oznaczało, że most na kanale został opanowany, lecz uległ

zniszczeniu; *Lard* znaczyło to samo w odniesieniu do mostu na rzece. Tak więc *Ham and Jam* równało się pełnemu sukcesowi nagłego ataku.

Żołnierzom kompanii D ten zwrot od razu przypadł do gustu, a gdy tylko wysiedli z ciężarówek, zaczęli wymieniać uściski dłoni i mówić przy tym: *Ham and Jam, Ham and Jam*.

Howard przywołał ich do siebie. „To był niezwykle widok. Drobniejsze chłopaki wyraźnie się

ugięły pod ciężarem dźwiganego ekwipunku".

Usiłował powiedzieć coś inspirującego, ale „jestem z natury sentymentalny, co, jak sądzę, nie czyni ze mnie dobrego żołnierza.

Przekonałem się, że strasznie trudno mi przyszło podziękować tym chłopakom. Ścisnęło mnie w gardle".

Ostatecznie Howard zrezygnował z dodającego skrzydeł przemówienia i polecił podkomendnym zająć miejsca w szybowcach. Ale dopiero po tym, jak wszyscy opróżnili pęcherze. Na kadłubie szybowca Wallworka Wally Parr napisał kredą *Lady Irene*. Kiedy oficerowie zaczęli wchodzić w ślad za szeregowymi do środka, ci już zajmowali miejsca.

Nagle jeden z szeregowych wybiegł z szybowca i zaczął uciekać.

Później, w trakcie rozprawy sądu wojennego, wyjaśniał, że nagle ogarnęło go przecucie, iż zginie w rozbitym szybowcu.

Oficerowie weszli na pokład jako ostatni. Brotheridge podszedł

jeszcze do szybowca Smitha, uściśnął mu rękę i powiedział: „Do zobaczenia na moście".

Howard obszedł każdy z szybowców, wymienił uściski dłoni z dowódcami plutonów. Powiedział, że właśnie rozmawiał z dowódcą dywizjonu *Halifexów*, który go uspokoił: „John, nie martw się o artylerię przeciwlotniczą. Przelecimy nad luką w obronie przeciwlotniczej nad Cabourgiem, trasą wykorzystywaną do przerzutu zaopatrzenia dla ruchu oporu oraz informacji i agentów".

Wreszcie Howard, uzbrojony w pistolet i w *Stena*, wszedł do swojego szybowca, zamknął drzwi i skinął głową Wallworkowi. Wallwork powiadomił pilota *Halifexa*, że wszystko gotowe. Pierwszy z szybowców wzbił się w powietrze 5 czerwca o godzinie 22.56, a następne w minutowych odstępach.

W Vimont, na wschód od Caen, pułkownik von Luck właśnie wrócił z ćwiczeń. Zjadł kolację i zabrał się za papierkową robotę. Tymczasem w Ranville major Schmidt siedział przy winie w damskim towarzystwie. Na moście nad kanałem szeregowy Bąk pomyślał z ulgą, że pozostała mu już tylko godzina warty. W bunkrze szeregowy Romer jęknął przez sen; wkrótce miał wstać i udać się na most.

Sierżant Heinz Hickman przejechał przez most i okazał dokumenty Bąkowi. Jechał w stronę wybrzeża, skąd miał zabrać z posterunków czterech młodych żołnierzy. Gdy mijał kawiarenkę Gondree'ów, żałował, że obowiązuje godzina policyjna. Kiedyś zajrzał do tej kafejki i bardzo mu się w niej podobało.

W mieszkaniu nad kawiarnią Gondree'owie układali się do snu.

Podobnie jak w Oksfordzie Joy Howard. W Londynie Irene Parr nie mogła zasnąć. Do jej uszu dochodził odległy huk silników samolotów, potężniejszy niż kiedykolwiek przedtem.

Od godziny 0.16 do 0.26

Wallwork starał się opanować wielki drewniany szybowiec lecący w ciszy wzdłuż kanału, poniżej linii widnokręgu, niezauważalnie i bezszelestnie.

Próbował to robić w momencie, gdy *Horsa* przegrała swoją walkę z siłą grawitacji. Wally Parr wyjrzał przez otwarte drzwi kadłuba: „Boże Wszechmogący, drzewa przemykały z szybkością 150 kilometrów na godzinę. Po prostu zamknąłem oczy i poczułem, jak ściskają mi się wnętrzności”. Wallwork mógł już dojrzeć zarysy mostu, przybliżającą się w szybkim tempie ziemię, drzewa po lewej i bagniste bajoro po prawej. Na wprost przed sobą widział zasieki z drutu kolczastego. Szybowiec mknął

zbyt szybko i pojawiło się zagrożenie, że zaryje w nasyp, po którym przebiegała szosa. Wiedział, że przyjdzie mu użyć spadochronu hamującego, lecz ta perspektywa napawała go strachem: „Bynajmniej nie przepadaliśmy za tym wynalazkiem. Wiedzieliśmy, że [spadochrony] są bardzo niebezpieczne, że to tylko nie przetestowane w warunkach bojowych zabawki”. Jeśli jednak miał zatrzymać szybowiec w porę, to wypuszczenie spadochronu było koniecznością.

Z drugiej strony mogło stać się i tak, że spadochron wyhamuje szybowiec za szybko i za daleko od celu. A Wallwork chciał wylądować możliwie najbliżej i, jeśli zdoła, przebić zasieki „nie dlatego, że wymagał tego Howard i nie dlatego, że byłem szczególnie odważny czy też znakomicie opanowałem sztukę pilotażu. Nie chciałem po prostu, żeby staranowały mnie nadlatujące szybowce nr 2 i 3”.

Gdy podwozie dotknęło podłoża, Wallwork wrzasnął do Ainswortha:

„Teraz!”. Ainsworth wcisnął przycisk, spadochron się otworzył

„i, u licha, uniósł ogon [szybowca] i zaryliśmy nosem”. Szybowiec odbił

się od ziemi, podskoczył, a wszystkie trzy koła podwozia odpadły. „A jednak spadochron nas powstrzymał, bardzo redukując prędkość, więc po dwóch sekundach, albo jeszcze szybciej, zawołałem do Ainswortha:

«Zrzuć balast». Ainsworth uruchomił dźwignię, spadochrony odpadły i sunęliśmy dalej z szybkością około 100 kilometrów na godzinę”.

Horsa ponownie uderzył o podłoże, tym razem stykając się z ziemią płozami. Z powodu tarcia o kamienie trysnęły setki iskier; Howard i pozostali pomyśleli, że to Niemcy ich dostrzegli i strzelają pociskami smugowymi. Nagle, jak wspomina Howard, „nastąpił niewyobrażalny, piekielny łoskot, potworne zderzenie”.

Przednia część kadłuba wbiła się w zasieki z drutu kolczastego i rozpadła. Wstrząs wyrzucił Wallworka i Ainswortha - wciąż przypa-sanych do swoich foteli, które oderwały się od podłogi - na zewnątrz. Tak więc to oni jako pierwsi alianccy żołnierze dotknęli stopami francuskiej ziemi. Tyle że obaj stracili przytomność.

Wewnątrz szybowca wszyscy żołnierze, saperzy oraz dowódca kompanii również byli nieprzytomni. Howarda wyrzuciło z siedzenia, mimo że przypiął się pasami. Uderzył głową w belkę w górnej części kadłuba; nokautująca siła wcisnęła mu hełm głęboko na uszy.

Panowała kompletna cisza, szeregowy Romer przechadzający się po moście usłyszał wprawdzie huk i trzask, ale doszedł do wniosku, że gdzieś w pobliżu spadł fragment skrzydła bądź usterzenia uszkodzonego brytyjskiego bombowca, co zdarzało się wcale nierzadko.

Tak więc kompania D wylądowała niezauważona. Wallwork i Ainsworth posadzili szybowiec z pierwszym z plutonów dokładnie tam, gdzie powinni. Był to z ich strony wielki wyczyn*.

Jednakże na razie wszyscy w szybowcu leżeli nieprzytomni. Romer doszedł do zachodniego skraju mostu i zawrócił ku wschodniemu. Gdyby dostrzegł szybowiec, który utknął w odległości zaledwie czterdziestu metrów od wschodniego krańca mostu, gdyby wszczął alarm, a żołnierze Wehrmachtu w bunkrze z karabinem maszynowym ocknęli się dostatecznie prędko, cały pluton zginąłby wewnątrz *Horsy*.

* Marszałek lotnictwa Trafford Leigh-Mallory, dowodzący alianckimi siłami powietrznymi podczas inwazji w Normandii, uznał ich wyczyn za najwspanialszy popis sztuki lotniczej podczas II wojny światowej.

Żołnierzom w kadłubie rozbitego szybowca wydawało się potem, że pozostawali nieprzytomni przed długie minuty. Powoli otrząsali się z zamroczenia, na poły świadomi swego zadania oraz tego, że ich życie jest zagrożone. Każdy z nich miał wrażenie, iż ów powrót do świadomości i odzyskiwanie sprawności trwały rozpaczliwie długo - według jednych co najmniej trzy minuty, zdaniem innych - nawet pięć minut.

W rzeczywistości pozbierali się już po upływie ośmiu do dziesięciu sekund. Był to efekt wielu godzin, tygodni, miesięcy i lat treningu.

Zaowocowało wyborne przygotowanie fizyczne - wydostali się z wraka, odzyskali refleks, byli błyskawicznie gotowi do działania. Tylko nieliczni bokserzy wagi ciężkiej powstałoby do walki po tak silnym ciosie.

Odruchowo wydostali się z rumowiska, wyskakując przez rozbity właz szybowca. Parrowi, Baileyowi, Grayowi i innym zdało się, że w owych chwilach panował chaos, że wszyscy bezładnie deptali sobie po piętach - w istocie opuścili rozbity *Horsę* szybko i sprawnie.

Howard sądził, że ogłuchł albo oślepl, aż w końcu zsunął z oczu hełm i stwierdził, iż właściwie nic mu się nie stało. Odetchnął z ulgą i patrzył z satysfakcją, jak pluton nr 1 sprawnie opuszcza szybowiec. Ujrzał

majaczący przed nim most i zniszczone zasieki pod stopami. Czuł, że rozpiera go radość. „Boże, wynagrodź tym pilotom” - pomyślał.

Nikt nie wypowiedział nawet słowa. Brotheridge przywołał ski-nieniem Bailey'a i szepnął mu do

ucha: „Rusz swoich chłopaków”. Bailey i dwaj inni żołnierze mieli zadanie unieszkodliwienia karabinu maszynowego w bunkrze i natychmiast popędzili w jego kierunku.

Brotheridge zebrał resztę swojego plutonu, rzucił szeptem „Chłopcy, jazda” i puścił się biegiem w stronę mostu.

W tej samej chwili, dokładnie minutę po pierwszym szybowcu, zszedł do lądowania szybowiec nr 2, pilotowany przez Olivera Bolanda. Boland widział przed sobą *Horsę* Wallworka i „nie chcąc wjechać mu w tyłek”, również postanowił użyć spadochronu hamującego. Raptownie wysunął

klapy i hamulce na skrzydłach, zmuszając *swojąHorsę* do przyziemienia.

Musiał też gwałtownie skrócić, żeby nie zderzyć się z szybowcem Wallworka. W trakcie tego manewru rozbił ogon swej „dwójki”. Zatrzymał

się na skraju stawu, trochę wstrząśnięty, ale

przytomny. Zawołał do ludzi na pokładzie: „Jesteśmy na miejscu.

Wypieprzajcie i róbcie to, za co wam płacą!”.

Twarde lądowanie wyrzuciło z szybowca dowódcę plutonu, Davi-da Wooda. Wood miał ze sobą wiązkę granatów, *Stena* i bagnet (bagnety naostrzyli jeszcze w Tarrent Rushton, gdyż takie polecenie, nieco teatralne zdaniem niektórych ludzi z kompanii, wydał im Ho-ward). Cały pluton zebrał się szybko wokoło dowódcy i Wood ruszył w stronę Howarda czekającego w pobliżu, za oddzielającym poletka ogrodzeniem.

Howard i jego radiooperator przypadli do ziemi po strzale, oddanym w ich kierunku przez strzelca z okopów po drugiej stronie szosy. Howard szepnął do Wooda: „Zadanie numer trzy”. Oznaczało to oczyszczenie z nieprzyjaciela okopów na północno-wschodnim skraju, za drogą. Zgodnie z relacją Howarda, „zupełnie jak sfera spuszczonej ze smyczy psów pluton Wooda podążył za nim i podjął walkę wręcz”. Wtedy wylądował

szybowiec nr 3.

„Trójka”, podobnie jak nr 1 i 2, wypuściła spadochron hamujący i wylądowała na płozach z donośnym hukiem. Doktor Vaughan, znajdujący się na pokładzie tuż za pilotami, dosłownie wyfrunął z kabiny. Pomyślał

wtedy, że musiał być skończonym głupcem, zgłaszając się na ochotnika do tych przeklętych szybowców. Spadł na ziemię kilka metrów przed szybowcem, silnie ogłuszony - upłynęło niemal pół godziny, zanim odzyskał przytomność.

Tuż obok niego znalazł się porucznik Sandy Smith. „Przeleciałem między dwoma pilotami, przez całą cholernąabinę, wyrzuciło mnie jak pocisk i wylądowałem przed szybowcem”. Był oszołomiony, umazany błotem, zgubił gdzieś swojego *Stena* i „naprawdę nie wiedziałem, co, do ciężkiej cholery, się dzieje”. Kiedy pozbierał się nieco i przyklęknął na kolanach, ujrzał nad sobą twarz jednego z

dowódców drużyn ze swego plutonu, kaprała, który spytał cicho: „Na co czekamy, panie poruczniku?”.

„Wtedy - wspomina Smith - dały o sobie znać efekty treningu”. Stał

na nogi, odebrał *Stena* i pobiegł w kierunku mostu. Sześciu jego ludzi nadal starało się wydostać z rozbitego szybowca, jeden utonął w stawie - i była to jedyna śmiertelna ofiara lądowania. Od północy upłynęło osiemnaście minut.

*

*

*

W burdelu w Benouville szeregowy Bąk dopiero co rozwiązał buty. Na moście szeregowy Romer minął się w połowie z drugim wartownikiem i szedł ku wschodniemu krańcowi. Tymczasem Brotheridge i jego ludzie spieszyli w stronę nasypu. Gdy wystrzelona w kierunku Howarda kula zmąciła ciszę, Romer nagle ujrzał dwudziestu dwóch brytyjskich żołnierzy, którzy wyłonili się jakby znikąd, w cętkowa-nych kombinezonach i z groteskowo uczernionymi twarzami. Stwarzali niesamowite wrażenie. Trzymali gotowe do strzału *Steny*, *Breny* i *Enfieldy*.

Zbliżali się miarowym krokiem do Romera, który błyskawicznie ocenił sytuację.

Odwrócił się i zaczął biec w kierunku zachodniego krańca mostu, krzycząc „Spadochroniarze!”, gdy mijał drugiego wartownika. Ów wyciągnął pistolet sygnałowy i wystrzelił racę. Brotheridge wpakował w niego cały magazynek *Stena*. I tak poległ pierwszy Niemiec w obronie hitlerowskiej *Festung Europa*.

Równocześnie Bailey i jego koledzy wrzucili granaty przez otwory strzelnicze do bunkra z karabinem maszynowym. Nastąpił wybuch, a potem wypełzła na zewnątrz wielka chmura pyłu i dymu. Gdy się rozwiała, Bailey stwierdził, że w środku nikt nie przeżył. Przebiegł przez most i zajął pozycję w pobliżu kawiarni.

Do tego czasu saperzy, którzy zaczęli poszukiwać na moście ładunków wybuchowych, przecięli lonty i kable.

Sierżant Hickman, który jechał do Le Port, prawie dotarł już do skrzy-

żowania i miał skręcić w stronę mostu, kiedy usłyszał serię wystrzeloną przez Brotheridge'a ze *Stena*. Poleciał kierowcy zatrzymać wóz.

Zorientował się, że strzelano ze *Stena* - twierdzi, że *Steny* i *Breny* miały charakterystyczny odgłos strzelania, zupełnie inny niż niemiecka broń maszynowa. Hickman chwycił swojego *Schmeissera* i rozkazał dwóm szeregowym zejść na prawo od szosy wiodącej do mostu, a sam z dwoma żołnierzami pobiegł na lewo.

Okrzyk Romera, raca z pistoletu sygnałowego, wreszcie seria ze *Stena* postawiły na nogi niemieckich żołnierzy w stanowiskach karabinów maszynowych oraz w okopach po obu stronach mostu. Szeregowi, w większości ludzie innych narodowości, przymusowo wcieleni do Wehrmachtu, zaczęli uciekać. Podoficerowie, będący bez wyjątku rodowitymi Niemcami, otworzyli ogień z kaemów *MG-34* i ze *Schmeisserów*.

Brotheridge, który znalazł się już niemal po drugiej stronie mostu, wyjął z chlebaka granat i cisnął w kierunku karabinu maszynowego po prawej. Dokładnie w tej samej chwili kula trafiła go w szyję. Tuż za nim biegł Billy Gray z *Brenem* przy biodrze. Billy także strzelił do wartownika, który wypalił racę, a potem ostrzelał niemieckie kaemy.

Granat Brotheridge'a eksplodował, niszcząc jedno z nieprzyjacielskich stanowisk. Obsługę drugiego karabinu maszynowego uciszył

Bren Graya oraz ostrzał z przeciwległego brzegu.

Gray zatrzymał się na północno-zachodnim krańcu mostu. Brotheridge leżał na środku szosy. Inni żołnierze drużyny wbiegali na most.

Był z nimi Willy Parr, u boku z Charlie Gardnerem. W połowie mostu Parr nagle przystanął. Chciał krzyknąć hasło plutonu *Able, Able*, ale ku swojemu przerażeniu stwierdził, że „język przywarł mi do pod-niebienia i nie mogłem nawet splunąć. Zaszło mi w ustach i uwiązał

w nich język”.

Próby, by mimo wszystko krzyknąć, tylko pogorszyły sprawę. Dławił się i złościł tak bardzo, że spurpurowiał na twarzy, co było widać nawet pod czernidłem. W końcu z wielkim wysiłkiem przełamał tę niemoc i wrzasnął z charakterystycznym akcentem londyńskiej ulicy: WYŁAŹCIE I WALCZCIE, WY TĘPE SUKINSYNY! Potem, zadowolony z siebie, zaczął krzyczeć *Ham and Jam, Ham and Jam!* Pokonał biegiem resztę drogi i skręcił w lewo, ku schronom, z którymi miał się uporać.

Zza chmur wyłonił się księżyc. Sierżant Hickman podczołgał się na odległość 50 metrów od mostu. Dostrzegł nadciągający pluton nr 1

„i aż się wystraszyłem, kiedy zobaczyłem, jak nacierają, jak strzelają, w jaki sposób forsują most. Nie jestem tchórzem, ale kiedy się widzi grupę spadochroniarzy w akcji, to można dostać pietra. Była noc, widziałem spadochroniarza biegnącego z *Brenem*, potem następnego ze *Stenem*, nie miałem się gdzie skryć, byłem sam z czterema młodzikami, którzy nigdy nie wachali prochu, więc nie mogłem na nich liczyć. A potem pociągnąłem za spust i strzeliłem”.

Hickman strzelał do Billy'ego Graya, który przeładowywał *Brena* na krańcu mostu. Billy założył nowy magazynek i odpowiedział

ogniem. Obydwaj strzelali z biodra i celowali trochę za wysoko; serie przeleciały ponad ich głowami. Hickman wymienił magazynek w *Schmeisserze* i zaczął ostrzeliwać most, a Billy poszukał

schronienia w pobliskiej stodole. Gdy tylko znalazł się w środku, oparł swojego *Brena* o ścianę i opróżnił pęcherz.

Tymczasem Hickmanowi wyczerpała się amunicja. Był wściekły z powodu postawy obsady mostu, która prawie nie podejmowała walki.

Gardził takimi żołnierzami: „Wygodnie im się żyło w te wszystkie lata wojny we Francji. Nigdy nie byli w niebezpieczeństwie, pełnili tylko służbę wartowniczą”, Brytyjczycy, zdaniem Hickmana, „przyłapali ich śpiących”. Hickman postanowił wydostać się z tego piekła. Dał znak swoim szeregowym; wraz z nimi wsiadł do wozu i pospieszył w stronę Caen okreśną drogą ku sztabowi, który stacjonował zaledwie o kilka kilometrów w linii prostej - na wschód od mostu. Przejechanie tej trasy, pokonywanej zwykle w dziesięć czy piętnaście minut, zajęło mu aż sześć godzin (musiał objechać także zbombardowane Caen), a gdy wreszcie dotarł do celu, by zameldować o wylądowaniu nieprzyjacielskich wojsk powietrznodesantowych, jego major już od dawna o tym wiedział.

Kiedy Hickman skierował się do wozu, Smith przebiegł po wąskim chodniku po południowej stronie mostu, rozdrażniony bardziej niż zwykle, gdyż podczas lądowania szybowca skręcił nogę w kolanie.

Ludzie Brotheridge'a rzucali granaty i strzelali; Niemcy odpowiadali sporadycznym ogniem. Kiedy Smith dotarł na drugą stronę, dostrzegł

Niemca szykującego się do ciśnięcia w jego stronę granatu zaczepnego.

Niemiec wychylił się zza niskiego murka przed frontem kawiarni i wtedy Smith poczęstował go serią ze swojego *Stena*. Martwy żołnierz przewalił

się przez mur; równocześnie eksplodował granat. Kapral podbiegł do Smitha i zapytał, czy wszystko w porządku. Wtedy dopiero zauważył

dziury w swojej kurtce i spodniach. Potem spojrzał na nadgarstek, na którym w otwartej ranie zobaczył kość. Jego pierwszą myślą było:

„Chryste, nie będę już mógł grać w krykie-ta”. O dziwo, jego palce pozostały sprawne i mógł nadal naciskać spust.

Odgłosy walki przebudziły Georges'a Gondree'a. Zbliżył się na czworakach do okna i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. W tym samym momencie Smith oderwał wzrok od swojego nadgarstka i dojrzał głowę Gondree'a; wycelował w okno lufę *Stena* i puścił serię. Mierzył za wysoko, więc pociski roztrzaskały tylko szybę i utkwily w drewnianych belkach, nie czyniąc krzywdy Gondree'owi, który pospiesznie się cofnął, a potem sprowadził żonę z córkami do piwnicy.

Kiedy szeregowy Bąk usłyszał pierwsze strzały, wciągnął spodnie i zasznurował buty, zapiął koszulę, chwycił karabin i wybiegł z burdelu na ulicę. Jego towarzysz już tam był; razem popędzili w kierunku skrzyżowania.

Widząc wymianę ognia, natychmiast zawrócili i przebiegli przez Benouville szosą wiodącą do Caen.

Gdy zabrakło im tchu, przystanęli, wystrzelali w powietrze całą posiadaną amunicję i zawrócili do Benouville, aby tam zameldować, że na moście są brytyjscy żołnierze, a oni sami zużyli w walce wszystkie naboje.

Dziewiętnaście minut po północy brygadier Poett wylądował na ziemi jako pierwszy ze spadochroniarzy. Po miękkim lądowaniu wyplątał się z uprzęży, rozejrzał wokół i stwierdził, że nie wie, gdzie właściwie się znalazł. Punkt orientacyjny miała stanowić wieża kościoła w Ranville, ale Poett wylądował w zagłębieniu terenu na polu zboża i nie mógł jej dostrzec. Nie widział też swoich żołnierzy. Rozglądał się za nimi, zwłaszcza za radiooperatorem, kiedy dosłyszał wystrzeloną przez Brotheridge'a serię ze *Stena*. Ruszył więc w kierunku, z którego dobiegł

odgłos strzałów, idąc na tyle szybko, na ile na to pozwalało wysokie zboże.

Po drodze napotkał jednego z szeregowych z desantu.

W Anglii, o godzinie 0.20, bombowiec *Stirling* z kapitanem Richardem Toddem na pokładzie obrał kurs na kanał La Manche. Dwudziestoczteroletni Todd zrezygnował z obiecującej kariery aktorskiej i wstąpił do wojsk spadochronowych. Po otrzymaniu stopnia oficerskiego na początku 1941 roku trafił do 7 batalionu 5 Brygady 1 Dywizji Powietrznodesantowej. Dowódca jego batalionu, pułkownik Jeffrey Pine Coffin, leciał w tej samej grupie *Stirlingów* - spadochroniarze wyruszyli nad kontynent, aby wzmocnić pododdział mający nagłym atakiem opanować most na tyłach wroga.

Todd powinien lecieć w *Stirlingu* nr 36, gdy jednak jego grupa zeskoczyła z ciężarówki i zaczęła się gramolić do samolotu, pewien starszy rangą oficer RAF-u stwierdził, że leci z nimi, a bombowiec wystartuje nad Francję jako pierwszy. „Słabo zaprotestowałem - opowiada Todd - mieliśmy własny wypracowany plan, nasz plan skoków, no, ale nie można się sprzeczać z kimś wyższym stopniem. I miałem sporo szczęścia, bo pierwszych dwadzieścia samolotów wykorzystało element zaskoczenia, a kiedy znalazłem się już na ziemi i patrzyłem, jak nadlatują następne maszyny, to widziałem, że od trzydziestej w górę zostały zestrzelone. Ta, którą miałem początkowo lecieć, też spadła.

Wszyscy w niej zginęli, więc tamtej nocy dopisało mi szczęście”.

O godzinie 0.20 Fox bez większych kłopotów wylądował ze swoim plutonem około 300 metrów od mostu na rzece.

Według Foxa prawdziwym liderem plutonu był sierżant Wagger Thornton: „To był wspaniały człowiek. W koszarach cichy, spokojny, bezkonfliktowy podoficer, który równie często sam zamiatał pomieszczenia jak żołnierze, za to w boju niezrównany. On w praktyce dowodził plutonem. Ja byłem tylko figurantem i na dobrą sprawę robiłem to, co mi kazał”.

Kiedy wylądowali, a Fox nie mógł się uporać z otwarciem drzwi w kadłubie szybowca, Thornton pokazał mu, jak to zrobić. Po opuszczeniu szybowca uformowali szyki, jeden z kaprali miał poprowadzić pierwszą drużynę, a Fox wyruszyć za nim z dwiema pozostałymi. Ale kapral stał w miejscu jak zakłęty - powiedział, że widzi daleko przed sobą kogoś z karabinem maszynowym.

- Do diabła z tym - stwierdził Fox - przebijamy się.

Mimo to kapral nadal się nie ruszał.

Wówczas Fox sam się wystraszył. Seria z *MG-34* przykuła wszystkich do ziemi. „I wtedy - wspomina Fox - drogi stary Thornton, szybki jak zwykle, ustawił moździerz i strzelił z niego; był to piękny strzał, trafienie prosto w tamten karabin maszynowy. Popędziliśmy w stronę mostu, a chłopaki wrzeszczały *Easy, Easy* [hasło rozpoznawcze plutonu]”.

Z porucznikiem Foxem na czele dotarli nad wschodni brzeg. Przeciwnik nie stawiał oporu - strażę uciekły po strzale z moździerza.

Gdy Fox upajał się przedwcześnie sukcesem, podszedł do niego Thornton i powiedział, że ustawił na moście *Brena*, aby zapewnić osłoneż czołowej grupie. Zasugerował, że może lepiej rozdzielić żołnierzy, którzy sterczą w gromadzie na skraju mostu. Fox przyznał mu rację i rozkazał się rozejść.

O godzinie 0.21 szybowiec Sweeneya podchodził do lądowania.

- Powodzenia, chłopcy. Nie zapominajcie, że jak tylko wyląduje my, trzeba wyskoczyć i nie marudzić - zawołał Sweeney.

Wtedy usłyszał, jak pilot szybowca zaklął:

- Och, niech to diabli.

Horsa zniżył się ku ziemi szybciej niż sobie tego życzył pilot. Mimo to samo lądowanie przebiegło gładko.

- Przykro mi, ale wylądowałem o jakieś 350 metrów od zaplanowanego miejsca - powiedział pilot, odwracając się do Sweeneya.

W rzeczywistości od owego miejsca dzieliła ich dwukrotnie większa odległość.

Opuszczenie szybowca nie przysporzyło problemów. Sweeney zebrał

pluton i narzucił tempo marszu. Już w chwilę potem wpadł do rowu melioracyjnego i przemókł do suchej nitki. Wygrzebał się szybko i ruszył

naprzód jeszcze szybciej. Gdy dotarł z żołnierzami do mostu, wbiegając na niego, krzyczeli co tchu „Fox, Fox, Fox”. Ponieważ nieprzyjaciel nie stawiał oporu, Sweeney podejrzewał, że albo pluton *Pridaya* albo pluton *Foxa* znaleźli się tu przed nim, „Chociaż, kiedy wkroczyłem na most, mimo wszystko miałem straszne uczucie, że może on wylecieć w powietrze”. Zostawił jedną drużynę na zachodnim brzegu i przeszedł na wschodni z dwiema pozostałymi. Żołnierze „dudnili podeszwami obok mnie i natknęliśmy się na *Foxa*, a jego ludzie wołali *Easy, Easy, Easy*”.

A więc zatrzymaliśmy się, rozczarowani, bo szykowaliśmy się do zabijania wroga, dźgania go bagnietami, do eksplozji ładunków wybuchowych czy czegoś w tym rodzaju, a tu po drugiej stronie mostu nie ujrzeliśmy nikogo, tylko charakterystyczną sylwetkę *Dennisa Foxa*”.

Wcześniej Sweeney często miał okazję widzieć Foxa w podobnej sytuacji podczas niezliczonych ćwiczeń terenowych pod Exeter. W

tamtych okolicznościach Fox, tak jak i inni dowódcy plutonów, dbali głównie o ocenę ich działań przez nadzorujących ćwiczenia rozjemców.

Teraz Sweeney podbiegł do Foxa.

- Dennis, Dennis, jak się masz? Wszystko w porządku?

Fox zmierzył go spojrzeniem.

- Tak sądzę, Todd - odparł - tyle że nie ma tych cholernych rozjemców.

Do 0.21 trzy plutony przy moście nad kanałem przełamały opór stawiany przez obrońców - nieprzyjacielscy żołnierze zginęli albo uciekli.

Wyznaczeni wcześniej ludzie z desantu zaczęli podchodzić ku bunkrom.

Sandy Smith wspomina, że „biedne sukinsyny w tych schronach nie miały większych szans, ale nie było pardonu. Po prostu wrzucaliśmy do transzei granaty zapalające i zaczepne, strzelaliśmy do wszystkiego, co się poruszyło”.

Wally Parr i Charlie Gardner poprowadzili szturm na bunkry po lewej. Po zejściu do wykopu Parr otworzył drzwi do pierwszego schronu i wrzucił do środka granat. Natychmiast po wybuchu Gardner wbiegł

przez wejście i omiół wewnątrz serią ze *Stena*. Na wszelki wypadek powtórzyli cały zabieg. Potem, oczyściwszy schron, wyszli z powrotem na powierzchnię, nieco ogłuszeni od eksplozji.

Ich następne zadanie polegało na odnalezieniu Brotheridge'a, któremu wyznaczono przed akcją zorganizowanie punktu dowodzenia w kawiarni i zajęcie dogodnych pozycji strzeleckich. Zza węgła budynku Gardner cisnął granat fosforowy w stronę, skąd Niemcy ostrzeliwali się sporadycznie z broni krótkiej. Parr wrzasnął do niego:

-Nie rzucaj następnych, bo nie będziemy widzieli, co się dzieje!.

Potem Parr spytał jakiegoś żołnierza kompanii D:

- Gdzie jest Danny? (Oficjalnie Brotheridge był dla podwładnych „panem porucznikiem”; prywatnie oficerowie mówili na niego

„Den”, natomiast podoficerowie i szeregowi - „Danny”).

- Gdzie Danny? - powtórzył Parr.

Żołnierz odrzekł, że nie widział porucznika. „Cóż - pomyślał Parr

- musi być gdzieś w pobliżu". I obiegł kawiarnię. „Przebiegłem obok człowieka leżącego na drodze koło kawiarni". Chwileczkę, powiedział

do siebie. Zawrócił i przykląkł.

„Spojrzałem na niego. To był Danny Brotheridge. Miał otwarte oczy i rozchylone usta. Podłożyłem dłoń pod jego głowę, żeby ją trochę unieść.

Spojrzał, a właściwie poruszył oczami. Potem zacharczał i opadła mu głowa. Rękę miałem całą we krwi. Popatrzyłem na niego i pomyślałem:

«Mój Boże». W samym środku potyczki klęczałem, patrzyłem i myślałem:

«Jaka strata!» Całe lata przygotowań do akcji

- a padł już po kilku sekundach. Na co mu było to wszystko?"

Podbiegł Jack Bailey.

- Co się dzieje, do cholery? - zapytał Parra.

- To Danny - odpowiedział Parr. - Oberwał.

- Jezu Chryste - wymamrotał Bailey.

Sandy Smith, który wcześniej sądził, że wojna to pasmo bohaterskich czynów, powoli przekonywał się, jak wygląda rzeczywistość. Ze zdumieniem zobaczył, że jeden z jego najlepszych żołnierzy, chłopak, który stanowił dla niego nieocenione oparcie podczas ćwiczeń i na którego szczególnie liczył w walce, skulił się teraz w okopie i modlił. Inny z jego podkomendnych zameldował, że zwichnął kostkę podczas lądowania i kulejąc, poszedł się gdzieś skryć - choć tuż po wylądowaniu nie kulał. Porucznik Smith pospiesznie wyzbywał się wielu złudzeń.

Po przeciwnej (wschodniej) stronie mostu pluton Davida Wooda oczyszczał okopy oraz schrony. Nie było z tym większych kłopotów, większość niemieckich żołnierzy uciekła. Chłopcy Wooda, posuwając się naprzód, krzyčili *Baker, Baker, Baker* i strzelali do wszystkiego, co się tylko poruszyło. Wkrótce zawołali, że w okopach nie ma już nieprzyjaciela. Wood natknął się na sprawny kaem *MG-34* z pasem amunicyjnym pełnym naboju. Poleciał dwóm swoim ludziom zająć się bronią. Pozostali rozlokowali się w okopach, a Wood wyruszył do Howarda, aby zameldować o wykonaniu zadania.

Odchodząc, krzyknął do swoich żołnierzy: „Dobra robota, chłopaki!

Świetna robota!". I wtedy padła seria ze *Schmeissera*. Trzy pociski trafiły Wooda w lewą nogę; padł, przerażony, unieruchomiony, brocząc krwią.

Tymczasem Wallwork dochodził powoli do siebie, leżąc na brzuchu pod szybowcem. „Byłem oszołomiony. Podobnie jak Ainsworth, którego wołanie słyszałem. Wygrzebałem się jakoś.

Ainsworth, choć było z nim gorzej niż ze mną, bo utknął pod kadłubem, pytał w kółko: «Jim? Nic ci się nie stało, Jim? Nic ci nie jest, Jimmy?»". Wallwork zapytał

Ainswortha, czy da radę wypełznąć.

- Nie dam rady.

- A jeżeli trochę to uniosę?

-Tak.

„I uniosłem nieco ten cholerny wrak. Wydawało mi się, że dźwigam cały przeklęty szybowiec. Czuję się jak Herkules. Ainsworth zdołał się wyczołgać”.

Ainsworthowi udzielono pomocy medycznej, a tymczasem Wall-work zaczął wyladowywać z szybowca amunicję i donosić ją plutonom na pierwszej linii. Nie zdawał sobie sprawy, że ma głęboko rozciętą skórę na czaszce i czole, a po twarzy spływa mu krew.

Na moście drużyna Sweeneya na przeciwległym brzegu usłyszała nadchodzący ścieżką flisacką od strony Caen patrol. Dowódca drużyny wykrzyczał w jego kierunku hasło - *V*. Odzew nie przypominał jednak *słów for Victory* i zabrzmiał raczej z niemiecka. Drużyna otworzyła ogień i zabiła całą zbliżającą się czwórkę. Późniejsze dochodzenie wykazało, że jednym z zabitych był zwiadowca brytyjskich spadochroniarzy, schwytany przez niemiecki patrol, który najwyraźniej prowadził jeńca do sztabu na przesłuchanie.

O godzinie 0.22 Howard ulokował punkt dowodzenia w okopie przy północno-wschodnim krańcu mostu. Miał przy sobie radiooperatora -

kaprała Tappendena. Howard próbował się zorientować, jaki obrót przybrała potyczka wokół mostu na kanale, czekał jednocześnie na meldunki znad rzeki. Pierwsza wieść, która dotarła, stanowiła silny cios: Brotheridge zginął.

„To mną naprawdę wstrząsnęło - wspomina Howard - bo zginął

właśnie Den, z którym się bardzo zaprzyjaźniłem. Poza tym czołowy pluton pozostał teraz bez dowódcy". Następna informacja okazała się równie zła: Wood i jego radiooperator zostali ranni i wyeliminowani z walki. Kolejny łącznik zameldował, że porucznik Smith jest ranny w dłoń i paskudnie zwichnął nogę.

A więc w niespełna dziesięć minut trzy plutony utraciły dowódców!

Na szczęście sierżanci dobrze znali zadania postawione przed pododdziałami i mogli przejąć dowodzenie. W plutonie Wooda komendę objął kapral. Poza tym Smith mógł się wciąż poruszać, choć z trudem i zmagając się z ostrym bólem. Howard stracił swoich oficerów na moście nad kanałem i nie wiedział, co się dzieje za rzeką. Nie wiedział też, że jego zastępca, kapitan Priday, wylądował z plutonem - czyli jedną szóstą sił

kompanii D - 20 kilometrów od rejonu walk, nad rzeką Dives.

Howard nieustannie pytał Tappendena:

- Czy masz jakieś wieści znad rzeki, od czwartego, piątego i szóstego?

- Nie - odpowiadał stale Tappenden.

Jednakże w ciągu następnych dwóch minut napłynęły meldunki, które podniosły Howarda na duchu. Najpierw zjawił się Jock Neilson, szef saperów, który oznajmił:

- Na moście nie ma ładunków wybuchowych, John.

Wyjaśnił, że most został wprawdzie przygotowany do wysadzenia w powietrze, ale materiałów wybuchowych nie umieszczono jeszcze w komorach. Saperzy usunęli mechanizmy detonujące, a następnie dołączyli do walczącej piechoty szybowcowej. Nazajutrz odnaleziono ładunki wybuchowe w pobliskiej szopie.

Wiść, że most nie wyleci w powietrze, przyniosła Howardowi wielką ulgę. Ponadto strzelanina stopniowo cichła i mógł dostrzec przez kłęby dymu w blasku co chwila wylaniającego się zza chmur księżyca, że jego ludzie opanowali oba krańce mostu na kanale. Właśnie w chwili, gdy stało się jasne, iż połowa pierwszego zadania już wypełniona, Tappenden szarpnął Howarda za kurtkę munduru. Nadszedł meldunek od plutonu Sweeneya: „Zdobyliśmy most bez jednego wystrzału”.

A zatem *Ham and Jam!* Kompanii D udało się opanować obydwie mosty. Howard odczuwał radość oraz dumę ze swej kompanii.

- Nadaj - polecił Tappendenowi - *Ham and Jam, Ham and Jam*; nadawaj, aż uzyskasz potwierdzenie odbioru.

Tappenden zaczął powtarzać do mikrofonu nadajnika: *Ham and Jam, Ham and Jam*.

Nadawał w nadziei, że meldunek dotrze i zostanie odebrany przez brygadiera Poetta. Jednak ani Tappenden ani Howard nie mogli wiedzieć, iż Poett nie odnalazł swojego radiooperatora i zmierzał w ich kierunku z jednym zaledwie żołnierzem.

Utrzymać most aż do nadejścia odsieczy. Taki rozkaz wydano Howardowi, ale dwóch ludzi, brygadier i szeregowy, nie mogli stanowić poważnego wsparcia dla walczącej samotnie kompanii.

Od godziny 0.26 do 6.00

Po uchwyceniu mostów Howard musiał się przygotować do obrony. W

każdej chwili można się było spodziewać niemieckiego kontrataku.

Bezpieczeństwem samego mostu na rzece nie martwił się zanadto, gdyż w ciągu pół godziny brytyjscy spadochroniarze mieli wylądować w pobliżu Ranville i zająć się jego ochroną. Jednakże na moście nad kanałem, położonym nieco dalej na zachód, nikt na razie nie mógł mu udzielić pomocy - pobliskie okolice były zapchane niemieckimi żołnierzami, czołgami i ciężarówkami. Howard posłał więc łącznika na most na rzece z rozkazem dla Foga, by ten ściągnął swój pluton nad kanał. Zamierzał

skierować pluton Foga na skrzyżowanie, by tam zajął wysuniętą pozycję.

Howard wiedział, że ściągnięcie przez Foga jego ludzi z obecnych pozycji, przejęcie ich przez pluton Sweeneya, wreszcie przemaszerowanie ponad 400 metrów od jednego mostu do drugiego zajmie trochę czasu.

Jednakże słyszał już rozruch silników niemieckich czołgów w okolicy Le Port. Wyruszyły one niebawem na południe, drogą do Benouville. Ku wielkiej uldze Howarda, nie skręciły na skrzyżowaniu w stronę mostu, tylko zatrzymały się w Benouville. Domyślał się, że dowódcy niemieckich oddziałów z obu miejscowości postanowili się naradzić, ale zdawał sobie sprawę, iż czołgi nie odjadą.

Uzbrojone w karabiny maszynowe i działa, bez trudu odrzuciłyby kompanię D z obu mostów. Wozom pancernym przeciwnika mógł

przeciwstawić tylko *Piąty*, po jednym na pluton, i granaty *Gammon*. Z

zachodniego krańca mostu powrócił na stanowisko dowodzenia Parr i zameldował, że usłyszał czołgi i wraca do szybowca po *Piata*.

- Pochwalam - stwierdził Howard.

Parr zszedł z nasypu, wgramolił się do szybowca i... „Niczego nie mogłem dostrzec. Nie miałem latarki. Zacząłem grzebać i w końcu znalazłem *Piata*”. Wziął broń i nieco amunicji, potknął się, wstał

i wtedy stwierdził, że pancernownica uległa wykrzywieniu, stając się bezużyteczna. Odrzucił ją więc i powrócił, oznajmiając Howardowi, że na *Piata* nie ma co liczyć.

Howard krzyknął do jednego z żołnierzy Sandy'ego Smitha, żeby ten poszedł do innego szybowca po drugiego *Piata*. Tymczasem Jim Wallwork włókł się z mozołem, obładowany niczym juczny koń, niosąc amunicję plutonom wysuniętym na czołowe pozycje. Howard spojrzął za zakrwawioną twarz Wallworka i pomyślał: „Dziwny ka-muflaż, jak na walkę w nocy”. Powiedział mu:

- Wyglądasz jak jakiś cholerny Indianin.

O godzinie 0.45 doktor Vaughan odzyskał przytomność. Wygrzebał

się z błota, ruszył chwiejnym krokiem w stronę szybowca, z którego dobiegały jęki. Stwierdził, że nie zdoła wyciągnąć pilota z wraka i zrobił rannemu zastrzyk z morfiny. Potem udał się w kierunku mostu, gdzie usłyszał, jak Tappenden nadaje: *Ham and Jam, Ham and Jam*.

Vaughan dowlóknął się do stanowiska dowodzenia, od czubka głowy do stóp uwalany cuchnącym szlamem. Zastał Howarda „siedzą-

cego w okopie i bardzo zadowolonego, wydającego rozkazy na lewo i prawo”.

- Witam, doktorze. Jak się miewamy? - zapytał Howard.

- W porządku - odparł Vaughan - tylko, John, co to za cholerna heca z tą szynką [*ham*] i dżemem [*jam*]!

Howard wyjaśnił mu znaczenie hasła i polecił zająć się Brotheridge'em i Woodem, zniesionymi na noszach do małego okopu oddalonego o około 70 metrów na wschód od koryta rzeki. (Kiedy Howard zobaczył Brotheridge'a na noszach, zrozumiał w lot, że jego porucznik jest śmiertelnie ranny: „W głowie kołatała mi myśl, że Margaret, jego żona, oczekiwała w tych dniach dziecka”.) Vaughan ruszył ku zachodniemu krańcowi mostu. Rozległy się krzyki: „Wracaj, doktorze, wracaj, nie w tę stronę!”. Howard pokazał mu ręką miejsce, w które powinien się udać - do punktu doraźnej pomocy w jednym z okopów. Zanim wciąż jeszcze mocno skołowany lekarz tam poszedł, Howard dał mu pociągnąć whisky ze swojej manierki.

W końcu Vaughan dotarł do punktu pomocy medycznej, gdzie zobaczył

Wooda leżącego na noszach. Obejrzał łubki założone przez sanitariusza, uznał, że noga została unieruchomiona prawidłowo i dał rannemu zastrzyk z morfiny. Potem wyczołgał się na szosę i znów udał się w niewłaściwą stronę; ponownie rozległy się krzyki: „Wracać, nie tam, nieprzyjacieli!”.

Powrócił więc do okopu przeznaczonego do opatrywania rannych.

Vaughan relacjonuje: „Zobaczyłem Dena leżącego na plecach, wpa-trzonego w gwiazdy. Wyglądał na kogoś niezwykle zaskoczonego, zwyczajnie zdumionego. I dostrzegłem ranę od pocisku, który przeszył sam środek szyi”. Vaughan zrobił Brotheridge'owi zastrzyk z morfiny i opatrzył jego ranę. Wkrótce potem Brotheridge skonał. Był pierwszym alianckim żołnierzem, który zginął od nieprzyjacielskiej kuli podczas D-Day.

Przez cały ten czas Tappenden nadawał hasło *Ham and Jam, Ham and Jam*. Kiedy Vaughan zajmował się Denem, nadszedł w zwartym szyku pluton Foxa. Howard rzucił krótko Foxowi: „Zadanie numer pięć” i żołnierze weszli na most. Od Smitha Fox miał informacje o aktualnej sytuacji - niewielki przyczółek był na razie zabezpieczony, ale nieprzyjaciel ostrzeliwuje się z zabudowań w Le Port i Benou-ville, a ponadto usłyszano silniki czołgów.

Kiedy Fox powiedział, że jego *Piat* uległ zniszczeniu w czasie ląd-

dowania, Smith podał mu swojego *Piata*. Fox wręczył go z kolei sierżantowi Thorntonowi. Biedny Wagger Thornton dosłownie ugiął się pod ciężarem niesionego ekwipunku. Dźwigał swój plecak, chlebak z granatami, *Stena*, magazynki do *Brena* oraz zapas amunicji do własnego pistoletu maszynowego, a teraz doszedł mu jeszcze *Piat* i dwa granaty. Jednak bez narzekań podążył za Foxem w kierunku skrzyżowania.

O godzinie 0.40 Richard Todd leciał wraz ze swoją grupą nad kanałem La Manche. Stał okrakiem nad otworem w spodzie kadłuba bombowca *Stirling*. Do każdej z nóg miał przytroczony pakunek; w jednym znajdowała się złożona gumowa, nadmuchiwana łódka, w drugim zaś saperka i inne przybory do okopywania się. *Stena* przymocował

pasami do piersi. W plecaku i chlebaku miał granaty i mnóstwo zapasowej amunicji. Za Toddem stał jego ordynans i starał się go przytrzymać, gdy *Stirling* wykonywał uniki przed ogniem nieprzyjacielskiej artylerii przeciwlotniczej. „Faktycznie sporo ludzi wpadło wtedy do morza -

wspomina Todd. - Straciliśmy wielu ludzi, którzy wypadli, kiedy samoloty robiły uniki". Jednak ordynans trzymał Todda mocno, gdy pod nimi przesuwaly się wody kanału La Manche.

Dokładnie o godzinie 0.50, czyli tak jak przewidywał plan, Howard zobaczył bombowce przelatujące na małej wysokości, nieco ponad 100

metrów nad ziemią. Na wschód i północ od Ranville rozjaśniły niebo rakiety świetlne wystrzelone przez prowadzące szlak samoloty.

Równocześnie zapaliły się niemieckie szperacze - reflektory przeciwlotnicze - umiejscowione w każdej wsi w okolicy. Howard tak to opisuje: „Mieliśmy pierwszorzędny widok na nadciągającą dywizję.

Reflektory oświetlały czasie spadochronów, wzbijały się w niebo i spadały na ziemię pociski smugowe. To było naprawdę zapierające dech widowisko.

Wiedzieliśmy, że nie jesteśmy osamotnieni".

Howard zaczął co sił w płucach dmuchać w metalowy gwizdek: trzy krótkie dźwięki, pauza i długi dźwięk. Był to uzgodniony wcześniej sygnał

- *V*, jak zwycięstwo. Major gwizdał tak znów i znów, a ostre dźwięki niosły się na kilometry w nocnym powietrzu. „Po latach -wspominał

Howard -weterani wojsk spadochronowych mówili mi, jak wspaniale brzmiał dla nich ten dźwięk. Spadochroniarze, którzy lądowali w pojedynkę, na drzewach, bagnach, na terenie gospodarstw, sami, z dala od przyjaciół, mogli usłyszeć to gwizdanie. Nie tylko oznaczało ono, że mosty zostały zdobyte, ale i ułatwiało orientację".

Jednakże spadochroniarzom dotarcie do mostu musiało zająć od pół

do ponad godziny. Tymczasem nadal słyszeć było czołgi w Benou-ville.

Wallwork, który wrócił do swojego szybowca, miał stanowisko dowodzenia, „a tam Howard dmuchał w ten swój cholerny gwizdek i wydawał przeróżne głupie dźwięki”. Howard przerwał jednak na moment gwizdanie, aby polecić Wallworkowi, by zaniósł trochę granatów *Gammon* Foxowi i jego ludziom.

„Granaty *Gammon!* Granaty *Gammon!* Tego już było dla mnie za wiele -wspomina Wallwork. - Szukałem wcześniej tych granatów i powiedziałem Howardowi, że ich nie ma. A on na to: «Sam je zaniósłem do szybowca. Przynieś te przeklęte granaty». Więc wróciłem do rozwalonego szybowca, by je odnaleźć”.

Wallwork błysnął latarką „i wtedy usłyszałem w szybowcu coś w rodzaju grzechotania. «Co to takiego?» - zastanawiałem się”. Jeden z Niemców w okopie nad kanałem dostrzegł światło latarki i zwrócił lufę swojego *Schmeissem* w kierunku szybowca. „Zgasilem latarkę i pomyślałem: «No i masz, Howard, swoje cholerne granaty»”. Wallwork chwycił ładunek amunicji i zawrócił w kierunku mostu, meldując po drodze Howardowi, że nie znalazł granatów. (Nie wiadomo, co się z nimi stało. Wallwork twierdzi, że Howard usunął je przed startem, żeby nieco odciążyć szybowce. Z kolei Howard utrzymuje, że zabrali je żołnierze z plutonów nr 2 i 3).

Tappenden nadal nadawał hasło *Ham and Jam*. Ze dwa razy dał upust nerwom i zawołał *Ham and BLOODY [cholerny] Jam!*

O godzinie 0.52 człowiek, do którego Tappenden kierował ten meldunek - brygadier Poett - wy dostał się ze zboża i dotarł do mostu na rzece. Sweeney poinformował go krótko o sytuacji i Poett ruszył w kierunku kanału.

Na widok zbliżającego się brygadiera, Howardowi najpierw przyszła do głowy myśl: „Już ja dam popalić Sweeneyowi za to, że nie powiadomił mnie przez łącznika lub drogą radiową, iż w strefie działań kompanii znajduje się nasz brygadier”. Howard składał raport sytuacyjny, podczas gdy Poett rozglądał się wokoło.

- Cóż, wygląda na to, że nie jest źle, John - stwierdził Poett.

Przeszli przez most i naradzili się ze Smithem. Wszyscy trzej słyszeli silniki czołgów i ciężarówek w Benouville i Le Port. I wszyscy trzej wiedzieli, że jeśli pomoc nie nadejdzie szybko, to nie utrzymają tak ważnych dla całej operacji mostów.

O godzinie 0.52 Richard Todd znalazł się na ziemi. Wokół lądowali inni spadochroniarze. Tak jak nieco wcześniej Poett, Todd nie mógł się zorientować, gdzie jest, gdyż nie był w stanie dostrzec wieży kościoła w Ranville. Nad strefą lądowania przelatywały pociski smugowe, więc wyplątał

się z szelek spadochronowych i pobiegł do pobliskiego lasu, gdzie miał

nadzieję spotkać innych skoczków.

Major Nigel Taylor, dowodzący jedną z kompanii 7 batalionu 5 Brygady, także się pogubił.

Pierwszymi ludźmi, na których się natknął, byli pewien oficer i trębacz; wylądowali oni nieco wcześniej, razem z Poettem i zwiadowcami. Mieli odnaleźć punkt zborny w Ranville i tam odegrać na trąbce hejnał pułkowy Somerset Light Infantry. Jednak teraz ów oficer oznajmił Taylorowi:

- Szukam tego cholernego miejsca od trzech kwadransów i nie mogę go znaleźć.

W lesie obaj odszukali pułkownika Pine'a Coffina, dowódcę batalionu.

Wyciągnęli mapy, oświetlili je latarkami, lecz nadal nie mogli się zorientować, gdzie wylądowali. Wtedy usłyszeli sygnały dźwiękowe wysyłane przez Howarda.

Ustalenie, gdzie jest Howard, nie rozwiązywało jeszcze wszystkich problemów Pine'a Coffina. Zgromadził wokół siebie dopiero setkę żołnierzy z ponad 350-osobowego pododdziału. Wiedział, że Howard uchwycił mosty, ale, jak wyjaśnia Nigel Taylor, wiedział także, iż „Niemcy zwykle podejmują natychmiastowe kontrataki. Nasze zadanie polegało na przedostaniu się przez most na drugą, zachodnią stronę kanału. Pine Coffin miał dylemat, czy powinien wyruszyć z tak małą liczbą ludzi, czy też poczekać, aż cały batalion się zbierze. Zdawał sobie sprawę, że musi wejść do akcji tak szybko, jak to możliwe, ażeby złuzować Johna Howarda”.

Około godziny 1.10 Pine Coffin zdecydował się podzielić swoją formację; ruszył z grupą żołnierzy ku mostom i pozostawił jednego z podwładnych, by ten zebrał pozostałych, a potem udał się jego śladem.

Tymczasem w Ranville major Schmidt stwierdził, że najlepiej będzie, jeśli osobiście się przekona, co to za strzelanina wybuchła na mostach.

Pospiesznie zabrał talerze z jedzeniem, butelkę wina, swoją dziewczynę, wezwał szofera i eskortę motocyklową i popędził w kierunku mostu na rzece. Jechał w mercedesie z odkrytym dachem. Gdy mijali dom dziewczyny, ta poprosiła, żeby ją tu zostawił. Schmidt rozkazał więc kierowcy się zatrzymać.

Mercedes nadjechał tak szybko, że żołnierze Sweeneya nie zdążyli otworzyć ognia, zanim wóz znalazł się na moście. Zaczęli strzelać do jadącego z tyłu motocykla; trafiony motocykl stoczył się na pobocze, a jadący nim Niemiec wpadł do rzeki. Znajdujący się na zachodnim brzegu Sweeney wypalił serię ze *Stena* do mknącego mercedesa. Podziurawiony wóz zjechał z szosy. Ludzie Sweeneya wywlekli z samochodu kierowcę i majora Schmidta, obydwu ciężko rannych. W aucie znaleźli wino, talerze z potrawami, szminkę, pończochy i damską

bieliznę. Sweeney rozkazał zanieść rannego Schmidta oraz szofera na noszach do punktu sanitarnego, do doktora Vaughana.

Schmidt, kiedy otrząsnął się z pierwszego szoku, zaczął krzyczeć w doskonałej angielszczyźnie, że dowodzi obroną mostu, że zawiódł swojego Fuhrera, stracił honor i żąda, by go zastrzelono. Co pewien czas też groził:

- Wy, Brytyjczycy, zostaniecie odrzuceni, już Fihrer się o to postara.

Zostaniecie zepchnięci do morza.

Vaughan zaaplikował mu zastrzyk z morfiny i przystąpił do opatrywania ran. Według relacji Vaughana morfina podziałała na Schmidta w ten sposób, że „spojrzał on na rzeczy rozsądniej i po dziesięciu minutach przekonywania mnie o próżności alianckich starań, by pokonać rasę panów, uspokoił się. Wkrótce zaczął mi wylewnie dziękować za udzieloną pomoc lekarską”. Howard skonfiskował Schmid-towi lornetkę.

Kierowca Schmidta, szesnastoletni Niemiec, stracił jedną z nóg, a Vaughan dokonał amputacji drugiej, która ledwo się trzymała. Po pół godzinie chłopak zmarł.

Do godziny 1.15 Howard ukończył przygotowania do obrony mostu na kanale. Na wschodnim brzegu zatrzymał przy sobie pluton Wooda oraz saperów. Tych ostatnich zorganizował w pluton, który trzymał w odwodzie w pobliżu swojego stanowiska dowodzenia. Na zachodnim brzegu pluton poległego Brotheridge'a obsadził kawiarnię i jej okolice, podczas gdy pluton Smitha zajął pozycje w pobliżu schronu po prawej.

Smith kierował teraz obydwojoma plutonami, jednak był coraz bardziej zamroczony z powodu utraty krwi i ostrego bólu w nodze, która zaczynała sztywnieć. Fox zajmował wysunięte stanowiska w pobliżu skrzyżowania w kształcie litery T, mając u boku Thorntona z jedynym sprawnym *Piatem*. Spadochroniarze z 7 batalionu byli już w drodze, ale pora ich przybycia - a także liczebność tego batalionu - pozostawały niejasne.

Howard wciąż słyszał niemieckie czołgi. Rozpaczliwie starał się nawiązać łączność radiową z Foxem. I wtedy spostrzegł czołg, który skręcał powoli w kierunku mostu, a lufa wielkiego działa zdawała się węszyć w powietrzu niby trąba jakiegoś prehistorycznego mamuta. „Zaraz potem zobaczyliśmy kilka czołgów sunących bardzo wolno, w 20-metrowych odstępach. Ich załogi wyraźnie nie wiedziały, czego się spodziewać po dotarciu do mostów”.

W owej chwili wszystko zawisło na włosku. Gdyby Niemcy odbili most na kanale, poszliby za ciosem i odrzucili też pluton Sweeneya z mostu na rzece. Tam mogli zająć pozycje obronne, które, wzmocnione przez czołgi, byłyby prawdopodobnie nie do zdobycia przez żołnierzy 6 Dywizji Powietrznodesantowej. W takim przypadku dywizja znalazłaby się w izolacji, bez broni przeciwpancernej do walki z czołgami von Lucka. Los ponad dziesięciu tysięcy żołnierzy 6 Dywizji zależał od wyniku zbliżającej się bitwy o most.

Obrona mostu przez Johna Howarda decydowała nie tylko o ocaleniu 6 Dywizji, ale i o losach całej inwazji. Sam von Luck stwierdził, że jeśliby mógł wykorzystać te mosty, to po sforsowaniu rzeki Orne rzuciłby późnym popołudniem 6 czerwca swój pułk do kontruderzenia na wojska inwazyjne. Atak przeprowadzony siłami 192 pułku niemieckiej 21 Dywizji Pancerniej dotarł niemal do plaż. Von Luck uważa, że gdyby i jego pułk wziął udział w tym kontrnatarciu, wówczas 21 Dywizja Pancerna z pewnością rozprawiłaby się z alianckim desantem na plażach Normandii. Dywizja pancerna, która wtargnę-

laby na plaży między schodzące na brzeg oddziały, wywołałyby chaos o trudnych do przewidzenia skutkach.

Batalia rozpoczęta o 1.30 w D-Day stanowiła swoisty test wartości bojowej oddziałów brytyjskich, a także niemieckich w czasie II wojny światowej. Każda ze stron miała swoje atuty i słabe strony. Przeciwnikami Howarda byli dowódcy niemieckich kompanii w Benouville i Le Port. Podobnie jak Howard, przygotowywali się na tę chwilę od dawna, od ponad roku. Niemiecka tradycja militarna przewidywała w podobnych okolicznościach przystąpienie do błyskawicznego kontrataku. Niemcy posiadali gotowe do takiej akcji plutony, wsparcie wozami opancerzonymi. Brakowało im jednak jasnego rozważenia w sytuacji, gdyż wciąż otrzymywali sprzeczne meldunki.

Owe sprzeczne, niejasne raporty były jedną z głównych słabości niemieckiej armii we Francji. Wielki problem stanowiła obecność przedstawicieli innych nacji, przymusowo wcielonych do Wehrmachtu.

Okopy Wału Atlantyckiego zapełniali rekruci ze wschodu Europy, których liczba wyglądała imponująco na papierze; w praktyce prezentowali minimalną wartość bojową.

Howard dowodził swoimi rodakami, żołnierzami wywodzącymi się z Wielkiej Brytanii, znakomicie przeszkolonymi ochotnikami. Pod tym względem znacznie przewyższali oni swoich przeciwników.

Niemcy mieli jednak ogromną przewagę siły ogniowej. Dysponowali sześcioma czołgami, Howard żadnym. Dysponowali dwoma tuzinami ciężarówek, na każdą z nich przypadał pluton; Howard sześcioma plutonami, pozbawionymi transportu kołowego. Nie mógł niczego przeciwstawić niemieckiej artylerii - baterii znakomitych dział kalibru 88

mm. Nie miał nawet granatów *Gammon*. Ręczne granaty odbijały się od pancerzy czołgów i wybuchały w powietrzu. *Breny* i *Steny* również były bezużyteczne przeciwko opancerzonym wozom bojowym. Jedyną bronią, którą Howard mógł użyć przeciwko czołgom, to *Piat* sierżanta Thorntona.

Sandy Smith wspomina „odgłosy przeklętych machin, poczucie przemożnego strachu, myśl: «Mój Boże, co, do licha, mam zrobić, kiedy te czołgi nadciągną?»". Billy Gray, który zajął stanowisko w opuszczonym przez Niemców okopie, przywołuje takie wspomnienie:

„Wtedy nadszedł drogą czołg. Wydawało się, że nie ma sposobu, by go zatrzymać. *Zbliżył się na odległość około 20 metrów, byliśmy na niewysokim pagórku, z którego można było ostrzeliwać szosę i wszystko, co się na niej ruszało*”.

Gray miał ochotę otworzyć ogień w kierunku czołgu. A jednak nie strzelił, nie chcąc ujawniać zajmowanych pozycji. Należało zwabić nieprzyjacielski czołg w miejsce, gdzie można go było unieszkodliwić.

Howard oczekiwał, że czołgi poprzędzi - zgodnie z zasadami taktyki -

patrol zwiadowczy piechoty, Niemcy jednak zlekceważyli ten wymóg i ich plutony posuwały się za dwoma czołgami. Tak więc wozy pancerne toczyły się bardzo powoli, a ich załogi nie miały pojęcia,

że już przekroczyli linię ostrzału.

Pierwsza aliancka kompania miała więc zetrzeć się z pierwszym niemieckim kontrnatarciem. Głównymi aktorami w tym pojedynku stali się Thornton oraz niemieccy pancerniacy. Ci ostatni nie dostrzegli Thorntona, który znajdował się w odległości niespełna 30 metrów od skrzyżowania dróg i, jak powiada, „nie wstydzę się przyznać, że trzęsłem się jak jakaś cholerna osika!”. Słyszał zbliżający się czołg i nacisnął

spust *Piata*.

"*Piat* to właściwie kupa złomu - mówi dzisiaj. - Trafił celnie na 45

metrów, nie dalej. Nie wolno było spudłować. Jeśli nie trafiłeś, to już po tobie, bo czas ponownego załadowania i wycelowania, co było cholernym zajęciem, był tak długi, że nie wchodziło to w rachubę. A więc miałem wbite w głowę, że nie mogę nie trafić".

Thornton zajął pozycję możliwie najbliżej skrzyżowania, ponieważ zamierzał strzelać z małej odległości. „No i już po trzech minutach wyłania się ta cholernie wielka machina. W ciemności bardziej ją słyszałem, niż widziałem. Gąsienice skrzypiały i grzechotały; okazało się, że to czołg średni *Pz IV* nadjeżdżający bardzo wolno. Załoga zatrzymała na chwilę czołg, by zorientować się, gdzie jest. Miałem ze sobą tylko dwa pociski. Mówiłem do siebie: «Nie możesz spudłować». I jakoś, chociaż cały się trzęsłem, wycelowałem i bum! - strzeliłem".

Czołg właśnie skręcił na skrzyżowaniu. „Trafiłem go w sam środek.

Upewniłem się, że mu dobrze przyłożyłem. Byłem tak podekscytowany i roztrzęsiony, że musiałem się wycofać".

Wtedy rozpętało się istne piekło. Pocisk z *Piata* przebił pancerz czołgu, powodując wewnątrz eksplozję amunicji do karabinu maszynowego, co z kolei doprowadziło do wybuchu amunicji czołgowej. Jak napisał Glen Gray w książce *The Warriors*, nocne pole bitwy stanowi czasem bardzo efektowne widowisko, gdy przemykają czerwone, zielone czy pomarańczowe pociski smugowe, następują eksplozje, a race rozświetlają niebo. Rzadko jednak żołnierzom zdarza się oglądać takie fajerwerki, do jakich doszło podczas D-Day na skrzyżowaniu w Benouville.

Huk został dosłyszany i błysk zauważony przez spadochroniarzy znajdujących się wiele kilometrów od mostu. W istocie naprowadził ich na właściwy kierunek.

Kiedy czołg eksplodował, Fox skrył się za murem. Wspomina: „Nie dało się ujść za daleko, bo wokół świstały pociski i odłamki, ale w końcu wszystko ucichło i, co niewiarygodne, usłyszeliśmy krzyk człowieka. Pocziwy Tom Klare nie mógł tego znieść, podbiegł do płonącego czołgu i przekonał się, że kierowca wydostał się na zewnątrz i był nadal przytomny; leżał obok palącego się wozu, ale stracił obie nogi. Kiedy uciekał z czołgu, urwało mu nogi na wysokości kolan, a Klare, dobry i bardzo silny gość - kiedyś w koszarach jednym ciosem złamał pewnemu żołnierzowi szczękę za to, że tamten grał mu na nerwach - no więc Tommy wziął tego biednego Niemca na plecy i zaniósł go

do punktu sanitarnego. Sądziłem, że to bez sensu, ale okazało się, że tamten wtedy jeszcze żył". Ranny niemiecki czołgista zmarł po paru godzinach. Okazało się, iż to dowódca 1 kompanii czołgów.

Fajerwerki trwały i trwały - uczestnicy tamtych wydarzeń twierdzą, że połączony z eksplozjami pożar trafionego czołgu wygasł dopiero po przeszło godzinie. Dowództwo niemieckiej kompanii odniosło wrażenie, że most został obsadzony przez bardzo silny brytyjski oddział. W istocie porucznik z drugiego czołgu wycofał się do Benouville, gdzie zameldował, że Brytyjczycy na moście mają sześciofuntowe działa przeciwpancerne. Niemieccy oficerowie postanowili zatem poczekać do świtu na wyjaśnienie sytuacji, zanim podejmą następny kontratak. Nocne starcie wygrali żołnierze Johna Howarda.

Przez całą noc na samym środku skrzyżowania kopcający się wrak niemieckiego czołgu blokował ruch drogowy między Benouville a Le Port i pomiędzy Caen a wybrzeżem. Sierżant Thornton zaliczył

najważniejsze trafienie w całym D-Day - droga ta miała dla Niemców kluczowe znaczenie. Sam Thornton niecierpliwie zbywał takie opinie. Kiedy skończyłem przeprowadzany z nim wywiad i wyłączy-

łem magnetofon, powiedział:

- Cokolwiek napisze pan w tej książce, proszę nie robić ze mnie bohatera.

Miałem ochotę odrzec: - Sierzancie Thornton, ja nie *robię* bohaterów. Ja tylko o nich piszę.

W chwili trafienia niemieckiego czołgu, czyli około 1.30, żołnierze 5 Brygady Spadochronowej Poetta, głównie 7 batalionu Pine'a Coffina, na czele którego szła kompania Nigela Taylora, spieszyli w kierunku mostu - mniej niż jedna trzecia sił brygady. Spadochroniarze wiedzieli, że są spóźnieni, a eksplozje w czołgu wzięli za odgłosy szturm na pododdział Howarda. Jednakże -jak mówi Taylor - „bardzo trudno zwiększyć tempo marszu w ciemnościach, dźwigając ciężary na nierównym terenie”.

Po dotarciu do szosy wiodącej do mostów natknęli się na brygadiera Poetta, który wracał do swojego stanowiska dowodzenia w Ranville.

- Jazda, Nigel - Poett krzyknął swoim wysokim głosem do Taylo ra - tempo, podwoić tempo!

Taylor uznał ten rozkaz za niewykonalny, niemniej jego żołnierze przeszli w niezgrabny trucht.

W tej grupie znajdował się Richard Todd. Przypomina sobie oficera służb medycznych, który go dogonił, schwycił za ramię i zapytał: „Czy mogę iść z panem? Widzi pan, nie przywykłem do podobnych rzeczy .

Todd powiada, że lekarz ów „był dosyć przerażony, bo minęliśmy Niemca z odstrzeloną głową, który mimo to nadal machał rękami i nogami i wydawał dziwne odgłosy. Pomyślałem, że taki widok może być trochę za mocny nawet dla lekarza”.

Todd pamięta, że pokonując biegiem odcinek między mostami na rzece i kanale, myślał: „«Idziemy wprost do boju», gdyż wokoło rozlegały się eksplozje, a pociski smugowe przelatywały we

wszystkich kierunkach.

Wyglądało na to, że trwa zacięta walka". Major Taylor myślał zaś: „O Boże, będę zmuszony wprowadzić swoją kompanię biegiem do bitwy".

Kiedy 7 batalion znalazł się na moście, Howard zdał dowódcom jednostki krótki raport sytuacyjny. Następnie spadochroniarze przeszli na zachodni brzeg, gdzie kompania Nigela Taylora skierowała się na lewo, ku Benouville, a pozostałe kompanie poszły w prawo, w stronę Le Port.

Pododdział Richarda Todda zajął w Le Port pozycję na pagórku tuż za kościółkiem, podczas gdy Taylor poprowadził swą kompanię na przygotowane wcześniej stanowiska w Benouville. Taylor wspomina, że jeśli nie liczyć wybuchów we wraku zniszczonego niemieckiego czołgu, przez godzinę „panowała zupełna, martwa cisza". Niemcy się przyczaili, by poczekać na rezultat „bitwy" na skrzyżowaniu dróg.

W pewnej chwili rozległ się warkot niemieckiego motocykla. Mo-tocyklista wyłonił się zza rogu, pędząc ku rozjazdowi. Żołnierze Taylora znajdowali się po obu stronach szosy; „szkolono ich od Bóg wie ilu lat do zabijania Niemców, a to był pierwszy, którego zobaczyli". Wszyscy otworzyli ogień, motocyklistę trafiło jednocześnie co najmniej kilka kul.

Jego ciężki bmw z dwucylindrowym silnikiem wyskoczył w powietrze i spadł na nieszczęśnika. Pracująca na pełnych obrotach maszyna „wyła piekielnie, a za każdym razem, kiedy uderzała o podłoże, podskakiwała i wierzgała". Wpadła też na jednego z ludzi Taylora, który później zmarł w wyniku odniesionych obrażeń. Aż wreszcie ktoś uciszył motor, strzelając do niego. Było to około godziny 2.30.

O 3.00 Howard odebrał przez radio meldunek od Sweeneya, który informował, że Pine Coffin wraz ze sztabem swojego batalionu przeszedł

przez most na rzece i zmierza w stronę kanału. Howard niezwłocznie wyruszył na spotkanie i natknął się na Coffina w połowie drogi między obydwoma mostami. Razem doszli do kanału, a tymczasem Howard opowiedział Coffinowi, co się wydarzyło. Kiedy więc Pine Coffin dotarł do mostu nad kanałem, orientował się już, jaka jest sytuacja.

Po przejściu przez most zobaczył sierżanta Thorntona. Pułkownik skinął głową w kierunku palącego się czołgu i zapytał:

- Co tam się dzieje, do ciężkiej cholery?

- To tylko wybuchy w przeklętym czołgu - odparł Thornton - ale robią straszny hałas.

Pine Coffin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- No właśnie.

Potem skierował kroki w lewo i zorganizował swoje stanowisko dowodzenia na nasypie nad kanałem, na samym skraju Benouville, w pobliżu kościoła.

Sierżant Boland po rozładowaniu *Horsy* nr 2, której był pilotem, postanowił rozejrzeć się po okolicy. Skierował się na południe, trzymając się ścieżki flisackiej, i dotarł aż na przedmieścia Caen. Tym samym dokonał być może najgłębszego zwiadu podczas D-Day, choć, jak sam mówi, tu i ówdzie lądowali na spadochronach skoczkiem i niewykluczone, że któryś z nich znalazł się w samym Caen. W każdym razie, miały upłynąć długie tygodnie, zanim brytyjskie i kanadyjskie wojska ostatecznie zdobyły to miasto.

Boland relacjonuje: „Stwierdziłem, że lepiej zawrócić, ponieważ robiło się diabło niebezpiecznie, przy czym nie tyle zagrażali Niemcy, co cholerni spadochroniarze, którzy trochę za szybko naciskali spust broni.

Lądowali wszędzie w okolicy, na drzewach i Bóg wie gdzie jeszcze i byli skłonni otwierać ogień do każdego, kto szedł w ich kierunku". Po podaniu hasła rozpoznawczego Boland odprowadził grupę spadochroniarzy w stronę mostu.

Tam zobaczył siedzącego na nadbrzeżu Wallworka.

- Jak się miewasz, Jim? - zapytał.

Wallwork spojrzął za Bolanda, dostrzegł spadochroniarzy i wybuchnął:

- Gdzieś się podziewał? Wszyscy myśleli, że dostałeś czterdzie-stoośmiogodzinną przepustkę. Ta cholerna wojna jeszcze się nie skończyła!

„Spadochroniarze sądzili, że przychodzą nam z pomocą - skomentował Boland. - A naszym zdaniem to my ich ratowaliśmy z ta-rapatów”.

Przybycie 7 batalionu uwolniło kompanię D od patrolowania zachodniego brzegu i umożliwiło Howardowi ściągnięcie swoich żołnierzy na obszar pomiędzy mostami, gdzie mieli odtąd stanowić taktyczny odwód.

Wally Parr od razu zainteresował się niemieckim stanowiskiem na działo przeciwpancerne, nie obsadzonym w chwili zjawienia się Brytyjczyków. Odkrył pod nim labirynt tuneli, w który wszedł z jednym z szeregowych, oświetlając drogę latarką. Zobaczyli schrony pełniące funkcję sypialni. W pierwszych dwóch nikogo nie znaleźli. W trzecim natknęli się na człowieka, który leżał na pościeli, przykryty kocem, i cały się trząsał. „Był to młody żołnierz, leżał w pełnym umundurowaniu i drżał

od stóp do czubka głowy". Parr postraszył go bagnietem, wyprowadził na powierzchnię i umieścił w prowizorycznym obozowisku dla jeńców.

Potem wrócił do jamy na działo, gdzie dołączyli do niego Billy Gray, Charlie Gardner i Jack Bailey.

Po drugiej stronie szosy sierżant Thornton przekonał porucznika Foxa, że w okopach nadal są śpiący Niemcy. Wyruszyli więc razem, wyposażeni w latarki. Thornton zaprowadził Foxa do podziemnego schronu, otworzył

drzwi i oświetlił latarką trzech chrapiących Niemców. Ich karabiny stały równo w kącie. Fox

potrząsnął śpiącym na górnej pryczy. Gdy ten nie przestawał chrapać, zerwał z niego koc, poświecił latarką prosto w twarz i kazał mu wstawać.

Niemiec spojrzał nieprzytomnym wzrokiem na Foxa. Ujrzał młodego człowieka w dziwnym mundurze, z poczernioną twarzą, który mierzył doń z niedużego *peemu*. I uznał, że to jeden z jego kumpli się naigrywa. Kazał

się więc Foxowi „odpieprzyć”; ton jego głosu i mimika nie pozostawiały co do tego żadnych wątpliwości. A potem obrócił się na drugi bok.

„To mnie zupełnie podłamało - przyznaje Fox. - Oto ja, młody oficer, po raz pierwszy w akcji i pierwszy Niemiec, którego zobaczyłem z bliska. Wydaję mu polecenie i dostaję tak lekceważącą odpowiedź”.

Tymczasem Thornton zaśmiewał się z tego zajścia do łez. Fox spojrzał na niego.

- Do diabła z tym - powiedział do swojego sierżanta - ty się nim zajmij.

Wkrótce Thornton wyprowadził jeńca, który mówił trochę po angielsku. Sierżant zaproponował, aby Fox go przesłuchał. Kiedy Fox zapytał Niemca o jego jednostkę, miejsce pobytu, Niemiec puścił te pytania mimo uszu i sam pytał:

- Kim jesteście? Skąd się wzięliście? Co się dzieje?.

Fox usiłował mu wytłumaczyć, że jest brytyjskim oficerem, który właśnie wziął go do niewoli. Niemiec nie mógł w to uwierzyć.

- Och, daj spokój, nie mówisz poważnie, to niemożliwe, jak tu do tarliście? Nie słyszeliśmy waszego lądowania. Skąd się tutaj w ogóle wzięliście?.

Biedny Fox nagle zdał sobie sprawę, że to on sam jest przesłuchi-wany i polecił kontynuować procedurę Thorntonowi - wcześniej jednak miał jeszcze okazję zobaczyć pokazane mu przez jeńca rodzinne zdjęcia.

Von Luck kipiał z wściekłości. Półtorej godziny po północy dostał

pierwszy meldunek o brytyjskich spadochroniarzach na jego odcinku.

Niezwłocznie zarządził w swoim pułku alarm. Liczył na to, że w terenie dowódcy podlegających mu kompanii przystąpią na własną rękę do kontruderzenia na uchwycone przez Brytyjczyków pozycje i rozkazał skoncentrować większość sił pułku na północny wschód od Caen. Koncentracja przebiegła gładko i już o 3.00 von Luck dysponował imponującymi siłami, mając pod ręką swoich żołnierzy i wozy pancerne. Oficerowie i szeregowi stali gotowi do akcji przy czołgach, opancerzonych wozach bojowych i innych pojazdach z uruchomio-nymi silnikami.

A jednak, mimo że von Luck przygotowywał się na taką chwilę i wiedział, gdzie powinien uderzyć, jakimi siłami, którymi drogami wyruszyć, z jakich objazdów korzystać, nie mógł wydać rozkazu do

wymarszu. Niemiecka struktura dowodzenia była bowiem beznadziejnie zagmatwana - z powodu rywalizacji i tarć w naczelnym dowództwie sił zbrojnych, konfliktów pomiędzy Rommlem a Rundstedtem, pogardy i nieufności, żywionych przez Hitlera do swoich generałów.

Wykorzystanie dywizji pancernych pozostawało w osobistej gestii Hitlera.

Nie można ich było rzucić do kontrnatarcia, dopóki Fuhrer nie nabrał

przekonania, że alianci dokonali prawdziwej, a nie pozorowanej inwazji.

Tymczasem jednak Hitler spał, nikt nie śmiał go budzić, a poza tym do Naczelnego Dowództwa Sił Zbrojnych napływały niejasne i sprzeczne meldunki, które nie wskazywały, że chodzi o inwazję na wielką skalę. Nocny desant spadochronowy mógł być tylko akcją dywersyjną. Tak więc von Luck nadal nie dostawał rozkazu przejścia do kontruderzenia.

„Miałem zamiar - wspomina von Luck - po zebraniu pełniejszych informacji o desancie spadochronowym i szybowcowym, przystąpić do nocnego kontrataku o trzeciej lub czwartej nad ranem, zanim Brytyjczycy zdołaliby zorganizować obronę, zanim nadleciałyby ich samoloty i zanim znaleźlibyśmy się w zasięgu artylerii okrętowej brytyjskiej marynarki wojennej. Dobrze znaliśmy teren i sądzę, że zdołalibyśmy odbić te mosty”.

Wskazując na mapę, mówi - „Myślę, że mogliśmy przebić się gdzieś tutaj, a nawet nieco dalej na północ i odciąć grupę majora Howarda od głównych sił desantu”. A wtedy - zdaniem von Lucka - „cała sytuacja na wschód od tych mostów zupełnie by się zmieniła. Spadochroniarze znaleźliby się w okrążeniu, a mój pułk połączyłby się z drugą połową 21 Dywizji Pancerniej”.

Jednakże nie mógł działać na własną rękę, więc tkwił w miejscu. Mimo że był wysokim oficerem armii, która chlubiła się zdolnością do szybkiego kontrnatarcia; dowódcą w jednej z tych dywizji, na które Rommel liczył

najbardziej w razie alianckiej inwazji, wreszcie dysponującym wytyczonymi marszrutami przeciwuderzenia. Tkwił w miejscu, unieruchomiony wskutek biurokratycznych zasad ustanowionych przez przywódcę Trzeciej Rzeszy.

Gondree'owie również nie mogli się ruszyć ze swojej kawiarenki. Ukryli się w piwnicy. Theresa, drżąc z zimna w nocnej koszuli, nakłaniała Georges'a, aby poszedł na parter zbadać sytuację. „Nie jestem zbyt odważny - przyznał potem Georges - i nie chciałem zostać zastrzelony, więc wyczołgałem się na czworakach po schodach do okna na piętrze.

Stamtąd usłyszałem, że na zewnątrz ktoś rozmawia. Nic nie mogłem zrozumieć, uchyliłem okno i ostrożnie wyjrzałem.

Zobaczyłem przed kawiarnią dwóch żołnierzy siedzących w pobliżu pompy paliwowej oraz leżące pomiędzy nimi zwłoki”. Jeden ze spadochroniarzy dostrzegł Georges'a.

- *Vous civile?* - parę razy zapytał żołnierz.

Georges próbował go przekonać, że w istocie jest cywilem, lecz tamten nie mówił po francusku. Nie wiedząc dokładnie, co się dzieje, nie chciał

ujawniać, iż rozumie angielski. Usiłował coś powiedzieć łamanym niemieckim, ale nic nie wskórał, więc wrócił do piwnicy, gdzie czekał na dalszy rozwój wypadków.

Do godziny 5.00 rano kolano Sandy'ego Smitha zeszywniało do tego stopnia, że mógł poruszać się z wielkim trudem. Jego ręka dramatycznie spuchła, a dłoń przeszywał pulsujący ból. Powiedział Howardowi, że powinien pójść do doktora Vaughana opatrzyć rany.

- Czy to konieczne? - zapytał Howard z rozpaczą w głosie.

Smith obiecał, że za chwilę wróci. Kiedy dotarł do punktu medycznego, Vaughan chciał mu podać morfinę w zastrzyku. Kiedy Smith się nie zgodził, Vaughan stwierdził, że i tak nie może on w tym stanie powrócić na pierwszą linię, gdyż będzie bardziej zawadzał, niż pomagał. Wówczas Smith uległ i dostał morfinę.

Howard tuż przed świtem zwołał w swoim punkcie dowodzenia naradę dowódców plutonów i wtedy dotarło doń, jak ciężkie straty poniosła kompania, zwłaszcza jeśli chodzi o oficerów. Plutonem nr 1

Brotheridge'a dowodził teraz kapral Kane; sam porucznik poległ, a zastępujący go sierżant był ranny. Plutonami nr 2 i 3, czyli pododdziałami Wooda i Smitha, również kierowali kaprale. Nie było wieści o losie zastępcy Howarda, Briana Pridaya, oraz dowódcy plutonu nr 4, Tony'ego Hoopera. Tylko plutony nr 5 (Foxy) i nr 6 (Sweeneya) nie straciły swoich oficerów. Łączne straty wynosiły dwunastu ludzi, w tym dwóch zabitych.

Howard nie wezwał do siebie dowódców plutonów po to, by po-gratulować im dotychczasowych osiągnięć, lecz aby przygotować ich do dalszej walki w najbliższych godzinach. Omówił z podwładnymi, z których kierunków nieprzyjaciel mógł wyprowadzić prawdopodobne kontrnatarcie oraz metody stawienia skutecznego oporu w razie, jeśliby Niemcy przełamali linie defensywne 7 batalionu. Rozkazał utrzymać wszystkich pod bronią aż do brzasku. O świcie połowa żołnierzy mogła się trochę przespać.

Kiedy niebo zaczęło się rozjaśniać, kompania D nadal zajmowała teren między dwoma mostami. Wypełniła pierwszą część powierzonych jej misji.

O godzinie 3.00 von Luck rozkazał 8 batalionowi grenadierów pancernych, czyli jednemu ze swoich wysuniętych pododdziałów znajdującemu się na północ od Caen i na zachód od Orne, wyruszyć do Benouville i odzyskać tamtejszy most. Jednakże, zgodnie ze świadectwem porucznika Wernera Kortenhaus, 8 batalion grenadierów był „pancerny”

tylko z nazwy. Dysponował wyłącznie bronią automatyczną, lekkimi działkami przeciwlotniczymi i granatnikami. Opancerzonych wozów bojowych nie było. Mimo to niemieccy grenadierzy zaatakowali, zadając straty kompanii majora Taylora i spychając ją z pozycji na skraju Benouville. Następnie Niemcy się okopali „i oczekiwali na przybycie czołgów z 21 Dywizji Pancernej”.

Porucznik Kortenhaus stał wtedy obok swojego czołgu z uruchomionym silnikiem i dobrze przypomina sobie, co myślał tamtej nocy:

„Dlaczego nie nadchodzi rozkaz wymarszu? Gdybyśmy zaraz wyruszyli, posuwalibyśmy się pod osłoną ciemności”. Ale Hitler nadal spał i rozkaz nie nadszedł.

Od godziny 6.00 do 12.00

Georges Gondree, siedząc w swojej piwnicy, z radością powitał „cudowny świt nad okolicą”. Przez otwór w piwnicznym murze widział przesuwające się postacie. „Nie słyszałem gardłowych rozkazów, które zawsze kojarzyłem z Niemcami nadzorującymi grupy robotników”, napisał później Gondree.

Poprosił Theresę, żeby nadstawiła ucha, podsłuchiwała żołnierzy i stwierdziła, czy rozmawiają po niemiecku, czy też nie. Theresa uznała, że nie rozumie ani słowa. Potem znowu zaczął nasłuchiwać Georges „i moje serce zaczęło bić szybciej, gdyż wydało mi się, że wyłowilem zwrot *all right* [w porządku]”.

Żołnierze z 7 batalionu zapukali do drzwi kawiarni. Gondree postanowił wyjść na górę i otworzyć je, zanim żołnierze rozbiją. Powitał

dwóch osobników w bojowych kurtkach, z dymiącymi *Stenami* i po-czernionymi węglem twarzami. Zapytali go po francusku, czy w domu znajdują się jacyś Niemcy. Odpowiedział, że nie, wprowadził żołnierzy do baru, a stamtąd, przełamując ich wahania uśmiechem i przyjaznymi gestami, do piwnicy. Tam wskazał na żonę i dzieci.

„Przez chwilę panowało milczenie. Potem jeden z żołnierzy zwrócił się do drugiego i powiedział: «W porządku, kolego». Nareszcie się przekonałem, że to Anglicy i rozplakałem się z radości”. Theresa zaczęła ścisnąć spadochroniarzy, śmiejąc się i płacząc równocześnie. Ponieważ wyczuwała potem i innych przybyszów, do południa jej twarz zrobiła się czarna. Howard wspominał, iż „chodziła tak potem przez dwa czy trzy dni, nie chcąc tego zmyć i mówiąc wszystkim, że to od brytyjskich żołnierzy, z czego jest bardzo dumna”.

Czterdzieści lat później pani Gondree pozostawała nadal zaprzy-sięgłą wielbicielką brytyjskiej 6 Dywizji Powietrznodesantowej. Każ-

dy z żołnierzy, który trafił do jej kawiarni podczas D-Day, nie musiał

płacić za drinka, a wielu uczestników walk często powracało w to miejsce. Gondree'owie byli pierwszą rodziną oswobodzoną we Francji i odtąd szczerze okazywali za to wdzięczność swoim wyzwolicielom.

Serwowanie darmowych drinków dla chłopców z brytyjskich wojsk powietrznodesantowych rozpoczęło się od razu. Georges wybrał się do ogrodu i wykopał osiemdziesiąt dziewięć butelek szampana, które ukrył tam w czerwcu 1940 roku, tuż przed wkroczeniem Niemców.

Howard, który znajdował się akurat na skraju mostu blisko kawiarni i naradzał się z Pinem Coffinem, tak opisuje tę scenę: „Wystrzeliło mnóstwo korków szampana, ich huk było słychać po drugiej stronie kanału”. Tymczasem kawiarenka przeobraziła się w batalionowy połowy lazaret. Howard opowiada: „Kiedy wróciłem, słyszałem od każde-go, że musi się pilnie stawić na punkcie medycznym. Cóż, przerwaliśmy tę komedię, rzecz jasna”. Lecz dodaje zaraz: „No, sam nie wróciłem, zanim nie spróbowałem tego wspaniałego szampana”. Z pewnym za-kłopotaniem wyjaśnia: „Naprawdę było co

uczcić".

Wkrótce po brzasku rozpoczął się desant z morza. U wybrzeży Normandii znalazła się największa armada w dziejach, złożona z prawie sześciu tysięcy wszelkiego typu okrętów, statków i barek. Kiedy ciężka artyleria pancerników zaczęła ostrzeliwać plażę, jednostki desantowe zbliżały się do brzegu, przewożąc pierwszy rzut ze stu dwudziestoma siedmioma tysiącami żołnierzy, którzy mieli tego dnia wylądować na kontynencie. Osłonę lotniczą zapewniała gigantyczna flota powietrzna - niemal pięć tysięcy samolotów. Był to imponujący pokaz potęgi amerykańskiego, brytyjskiego i kanadyjskiego przemysłu wojennego; pokaz, który zapewne nigdy już się nie powtórzy. (Dziesięć lat póź-

niej Eisenhower, już jako prezydent Stanów Zjednoczonych, stwierdził, że następna operacja na skalę „Overlord” jest już niemożliwa, gdyż takie skupienie wojsk na bardzo wąskim froncie jest stanowczo zbyt ryzykowne w epoce nuklearnej -jedna lub dwie bomby atomowe unicestwiłyby cały desant).

Desant przeprowadzono na około 100-kilometrowym froncie, od plaży Sword na lewym skrzydle do plaży Utah na prawym. Na plaży Utah lądowanie odbywało w zasadzie bez przeszkód, za to na Omaha Niemcy stawili zaciętą obronę, niemal spychając do morza oddziały inwazyjne. Na plażach, gdzie lądowali Brytyjczycy i Kanadyjczycy, niemiecka defensywa okazała się silna, choć możliwa do przełamania, jednakże wyjątkowy przypływ ograniczył strefę desantu do wą-

skich odcinków, ostrzeliwanych przez obrońców z artylerii i broni ręcznej. Siły inwazyjne przełamały jednak pierwszą linię oporu - po-za plażą Omaha - i umocniły się na przyczółkach. Na lewej flance, najbliższej strefy działania Howarda z kompanią D, rozgorzała zacięta batalia o Ouistreham. Alianckie natarcie w kierunku Caen zostało opóźnione.

Oto jak Howard opisuje przebieg inwazji z perspektywy kompanii D:

„Przygotowanie artyleryjskie było wyjątkowo intensywne. Czuliśmy jak od wybrzeża drży ziemia, rozpętało się tam piekło. Wkrótce ka-nonada zaczęła się przybliżać. Wyraźnie przenieśli ostrzał dalej w głąb lądu, gdy zbliżały się do brzegu nasze barki i okręty i można było bez trudu się domyślić, co się dzieje. Trzymaliśmy kciuki za tych biednych drani lądujących z morza. Cieszyłem się, że znalazłem się tam, gdzie byłem, a nie wśród chłopaków z desantu morskiego”.

Wkrótce jednak to współczucie dla kolegów lądujących z morza ustąpiło. Kiedy wzeszło słońce, bardzo się wzmożła aktywność nieprzyjacielskich strzelców wyborowych i dość swobodne wcześniej po-ruszenie się po moście stało się wysoce niebezpieczne. Niemcy strzelali głównie z zachodniego brzegu, od strony Caen, gdzie znajdował się gęsto zadrzewiony teren oraz dwa górujące nad okolicą budynki - za-meczek, w którym mieścił się szpital położniczy, oraz wieża ciśnień.

Żołnierze kompanii D nie byli w stanie precyzyjnie określić, skąd strzelają niemieccy snajperzy, którzy trzymali w szachu most i zaczęli ostrzeliwać punkt pomocy medycznej w jednym z okopów, gdzie Vaughan i sanitariusze z opaskami Czerwonego Krzyża na ramio-nach zajmowali się rannymi.

David Wood, który leżał na noszach z trzema kulami w nodze, wspomina, że pierwszy ze snajperskich pocisków uderzył w ziemię

„bardzo blisko mnie i myślałem, że za chwilę sam oberwę. Następny pocisk zarył w grunt tuż koło mojej głowy. Spojrzałem w górę i dostrzegłem, że sanitariusz wyciąga pistolet, żeby chronić swojego pacjenta, czyli mnie. Jego broń jednak przypadkowo wypaliła i omal mnie nie wykończył”.

Inny z sanitariuszy bandażował nadgarstek Smithowi, który wspomina:

„Siedziałem w rowie, z którego wystawała mi głowa, a on obwiązywał mi rękę. Po chwili podniósł się i jeden ze strzelców wyborowych trafił go prosto w pierś. Raniony sanitariusz dosłownie przeleciał przez drogę i wylądował na plecach, krzycząc: «Zabierzcie moje granaty, zabierzcie moje granaty». Bał się, że oberwie znowu, a miał granaty w chlebaka”.

Ktoś odebrał granaty, ranny przeżył, ale Smith pamięta ten incydent jako

„najbardziej dramatyczny w życiu. Pomyślałem, że następna kula będzie dla mnie. Czułem się strasznie”. Vau-ghan, pochylony nad jednym z pacjentów, spojrzał w kierunku, skąd padały strzały, pogroził pięścią i zawołał: „To nie krykiet”.

Nieco później tego ranka Wood i Smith zostali ewakuowani do pułkowego punktu medycznego w Ranville, gdzie Niemcy ponownie ich ostrzelali, więc rannych musiano zabrać w jeszcze inne miejsce.

Parr, Gardner, Gray i Bailey znajdowali się na stanowisku artyleryjskim, usiłując wykombinować, jak działa zdobycza armata przeciwpancerna. Howard przeszkolił ich w Anglii w posługiwaniu się niemiecką bronią ręczną, moździerzami, karabinami maszynowymi i granatami, ale nie pomyślał o działach. „Zaczęliśmy dochodzić po nitce do kłębka - wspomina Parr - i otworzyliśmy zamek. Cała amunicja była na dole, więc przynieśliśmy jeden nabój, załadowaliśmy, zaryglowaliśmy zamek i pozostawało tylko pytanie, jak z tego strzelać. Znaleźliśmy teleskopowy celownik z podziałką, przez który widać było różne punkty nad kanałem, jeden przy drugim”.

Stanowisko było zamaskowane, dzięki czemu niemieccy snajperzy nie strzelali do znajdujących się tam czterech brytyjskich żołnierzy. A ci nadal próbowali zlokalizować mechanizm ogniowy. Parr opowiada: „Charlie Gardner zapytał: «A co to takiego?» i nacisnął wskazany guzik. Rozległ

się potworny huk, pocisk poleciał ze świstem gdzieś w kierunku Caen, a płyta osłonowa odskoczyła w tył, więc gdybyśmy stali bliżej, połamałaby nam żebra. No i tak nauczyliśmy się strzelać z tej armaty”.

Po chwili Parr wesoło dodaje: „Miałem świetny ubaw, waląc z tego działa”. On sam oraz jego koledzy byli pewni, że strzelcy wyborowi kryją się na dachu pobliskiego *chateau*. Parr zaczął więc strzelać w najwyższe piętro owego budynku, wybijając w nim dziury. Ostrzał snajperski jednak nie osłabł i miejsce, z którego niemieccy strzelcy wyborowi prowadzili ogień, do dziś pozostaje nieznane.

Parr strzelał nadal. Jackowi Baileyowi znudziła się ta zabawa i zszedł do podziemnego pomieszczenia, by zaparzyć sobie poranną herbatę. Po każdym wystrzale z działa, komora wypełniała się pyłem i dymem, a ze stropu sypał się piach.

Bailey zawołał:

- Wally, nie strzelaj teraz, daj mi ze trzy minuty.

Bailey wziął kocher, rozpałił pod nim ogień i już się radował na myśl o wybornym smaku herbaty, gdy nagle rozległo się kolejne „bum!”. To Wally Parr wystrzelił ponownie. Pył, sadza i piasek wsypały się do blaszanego kubka z herbatą, a kocher Bailey'a diabli wzięli.

Bailey, przekonany, że Wally naumyślnie zrobił mu na złość, wydostał się na zewnątrz, wyglądając - według Parra - „jak jakiś cholerny wariat”.

Zagroził, że zaraz rozerwie Parra na strzępy, ale ponieważ był w gruncie rzeczy poczciwcem, a Parr schował się za armatą, wypowiedziana przez

„poszkodowanego” groźba nie doczekała się nigdy urzeczywistnienia.

Howard, zgięty w pół, przebiegł przez szosę, aby się przekonać, co wyprawia Parr. Kiedy zobaczył, że jego żołnierz strzela do zameczku, zmroziło mu krew w żyłach. Rozkazał Parrowi natychmiast przerwać ogień, a potem wyjaśnił mu, iż w zamku mieści się szpital położniczy. „Tak więc -

konstatuje dzisiaj Parr ze smutkiem - był to pierwszy i jedyny raz, kiedy ostrzeliwałem kobiety w ciąży i noworodki *.

Howard nie zdołał przekonać Parra, że Niemcy nie ulokowali swoich strzelców wyborowych na zamkowym dachu. Kiedy major powrócił na stanowisko dowodzenia, zawołał:

* Po wojnie Parr przeczytał w jednym z czasopism artykuł o niemieckich zbrodniach w okupowanej Europie. I natknął się w nim na jaskrawy przykład niemieckiego bestialstwa: według autora tegoż artykułu Niemcy, przed wycofaniem się z Benouville, postanowili dać tamtejszym mieszkańcom nauczkę i z zimną krwią ostrzelali szpital położniczy i zabytkowy zamek!

- A teraz, Parr, siedź, do jasnej cholery, cicho. Po prostu siedź cicho!

- Tak jest, panie majorze.

- Strzelaj tylko wtedy, gdy to konieczne i nie do wymyślonych snajperów.

- Rozkaz!

Niebawem Parr zaczął strzelać w stronę drzew. Howard wrzasnął:

- Chryste panie, Parr, ucisz się, do cholery! Zostaw w spokoju tę przeklętą armatę! Nie mogę przez nią myśleć.

Parr pomyślał sobie wtedy: „Nikt mi nie mówił, że na wojnie ma być cicho”. Usłuchał jednak polecenia i zaczął wraz z kolegami oczyszczać zdobyte stanowisko artyleryjskie z łusek po wystrzelonych pociskach. Nagle uzmysłowili sobie, że gdyby ktoś upuścił przypadkowo niesiony

nabój, a ten spadłby czubkiem w dół do pomieszczenia będącego składem amunicji, wówczas wylecieliby wraz z działem i całym mostem wysoko w powietrze.

O 7.00 rano brytyjska 3 Dywizja lądowała na plaży Sword, a pociski artylerii okrętowej zaczęły spadać na Caen, przelatując nad pozycjami kompanii D. „Grzmiały jak działa wielkich kalibrów - mówi Howard - a my, szara piechota, nie poznaliśmy wcześniej siły okrętowego ognia.

Ogromne pociski szybowwały nad nami i człowiek automatycznie się kulił, nawet w schronie. Mój radiooperator, kapral Tappenden, stał koło mnie, bardzo poruszony tym wszystkim, i w końcu powiedział, «Niech mnie licho, panie majorze, oni chyba wystrzelują ciężarówkę»".

Żołnierze z plutonu Sandy'ego Smitha przyprowadzili dwóch jeńców, opisanych przez Howarda jako „wynędzniałych, w cywilnych cienkich ubraniach, bardzo głodnych". Byli to Włosi, robotnicy przymusowi z Organizacji Todta. W wyniku długiej „rozmowy" na migi okazało się, że zostali przydzieleni do ustawiania słupów antyszybo-wcowych. Zgarnięto ich właśnie wtedy, gdy pojawili się w strefie lądowania zespołu Wallworka, aby wykonać tę pracę. Howardowi wydali się zupełnie niegroźni. Dał im trochę sucharów ze swojej dwudobowej racji żywnościowej, a potem kazał

Smithowi puścić ich wolno. Zgodnie z relacją Howarda, Włosi „natychmiast ruszyli ku lądowisku, gdzie przystąpili do ustawiania słupów. Można sobie wyobrazić ogólne rozbawienie na widok tych biednych durniów osadzających w dołach słupy".

Małe dochodzenie wykazało, że Włosi dostali od kierownictwa Organizacji Todta surowe polecenie wbicia tych pali w ziemię do czasu zapadnięcia zmroku 6 czerwca. Robotnicy byli pewni, że Niemcy powrócą i sprawdzą postępy robót, a jeśli się przekonają, iż praca nie została wykonana, „daliby im nieźle popalić, więc lepiej z tym nie zwlekać. Tak więc, przy akompaniamencie naszego śmiechu, zabrali się do wbijania słupów".

Około 8.00 przeleciały na znacznej wysokości - ponad 2000 metrów -

Spitfire 'y. Howard polecił położyć na ziemi umówiony znak będący sygnałem „panujemy nad sytuacją i wszystko w porządku". Trzy z myśliwców - które podobnie jak wszystkie inne alianckie samoloty i szybowce uczestniczące w inwazji miały wymalowane na skrzydłach po trzy białe pasy - zeszły na 300 metrów, okrążyły most i wykonywały nad nim triumfalne akrobacje.

Odlatując, jeden z myśliwców zrzucił pewien przedmiot. Howard sądził, iż pilot pozbył się opróżnionego zbiornika na paliwo, mimo to wysłał patrol, który miał sprawdzić, co to takiego. Patrol powrócił „i ku naszemu wielkiemu zaskoczeniu i rozbawieniu, przyniósł poranne wydania londyńskich gazet. Żołnierze rzucili się na nie, zwłaszcza na

„Daily Mirror", w którym drukowano komiks w odcinkach pod tytułem *Jane* i wszyscy wrywali sobie z rąk strony z rysunkami. Raz czy dwa usłyszałem narzekanie, że nie ma ani słowa o inwazji czy też kompanii D".

Przez cały poranek na terenie zajęтым przez kompanię D żołnierze poruszali się biegiem. Po pewnym czasie, wkrótce po 9.00, Howard ku swojej radości zobaczył „trzy wysokie postacie idące drogą.

Obszar pomiędzy mostami był względnie chroniony przed kulami snajperów, ponieważ wzdłuż wschodniego brzegu kanału rosły drzewa. Trzy postacie szybko się zbliżyły; okazało się, że to generał Gale, mający ponad 190 cm wzrostu, w otoczeniu dwóch równie rosnących brygadierów - z jednej strony Kindersleya, dowódcy naszej 6 Brygady Powietrznodesantowej, i Nigela Poetta, dowódcy 5 Brygady Spadochronowej, z drugiej. Był to naprawdę wspaniały widok, gdyż prezentowali się świetnie, w beretach i mundurach polowych, maszerując równym krokiem. Moi chłopcy dostali wiatru w żagle, kiedy ich zobaczyli". Richard Todd dodaje, że „czysta brawura i odwaga przybyłych sprawiła, iż był to jeden z najbardziej pamiętnych dla mnie widoków”.

Gale dotarł w rejon desantu na pokładzie szybowca około godziny 3.00

i zorganizował kwaterę polową w Ramdlle. Teraz wraz ze swoimi brygadierami miał zamiar naradzić się z Pinem Coffinem, którego 7

batalion walczył z nieprzyjacielskimi patrolami w Benou-ville i Le Port.

Przechodząc, zawołał do żołnierzy kompanii D: „Dobry występ, chłopaki!”. Po odebraniu meldunku od Howarda, Gale i jego towarzysze przeszli przez most. Niemcy do nich strzelali, ale niecelnie, a brytyjscy dowódcy nie kłaniali się kulom.

Gdy znaleźli się w sztabie Coffina, nagle pojawiły się dwie kano-nierki, które zmierzały od wybrzeża w kierunku Caen. Wyłynęły z niewielkiej przystani w Ouistreham, miejscowości zaatakowanej przez część brygady komandosów lorda Lovata. Załogi tych kano-nierek najwyraźniej wiedziały, że most znajduje się w rękach nieprzyjaciela, gdyż pierwsza z nich płynęła z maksymalną szybkością, ostrzeliwując most ze swojego 20-milimetrowego działka. Parr nie mógł odpowiedzieć ogniem ze zdobyczej armaty przeciwpancernej, ponieważ sam most i jego nadbudówki blokowały pole ostrzału. Tymczasem na nadbrzeżu znalazł

się dowodzący plutonem nr 2 kapral Godbolt z *Fiatem*. Howard rozkazał

żołnierzom wstrzymać ogień, dopóki pierwsza kanonierka nie znajdzie się w zasięgu pance-rzownicy Godbolta. Po chwili Godbolt wypalił z bliskiej odległości, trafiając ku swemu zdumieniu w sterówkę, wewnątrz której eksplodował granat z *Piata*. *Łódź* wywróciła się dnem do góry i zaryła dziobem w brzeg obsadzony przez spadochroniarzy, podczas gdy rufa utkwiała po tej stronie kanału, na której znajdowała się kompania D.

Niemcy zaczęli z podniesionymi rękami wyskakiwać na brzeg, krzycząc *Kamerad, Kamerad*. Niemieckiego dowódcę, oszołomionego, ale nadal wojowniczego, trzeba było zmusić do opuszczenia pokładu.

Howard przypomina sobie tego „osiemnasto- czy dziewiętnastoletniego nazistę, bardzo wysokiego, dobrze znającego angielski. Beształ nas po angielsku, jak głupio postąpiliśmy, porywając się na inwazję na kontynent, bo kiedy jego Fuhrer się o tym dowie, to zepchnie nas do morza.

Wykrzykiwał zniewagi i z trudem powstrzymałem swoich chłopaków od zlinczowania drania na miejscu". Howard zdawał sobie sprawę, że taki oficer to łakomy kąsek dla wywiadu, więc odesłał

go do prowizorycznego obozu jenieckiego w Ranville. „Trzeba go było zakneblować i wlec za ręce i nogi, bo się bronił i bez przerwy wrzeszczał”.

Saperzy odwrócili łódź i sprawdzili jej wyposażenie, szukając amunicji i broni. Jeden z saperów znalazł butelkę brandy i wetknął ją do wewnętrznej kieszeni kurtki. Jego dowódca, Jock Neilson, dostrzegł wybrzuszenie.

- Hej, co ty tam masz? - zapytał.

Saper pokazał mu brandy, które Neilson zaraz mu odebrał ze słowami:

- Jesteś na to jeszcze za młody.

Ów saper skarży się dziś: „Nie skapnęła mi nawet kropelka tej cholernej brandy”.

Podczas pierwszych godzin walki żołnierze kompanii D dwukrotnie użyli *Fiatów*, które wcześniej zebrały tyle krytycznych opinii. Za pierwszym razem zniszczyli czołg; kolejny strzał unieszkodliwił kanonierkę, a drugą zmusił do ucieczki. Kompania D zdobyła dwa mosty, obszar pomiędzy nimi, a także niemiecką kanonierkę.

Tymczasem pod Caen von Luck był bliski rozpacz. Ostrzał miasta z dział artylerii okrętowej siał takie spustoszenie, jakiego nie widział

przez wszystkie wojenne lata. Chociaż punkt zborny jego jednostki był dobrze zamaskowany i, jak dotąd, nie naruszony przez nieprzyjacielskie pociski, to jednak wiedział, że kiedy wyruszy w pole - po otrzymaniu w końcu takiego rozkazu - zostanie od razu dostrzeżony przez alianckie samoloty rozpoznawcze. Jego pozycja zostanie przekazana okrętom na wodach kanału La Manche, a wtedy grad pocisków dużego kalibru, wystrzelonych z okrętów, spadnie na jego głowę.

W tej sytuacji nabrał wątpliwości, czy zdoła przebić się przez brytyjską 6 Dywizję Powietrznodesantową i odzyskać mosty. Jego prze-

łożeni doszli do podobnego wniosku i stwierdzili, że należy zniszczyć oba mosty i tym samym odciąć 6 Dywizję. Wydali rozkaz obsadzenia piechotą rzecznej kanonierki i wysłali z Caen nurków oraz samoloty myśliwsko-bombowe dla zniszczenia przepraw.

Około godziny 10.00 jeden z niemieckich myśliwców bombardujących nadleciał od strony słońca, przemknął ponad mostem na rzece, tuż nad drzewami rosnącymi wzdłuż szosy, i najwyraźniej zmierzał

ku mostowi nad kanałem. Howard schował się w bunkrze, a jego żołnierze rzucili się w stronę okopów. Wystawili głowy i patrzyli, jak pilot zrzuca bombę. Trafiła ona bezpośrednio w wieżę na moście, ale nie wybuchła. Z metalicznym dźwiękiem stoczyła się na most, a potem spadła do kanału. Okazała się niewypałem.

Do dziś pozostało zrobione przez nią wyżłobienie. Howard lako-nicznie skomentował: „Ale mieliśmy szczęście”. I dodał tonem doś-

wiadczonego żołnierza: „A ten niemiecki pilot celnie trafił”.

Dwóch niemieckich pływaczy bez trudu wypatrzyli w świetle dziennym brytyjscy strzelcy po obu stronach kanału. Jednakże na lądzie Niemcy spychali Brytyjczyków. W Benouville znajdowała się tylko jedna kompania 7 batalionu, dowodzona przez Nigela Taylora. Poważnie osłabiona, musiała stawiać czoła coraz silniejszym niemieckim kontratakom. Dwie kompanie w Le Port znajdowały się w podobnej sytuacji i, jak Taylor, musiały oddać nieco terenu.

Posuwając się naprzód, Niemcy wprowadzili do akcji część wo-zów bojowych należących do pułku von Lucka. Brytyjczycy nazywali niemieckie samobieżne wyrzutnie niekierowanych pocisków raketowych „wyjącymi mózdzierzami”. „Jeżeli chodzi o nie, to najbardziej zapadła nam w pamięć ich wyjątkowa celność - mówi Howard. - Poza tym, że wydawały przerażające dźwięki, które sprawiały, że człowiek odruchowo szukał schronienia”.

Pomiędzy kolejnymi eksplozjami Wally Parr przebiegł przez drogę do Howarda.

- Mam wrażenie - powiedział bez tchu - że ktoś na wieży ciśnien kieruje ogniem.

Wyjaśnił, iż na szczyt wieży ciśnien znajdującej się w pobliżu szpitala położniczego wiedzie zewnętrzna drabinka, po której ktoś się wspinał. Czy major zezwoli na otwarcie ognia do tego celu? Howard się zgodził. „I tyłek Wally'ego zaraz zniknął w pyle - wspomina moment, gdy Parr przemknął przez szosę do swojego działła.

Parr wrzasnął: - DZIAŁO NUMER JEDEN!. Nastąpiła chwila osobliwej ciszy, która zdarza się w tak wielu bitwach. Howard zwrócił uwagę, że było to ich jedyne działło, a Parr wtedy dodał, iż w owej chwili cała 6 Dywizja Powietrznodesantowa dysponowała wyłącznie tą armatą.

I w tej ciszy Parr wydawał swoim ludziom komendy niczym urodzony kanonier.

- Odległość siedemset, jeden pocisk. W prawo o pięć stopni.

Wszystkie komendy poprzedzał okrzykiem DZIAŁO NUMER JEDEN. I wreszcie: CEL!. Znajdujący się w pobliżu żołnierze brytyjscy i niemieccy zafascynowani obserwowali to widowisko. - OGNIA!

Działło zagrzmiało, pocisk wyleciał z lufy. Trafił wprost w wieżę ciśnien. Wszędzie wokoło rozległy się wiwaty, berety poleciały w powietrze, a żołnierze radośnie ściskali sobie dłonie. Jedyne szkopuł tkwił

w tym, że amunicja okazała się przeciwczołgowa. Pocisk wbił się w wieżę z jednej strony, przebił ją i wyleciał z drugiej, nie eksplodując. Przez otwór zaczęła wypływać woda, ale sam budynek nadal stał. Parr strzelił

ponownie i jeszcze raz, woda trysnęła z wieży na wszystkie strony. W

końcu Howard polecił mu przerwać ogień.

Gale, Kindersley i Poett wrócili z narady z Pinem Coffinem, oznajmili Howardowi, że jeden z jego

plutonów będzie musiał przejść do Benouville i zająć pozycję u boku kompanii Taylora. Howard wybrał do tego zadania pluton nr 1. Na zachodni brzeg przerzucił też plutony Sweeneya i Foxa, aby obsadziły stanowiska naprzeciwko kawiarni Gondree'ów, gdzie miały przejść do kontrnatarcia w wypadku, gdyby Niemcy dokonali przełamania.

„Pomyśleliśmy - mówi Sweeney - że to trochę niesprawiedliwe. My walczyliśmy przez całą noc. Siódmy batalion nadciągnął i zluźował nas na pozycjach. Uważaliśmy, że powinni dać nam trochę wytchnienia i ci z siódmego [batalionu] nie powinni jeszcze ściągać naszych plutonów na pomoc”.

Sweeney i Fox usadowili się obok żywopłotu. Tydzień wcześniej, jeszcze w Tarrent Rushton, Sweeney poznał się z Richardem Toddem, a to za sprawą zabawnego zbiegu okoliczności - otóż w brytyjskiej armii wszystkich Sweeneyów przezywano „Toddami”, a wszystkich Toddów

„Sweeneyami” - w Londynie bowiem był słynny fryzjer Sweeney Todd.

Podczas tego spotkania Sweeney i Todd śmiali się ze swojego

„pokrewieństwa”. Na pożegnanie Todd rzucił nowemu koledze:

- Do zobaczenia w D-Day.

Na skraju Le Port, 6 czerwca o godzinie 11.00, gdy Sweeney zatrzymał

się przy żywopłocie, „z zarośli wyłoniła się twarz Richarda Todda, który rzucił do mnie: «Mówiłem, że się zobaczymy w D-Day». A potem znowu zniknął”.

W Benouville pluton nr 1 zaangażował się w zacięte walki uliczne. Pluton ten ćwiczył walkę pośród zabudowań przez wiele godzin w Londynie, Southampton i w innych miejscach, a już wcześniej tej nocy uczestniczył

w starciu pod kawiarnią Gondree'ów. Teraz udzielił Tay-lorowi jakże potrzebnego wsparcia i Brytyjczycy wspólnie zaczęli wypierać Niemców z zabudowań.

Plutonem dowodził Joe Kane. „Był typowym flegmatykiem - wspomina Bailey. - Wydawało się, że nic go nie rusza”. Na pobliskim poletku dostrzegli wychodek.

- Osłaniaj mnie - powiedział do Bailey'a Kane. - Nie przestawaj mnie osłaniać. Skoczę się wysrać.

I Kane popędził do wychodka. Po chwili przybiegł z powrotem.

- Nie dam rady - stwierdził. W wychodku nie było dziury w ziemi, tylko wiadro. W dodatku pełne; wyglądało tak, jakby nikt go nie opróżnił od wielu dni. - To nie dla mnie - powtórzył Kane.

Trzydzieści cztery lata później Bailey namawiał Kane'a na wspólną wycieczkę do Normandii. Przez ubiegłe lata wielokrotnie wracał do miejsc dawnych walk, dla Kane'a miała to być pierwsza wizyta od czasów wojny.

W Benouville Kane chciał się przede wszystkim przekonać, czy opróżniono wreszcie wiadro w tamym wychodku. Wychodka już jednak nie było.

Do południa zameldowała się większość żołnierzy 7 batalionu; niektórzy dotarli pojedynczo, inni w niewielkich grupach. Pine Coffin miał wreszcie tylu ludzi, że mógł zluzować plutony Howarda, które ten ściągnął z powrotem na obszar między mostami. Niemieccy strzelcy wyborowi nadal dawali o sobie znać, „wyjące moździerze” wciąż pluły pociskami raketowymi, trwały starcia w Benouville, Le Port oraz na wschód od Ranville. Żołnierze kompanii D strzelali do snajperów, ale, jak przyznaje Billy Gray, „nie mogliśmy ich wypatrzeć, więc strzelaliśmy na ślepo”.

Pomimo szczupłych sił 7 batalion spadochroniarzy oraz kompania D nadal trzymały mosty.

Od godziny 12.00 do 24.00

W południe sierżant Thornton przysiadł w okopie. Nie miał najlepszego samopoczucia. Był, rzecz jasna, koszmarnie zmęczony, ale przede wszystkim dręczyła go zaistniała sytuacja. „Tkwiliśmy tam od godziny 0.20

w nocy, przybywało coraz więcej Szkopów. Zostaliśmy otoczeni w ciasnym kręgu, robiło się cholernie gorąco. Im dłużej się gdzieś siedzi, tym więcej się myśli. Niektórzy mówili: «Och, chyba już nie zobaczę nieba nad Anglią», albo nad Szkocją, Walią czy Irlandią". Wally Parr wspomina: „Ten dzień się straszliwie dłużył. Przez cały czas wyczuwaliśmy, że wróg się przegrupowuje i podchodzi coraz bliżej".

W Benouville i Le Port 7 batalion trzymał się ostatkiem sił. Major Taylor uczestniczył tej nocy w pięciu starciach ogniowych. Wkrótce po nastaniu świtu zobaczył, jak kilka dziwek krzyczy, wymachuje i przesyła pocałunki z okna pokoju, w którym jeszcze sześć godzin temu przebywał

szeregowy Bąk. Do południa natężenie walk przybrało wyraźnie na sile, a Taylor musiał się zmagać nie tylko z niemiecką piechotą i wozami opancerzonymi, ale i z czołgami.

„Kiedy pierwszy czołg wypełził zza rogu - opowiada Taylor - powiedziałem żołnierzowi z *Fiatem*: «Czekaj, czekaj», a kiedy [czołg]

podjechał na odległość około 35 metrów, krzyknąłem: «Ognia!» Żołnierz pociągnął za spust, rozległ się cichy trzask. Spojrzał na mnie i powiedział: «Zaciął się, panie majorze»".

Pewien kapral, widząc, co się dzieje, wyskoczył z okopu i natarł na czołg, strzelając ze *Stena*. Kiedy zbliżył się do pojazdu, cisnął w niego ładunkiem plastiku i uciekł. Czołg eksplodował i zatańczył na drodze, którą zatarasował.

Nieco wcześniej odłamek drasnął Taylora w udo, powodując otwartą ranę. Zdołał wejść na piętro jednego z domu i z okna kierował

dalej walką. „W pewnej chwili - jak wspomina Richard Todd

- usłyszeliśmy głos Taylora zagrzewającego chłopaków. Pozostała mu w praktyce jedna noga, a jednak leżał w oknie domu i nadal dodawał

chłopakom otuchy". Nie było środków łączności; nadajniki radiowe i telefony polowe przepadły podczas zrzutu. Taylor wysłał więc łącznika do Pine'a Coffina z meldunkiem, że zostało mu tylko trzydzieści ludzi, w większości rannych, oraz z pytaniem, czy może liczyć na jakąś pomoc. Właśnie wtedy Coffin polecił Howardowi posłać jeden z plutonów kompanii D do Benouville.

Nie nastąpił jeszcze szturm niemieckich jednostek pancernych

- von Luck wciąż czekał na rozkazy w rejonie koncentracji - co było uśmiechem losu dla żołnierzy oddziałów powietrznodesantowych, którzy mieli tylko *Piaty* i granaty *Gammon* do walki z czołgami.

Ale w każdej chwili niemieckie wozy pancerne mogły nadjechać do Benouville z Caen, a do Le Port - od strony morza.

Niemieccy pancerniacy mieli jednak własne problemy. Wkrótce po 12.00 w południe von Luck dostał rozkaz wymarszu. I tak jak się obawiał, kolumny zostały natychmiast ostrzelane. W ciągu kolejnych paru godzin jego pułk poniósł ciężkie straty. Na zachód od Orne inny pułk 21 Dywizji Pancerniej także przystąpił do działania; część żołnierzy niemal dotarła na plażę Sword, podczas gdy jeden z batalionów wyruszył do ataku na Benouville.

W Le Port Todd usiłował wyeliminować nieprzyjacielskiego snajpera strzelającego z kościelnej wieży. Wokół kościoła znajdowała się otwarta przestrzeń; Todd opowiada: „Nie było sposobu się tam przedostać, a poza tym mieliśmy na dole bardzo niewielu ludzi. Kapral Killean, młody Irlandczyk, zgłosił się na ochotnika. By podejść bliżej ze swoim *Fiatem*, przeciskał się przez domy, wybijając dziury w ścianach i przeskakując z jednego do drugiego. Aż w końcu dotarł do krańcowego domu. Wybiegł, oparł swojego *Piata* o żywopłot, wystrzelił granat i trafił dokładnie tam, gdzie chciał, w otwór na kościelnej wieży. Potem strzelił jeszcze dwukrotnie. I rzeczywiście zabił tego snajpera”.

Killean wpadł do kościoła. Zanim jednak to uczynił, zdjął z głowy hełm, powiedział: - Przykro mi, że muszę sprawdzić, co narobiłem w przybytku Bożym - i przeżegnał się.

Major Taylor co chwila zerkał na zegarek. Odsiecz miała nadejść do południa od strony plaż. Mijała już jednak 13.00, a komandosi się nie zjawiali. „To było bardzo długie oczekiwanie - wspomina Taylor -

Słyszałem te historie o «najdłuższym dniu», ale tamten naprawdę piekielnie się dłużył”. Howard na swoim stanowisku dowodzenia, które przeniósł z bunkra, również bez przerwy sprawdzał czas i zastanawiał się, gdzie są komandosi.

W Oksfordzie Joy Howard wstała tuż po świcie. Była na tyle zaab-sorbowana karmieniem, kąpaniem i przewijaniem dziecka, że nie włączyła radia. Około 10.00 przed południem zapukali do niej sąsiedzi Johnsonowie i oznajmili, że rozpoczęła się inwazja.

- Wiemy, że major Howard gdzieś tam walczy - powiedzieli, nalegając, żeby przyszła do nich z dziećmi na uroczysty lunch.

Przenieśli przez ogrodzenie krzeselko niemowlęcia i poczęstowali Joy potrawą z bażantów dostarczonych im przez znajomych ze wsi oraz butelką markowego wina, wyciągniętą z piwnicy specjalnie na tę okazję.

Joy stale myślała o zapewnieniu Johna, że gdy tylko usłyszy o inwazji, będzie to oznaczało, iż on już wypełnił swoje zadanie. Słowa te nie dawały jej teraz spokoju; dręczyła ją obawa, że mąż poległ. Robiła co mogła, by odegnać od siebie takie myśli. Popołudnie upłynęło jej na różnych domowych zajęciach, ale wciąż słuchała wiadomości radiowych. Nie usłyszała, by wymieniono Johna, wspomniano tylko o zrzuceniu spadochroniarzy na wschodniej flance. Doszła do przekonania, że pewnie w tym uczestniczył.

Czołgi von Lucka posuwały się naprzód w takim tempie, w jakim umożliwiał to intensywny ostrzał alianckiej artylerii okrętowej oraz powietrzne ataki samolotów RAF-u. Major Becker, który dzięki swej pomysłowości podniósł stopień motoryzacji 125 pułku von Lucka, wiódł

grupę bojową w kierunku Benouville. Rozkazał swoim żołnierzom prowadzić intensywny ostrzał z „wyjących moździerzy” - wyrzutni raketowych zamontowanych na podwoziach różnych pojazdów.

Około 13.00 Brytyjczycy na moście oraz ci w Benouville i Le Port znaleźli się w sytuacji dawnych osadników z Dzikiego Zachodu, broniących swojego taboru przed otaczającymi ich Indianami i modlących się o kawaleryjską odsiecz. Mieli wystarczająco dużo amunicji, aby odpierać pojedyncze ataki, ale bez wsparcia nie wytrzymałoby skoncentrowanego szturm.

Tod Sweeney siedział obok Foxa i bez entuzjazmu analizował sytuację.

Nagle trącił Foxa łokciem.

- Słuchaj - odezwał się. - Wiesz co, Dennis? Chyba słyszę dudziarzy.

- Tod, jesteśmy we Francji. To niemożliwe - odparł Fox.

Jednak w innym okopie sierżant Thornton również wspomniał

żołnierzom, że dobiegły go dźwięki dud.

- Co ty wygadujesz? Chyba zwariowałeś.

Thornton upierał się jednak przy swoim zdaniu.

Na stanowisku dowodzenia Howard też nadstawił uszu. Jeszcze w Tarrent Rushton on sam, Pine Coffin oraz dowódca komandosów, legendarny lord Lovat, uzgodnili sygnały rozpoznawcze, gdy dojdzie do ich spotkania w Normandii. Lovat, przybywając na kontynent z morza, miał polecić swoim ludziom dać w dudy, aby dać znak, że nadchodzi.

Trębacz Coffina winien na to odpowiedzieć umówionym sygnałem oznaczającym, że droga jest wolna, lub też innym, gdyby trwały walki o szosę.

Wkrótce dźwięków dud nie można już było z niczym pomylić. Trębacz Pine'a Coffina dał sygnał, który oznaczał, iż toczą się zmagania wokół

mostów.

Oczom ukazał się dudziarz Lovata, Bili Millin, a po nim sam Lovat. Był to niezapomniany widok. Millin szedł obok Lovata, niosąc wielkie dudy; na głowie miał берет. Lovat, w swym zielonym berecie i białym swetrze, trzymał w ręku laskę i - wspomina Howard - „kroczył zupełnie jak na ćwiczeniach w Szkocji”.

Przybyli więc komandosi, a wraz z nimi czołg *Churchill*. Oznaczało to nawiązanie łączności z

przyczółkiem na plaży. Żołnierze z kompanii D

zareagowali niczym dawni osadnicy na wieść o kawaleryjskiej odsieczy.

„Wszyscy rzucili karabiny - opowiada sierżant Thornton - i zaczęli się ściskać. Widziałem, jak żołnierzom spływają łzy po policzkach. Nie żartuję. Pewnie sam płakałem. Mój Boże, tej radości nigdy nie zapomnę”.

Kiedy Georges Gondree ujrzał nadchodzącego Lovata, chwycił tacę, parę kieliszków i butelkę szampana, a potem wybiegł z kawiarni, wołając i krzycząc. Dogonił Lovata, który już wszedł na most i wytwornym gestem zaproponował mu szampana. Ten podziękował i ruszył dalej.

Tego już było dla Wally'ego Parra za wiele. Podbiegł do Gondree'a, wołając: - *Oui, oui, oui*. Zachwycony Gondree napełnił kieliszek. „A niech mnie - mówi Parr, przypominając sobie owo zdarzenie - to był

dopiero szampan!”.

Lovat, za którym nadal szedł dudziarz Millin, napotkał Howarda na wschodnim skraju mostu.

- John - powiedział, gdy wymienili uścisk dłoni - dzisiaj tworzy się historia.

Howard krótko opisał mu położenie, pocieszając Lovata, że jeśli tylko przeprowadzi on swoich żołnierzy przez most, dalej będzie już łatwiej.

Ostrzegł, że most należy przekraczać ostrożnie. Lovat mimo wszystko chciał, by jego ludzie przeszli przez most paradnym marszem. W

konsekwencji stracił kilkunastu żołnierzy. Większość z nich zginęła na miejscu, trafiona w głowę osłoniętą tylko beretem. Komandos, którzy nadeszli później, już przebiegali przez most z hełmami na głowach.

Ostatni z przekraczających most komandosów przekazali w ręce Howarda paru oszołomionych niemieckich żołnierzy w samej bieliźnie.

Okazało się, że uciekli oni w nocy, gdy kompania D szturmowała most, a potem pochowali się w krzakach wzdłuż ścieżki nad kanałem. Na widok komandosów nadciągających od strony morza stwierdzili, że czas się poddać. Komandos, który przekazywał ich Howardowi, powiedział, szczerząc w uśmiechu zęby:

- Proszę, majorze, oto paru z pańskich gołych niemieckich pan-cerniaków!.

Kilka brytyjskich czołgów nadjechało od strony plaż ku Benouville, gdzie utworzyły ruchomą zaporę. Większość przejechała przez most i ruszyła do Ranville i dalej na wschód, wspierając 6 Dywizję Powietrznodesantową w jej zmaganiach z niemiecką 21 Dywizją Pancerną.

Niemcy próbowali kontratakować, nadciągając kanałem. Około godziny 15.00 z Caen przybyła

załadowana żołnierzami kanonierka. Bailey dostrzegł ją pierwszy i zaalarmował Parra, Graya i Gardnera.

Wszyscy oni wdali się w gorący spór na temat odległości płynącego celu.

Kiedy strzelili, pocisk wpadł do wody niespełna 30 metrów przed łodzią, która zaczęła się obracać. Wypalili z działa ponownie, trafiając w rufę.

Motorowa łódź zawróciła w stronę Caen, ciągnąc za sobą smugę dymu.

W godzinach popołudniowych sytuacja wokół mostu się ustabilizowała. Niemiecki 8 batalion grenadierów pancernych oraz grupa bojowa majora Beckera zaciekle walczyły, jednak - jak przyznaje Kortenhuis - „opór był silny. Straciliśmy trzynaście czołgów [z siedemnastu]”. Nadal prowadzili ogień strzelcy wyborowi oraz trwał ostrzał

z wyrzutni raketowych, jednak Niemcy nie atakowali już całością posiadanych sił.

„To był piękny wieczór”, przypomina sobie Nigel Taylor. Około 18.00, mając pewność, że pozycje jego pododdziału w Benouville są bezpieczne, pozwolił się zanieść na punkt pomocy medycznej w kawiarni Gondree'ów. Kiedy zabandażowano mu ranną nogę, pokuśtykał na zewnątrz i usiadł przy stoliku tuż przy frontowych drzwiach. „A Georges Gondree przyniósł mi kieliszek szampana, którym po takim dniu nie mogłem wzgardzić, słowo daję. Tamtego wieczoru, tuż przed zapadnięciem zmroku, nadleciały samoloty, brytyjskie samoloty, i ciągnęły za sobą szybowce z zaopatrzeniem na naszą stronę kanału. Setki szybowców, setki cholernych szybowców, a ponadto samoloty zrzucały zaopatrzenie na spadochronach przez luki bombowe. Wszystko to znalazło się na ziemi i wydawało się, że minęło ledwie kilka minut, a pojawiły się chłopaki w jeepach, ciągnąc armaty przeciwpancerne i Bóg wie, co jeszcze; nadjechali drogą z Le Port i przez ten most”.

Taylor dopił szampana i poczuł się znacznie lepiej. „I pamiętam, jak w tamtej chwili pomyślałem: «Mój Boże, udało się!»”.

W szybowcach przybyli żołnierze z 6 Brygady Powietrznodesantowej Kindersleya - macierzystej jednostki kompanii D. Kompanie te, wyposażone w ciężki sprzęt, zaczęły przemieszczać się przez most ku Ranville i dalej do miejscowości Escoville, którą miały zaatakować tej nocy lub nazajutrz rano. Kiedy żołnierze pułku Ox i Bucks maszerowali obok Parra, Graya i innych, ci wykrzykiwali: „Gdzie się, do diabła, podziewaliście?”, „Wojna się skończyła”, „Trochę za późno na paradowanie, chłopaki”, i podobne nonsensy.

Howard otrzymał rozkaz przekazania zajmowanych pozycji jednemu z batalionów desantu morskiego, gdy ten zjawi się na miejscu, a następnie dołączyć do Ox i Bucks w Escoville lub gdzieś w pobliżu. Około północy przybył pułk Warwickshire. Howard złożył meldunek jego dowódcy. Parr przekazał zdobyte działo przeciwpancerne sierżantowi i objaśnił, jak należy je obsługiwać. („W tym czasie byłem już prawdziwym ekspertem w dziedzinie niemieckiej artylerii - powiada Parr - Rozgryzłem rzecz na miejscu”.)

Howard polecił podwładnym się zbierać. Ktoś znalazł konny wóz, ale bez zaprzęgu. Wóz był wielki,

niezgrabny, lecz przydał się, gdyż żołnierze kompanii D mieli ze sobą mnóstwo sprzętu. Załadowano więc na niego własny ekwipunek oraz zdobyczną niemiecką broń (żołnierze, jeśli tylko nadarzyła się okazja, zamieniali swoje *Enfielody* na *Schmeissery*, a *Breny* na *MG-34*).

Kompania D wyruszyła na wschód, w stronę mostu na rzece i dalej w kierunku Ranville. Howard nie znajdował się już pod komendą Pine'a Coffina i Poetta. Jego kompania powróciła w skład batalionu, którym dowodził pułkownik Mike Roberts. Upłynęła równo doba od chwili zaatakowania mostu, który Howard, zgodnie z otrzymanymi rozkazami, zdobył i uchronił przed zniszczeniem.

Jackowi Baileyowi trudno było opuścić to miejsce. Tłumaczy: „Spędziliśmy tam cały dzień i noc. Uważaliśmy, że to jest nasze terytorium”.

D-DAY

Dzień po i trzy miesiące później

Benouville było położoną najbardziej w głębi lądu miejscowością opanowaną przez brytyjski desant w D-Day. Dopiero w sierpniu udało się zdobyć Caen i leżące dalej obszary. Pierwotny plan przewidywał

uderzenie siłami jednostek pancernych z plaż, przez Benouville, wzdłuż drogi nad kanałem, na Caen. Jednakże zacięta niemiecka obrona pod Benouville, Le Port i Ranville przekonała brytyjskie naczelne dowództwo, że ostrożność wymaga przyjęcia bardziej defensywnej taktyki. Tak więc, choć 6 czerwca upłynął pod znakiem śmiałych akcji zaczepnych, to począwszy od 7 czerwca aż do końcowych dni sierpnia, Brytyjczycy przeszli do obrony, próbując tylko raz - w połowie lipca, kiedy miała miejsce operacja

„Goodwood”

-

dokonać

poważnego

wyłomu

w

nieprzyjacielskim ugrupowaniu.

Kompania D nie odegrała w tej defensywnej fazie walk w Normandii spektakularnej roli. Zabrakło brawurowych, ekscytujących akcji na podobieństwo uchwycenia i utrzymania mostów w D-Day. Kompania D, która przeobraziła się wówczas w typowy pododdział piechoty, odnotowała znacznie wyższe straty.

Wszystko zaczęło się tuż po północy, 7 czerwca. Kompania opuszczała mosty, ciągnąc za sobą wóz załadowany sprzętem wojskowym. Tod Sweeney wspomina: „Ten przeklęty wóz drabiniasty bez przerwy zjeżdżał z drogi”.

Droga była wąska i wyboista, wzdłuż niej rosły drzewa, panowały egipskie ciemności. Jack Bailey mówi: „Zdaje się, że trzeba było zaprząć do tego wozu dwa woły, bo ciągnięty przez nas co rusz zjeżdżał na boki”.

Bailey dodaje, że nigdy w życiu nie słyszał takiego przeklinania, jak wówczas. Howard na próżno przywoływał żołnierzy do porządku.

W końcu kompania D postanowiła pozostawić nieszcześny wóz.

Długie marsze z ciężkim ekwipunkiem okazały się czymś powszed-nim dla kompanii D. Każdy z żołnierzy wziął na plecy tyle, ile zdołał

unieść, część sprzętu pozostawiono na wozie i pododdział ruszył dalej, piechotą, w środku nocy, uginając się pod ciężarem dźwiganego ładunku.

Do Ranville kompania D zmierzała poważnie osłabiona. Dwadzieścia cztery godziny wcześniej Howard wylądował w Normandii ze 181 żołnierzami. Straty poniesione w walkach były wprawdzie niewielkie - dwóch zabitych i czternastu rannych, osłabienie kompanii wynikało z innych przyczyn. Otóż po rozładowaniu szybowców ich piloci mieli na mocy specjalnego rozkazu Montgomery'ego przedostać się z powrotem do Anglii. I w porze popołudniowej piloci opuścili kompanię, która tym samym zmniejszyła swój stan o dziesię-

ciu ludzi*.

Po zabezpieczeniu linii komunikacyjnej między Benouville a wybrzeżem Howardowi odebrano też saperów - ponad dwudziestu żołnierzy - którzy dołączyli do swojej macierzystej jednostki. A po nocnym marszu plutony Foxa i Smitha powróciły w skład kompanii B, co uszczupliło kompanię D o kolejnych czterdziestu ludzi. Wczesnym rankiem 6 czerwca wzmocniona kompania Howarda liczyła 181

żołnierzy, a we wczesnych godzinach porannych 7 czerwca -już tylko 76. Po odejściu Foxa i Smitha do kompanii B Howardowi pozostał jedyny oficer - Sweeney; pozostali polegli, zostali ranni lub też zaginęli.

Kompania D obeszła Ranville. Panował mrok, pododdziały spadochroniarzy maszerowały we wszystkich kierunkach krętą drogą przecinaną skrzyżowaniami. W rezultacie kompania D pobiła.

Howard zarządził przerwę, a następnie zwrócił się do Sweeneya:

- Nie podoba mi się to, Tod. Powinniśmy już natknąć się na nasz pułk, gdzieś tu musi być jego straż tylna. Nie chcę wlec tą drogą całej

* Na normandzkiej plaży Oliver Boland udzielił wywiadu jednemu z korespondentów wojennych. Zdał krótką relację z wydarzeń na moście nad kanałem. Nazajutrz w „The Times” ukazał się pierwszy artykuł o brawurowej akcji kompanii D. Potem pojawiło się wiele innych publikacji na ten temat.

kompanii. Wskocz do przodu z paroma chłopakami, spróbuj na-wiązać kontakt z pułkiem, a potem wróć tutaj po mnie.

Sweeney wyruszył na zwiad z kapralem Porterem i jednym z szeregowych: „Dotarliśmy do Herouvillette, było to niesamowite miejsce. Spadochroniarze zwisali z zabudowań, martwi, wśród nich latały gołębie”. Sweeney miał skręcić w Herouvillette w kierunku Escoville, ale minął właściwy rozjazd, błąkał się przez godzinę, wreszcie odnalazł drogę i ruszył ku Escoville i pułkowi.

Na drodze przed sobą, w odległości niespełna 100 metrów, dostrzegł ciemny kształt. Dał swoim ludziom znak, by szli za nim cicho i ostrożnie. Trzasnęły stalowe drzwiczki, co wskazywało, że to niemiecki pojazd opancerzony. Podczas szkolenia w Bulford Sweeney i jego żołnierze długo ćwiczyli postępowanie w takiej właśnie sytuacji.

Wydobył granat i rzucił go, a potem zaczął uciekać w stronę Herouvillette, kapral Porter osłaniał go ogniem z *Brena*.

Sweeney umykał drogą. „Ten drugi z chłopaków był wielkim i po-wolnym gościem ze wsi, a takim się nigdy nie spieszy. Wcześniej nie wyróżniał się sportowymi wynikami, a teraz, kiedy tak zasuwaliśmy tą drogą, wyprzedził mnie, co mnie bardzo wkurzyło. Zawołałem:

«Hej, szeregowy, zaczekajcie na mnie». Nie wydawało mi się właściwe, że prześcignął mnie w biegu”.

Pociski smugowe zaczęły gwizdać wokół ich głów. Porter nadal strzelał ze swojego *Brena*. Sweeney i szeregowy przykucnęli za jednym z budynków, by zaczekać na Portera, jednak wymiana ognia trwała i Sweeney postanowił wrócić z meldunkiem do Howarda

- z Porterem albo bez niego. Kiedy składał raport, Howard przyznał, że słysząc odgłosy ogniowej potyczki, pomyślał: „Mój Boże, zginie ostatni z moich oficerów”.

- Nie jest dobrze. Nie wiem gdzie jest pułk, nie ma go na drodze do Escoville; tam natknąłem się na niemiecki samochód pancerny i straciłem kaprala Portera - powiedział Sweeney.

Howard stwierdził, że w takim razie pójdą inną drogą i odnajdą swój pułk. Tak też się stało; okazało się, że pułk rozbił na noc obozo-wisko w innym miejscu, nie informując o tej zmianie Howarda. W cią-

gu minionych dwóch godzin kompania dwa razy przeszła w pobliżu swojego pułku. Minęła godzina 3.00 nad ranem.

Howard zameldował się w sztabie batalionu. Tam, ku swej wielkiej radości, zastał Briana Pridaya i Tony'ego Hoopera. Po powitaniach opowiedzieli swoją historię - jak zdali sobie sprawę, że znaleźli się przy niewłaściwym moście, jak Hooper dostał się do niewoli i został z niej oswobodzony, gdy Priday zabił ze *Stena* Niemców, jak maszerowali po bezdrożach, przez moczary i bagna, kryjąc się po stodołach, walcząc z niemieckimi patrolami, by w końcu dołączyć do spadochroniarzy i trafić do Ranville. Tak więc kompanii D przybyło teraz dwudziestu dwóch żołnierzy i dwóch oficerów, w tym zastępca dowódcy. Howard przeorganizował kompanię w trzy plutony, stawiając na ich czele trzech oficerów, których miał do dyspozycji.

O 4.00 rano dowódcy plutonów polecieli podwładnym udać się na spoczynek na niemieckich pryzkach; dla siebie znaleźli łóżka w pobliskim zamku. Spali przez dwie godziny. O 6.00 zbudził ich Howard. O 6.30

kompania wyruszyła w dalszą drogę. Kiedy dotarła do skrzyżowania i skręciła w lewo, ku Escoville, natknęła się, wedle słów Swe-eneya, na

„kaprała Portera siedzącego na poboczu ze swoim *Brenem*. Spojrzał na mnie i zapytał: «Gdzie pan się podziewał, poruczniku?» Odpowiedziałem:

«Przykro mi, Porter, ale naprawdę musiałem wracać i złożyć meldunek»".

Kompania D wyruszyła w kierunku Escoville. Nagle znaleźli się pod bardzo ciężkim ostrzałem, głównie

z osiemdziesiątekósemek.

Pododdział przebił się na przełaj przez zadrzewiony teren do jednej z farm, którą Howard wybrał na stanowisko dowodzenia. Gdy tylko rozkazał plutonom zająć pozycje, dostali się pod ogień moździerzy, samobieżnych wyrzutni, czołgów, strzelców wyborowych oraz dział.

Okazało się, że zostali zaatakowani przez 2 batalion grenadierów pancernych ze 125 pułku von Lucka 21 Dywizji Pancерnej. „A ci żołnierze -

szczerze przyznaje Sweeney - byli z zupełnie innej gliny od tych, z którymi walczyliśmy na mostach". Mimo poważnych strat kompania D utrzymała się na pozycjach.

Około 11.00 Howard dokonał obchodu swoich plutonów. Najpierw zajrzał na stanowisko Sweeney'a. Kiedy stamtąd obserwował przeciwnika przez lornetkę, „coś gwizdnęło i straciłem przytomność". Kula przeszła jego берет; było tyle krwi, że żołnierze sądzili, iż Howard odniósł śmiertelną ranę.

Kiedy tylko wieść o tym rozeszła się w plutonie Sweeney'a, zaczęto organizować patrole mające zlokalizować i zabić snajpera, który postrzelił

majora. Tappenden mówi: „Każdy żołnierz w kompanii podziwiał majora Howarda, który wymagał od innych tylko tego, czego wymagał od siebie; gotowi byliśmy skoczyć za nim w ogień. Uwielbialiśmy majora i chcieliśmy go pomścić". Na szczęście Howard odzyskał

przytomność po pół godzinie - kula go tylko drasnęła - i rozkazał

żołnierzom utrzymywać pozycje.

Wczesnym popołudniem Niemcy przystąpili do ataku i w pewnej chwili niemieckie czołgi odcięły pluton Hoopera od dwóch pozostałych. Z

dowództwa batalionu nadszedł rozkaz wycofania się do He-rouvillette.

„Nie mogliśmy się jakoś odczepić od Escoville" - przyznaje Parr. On oraz Bailey osłaniali odwrót. Kiedy dotarli do zamku, Parr zawołał do kapelana, który znajdował się tam z rannymi: „Uciekajmy.

Są tuż za nami". Kapelan odrzekł, że pozostanie z rannymi i pójdzie wraz z nimi do niewoli. Bailey i Parr wymienili spojrzenia. Potem skrzyknęli kilku żołnierzy, znaleźli coś, co mogło posłużyć za nosze i odnieśli rannych do Herouvillette. „Nie było daleko - wspomina Parr. - Nieco ponad kilometr. Kiedy tam dotarliśmy, wszędzie jak okiem sięgnąć byli nasi w okopach, zwrócenii w stronę, z której nadciągały Szkopy. Sierżant sztabowy z pułku chodził tuż przed nimi w tę i z powrotem i mówił grzmiącym głosem: «Dobra robota, chłopcy. Dobra robota. Czekaście tym razem, aż te dranie do nas podejda. Wykosimy ich. Jestem z was dumny. Dobra robota»".

Żołnierze leżeli na ziemi, niektórzy byli ranni, inni wstrząśnięci ostrzałem, wszyscy „porozbijani na kwaśne jabłko", z *Brenami* i zdobyczną niemiecką bronią, moździerzami i *Piatami*, a major chodził nadal, „klnąc na czym świat stoi i mówiąc, co zrobimy z tymi su-kinsynami".

Ta scena kojarzyć się może bardziej z I niż z II wojną światową. Gdy jednak Niemcy nadeszli, kompania D „wykosila ich" niczym podczas bitwy pod Mons. To była nowa rola kompanii. Szóstego czerwca wzięła udział w brawurowej operacji taktycznej, 7 czerwca walczyła jak zwykłe kompanie piechoty w I wojnie światowej.

Howard zorganizował nową kwaterę polową w Herouvillette. Kompania pozostała tam przez cztery dni, nękana nieustannym ostrzałem moździerzowym

i artyleryjskim,

sporadycznie odpierając ataki

niemieckich czołgów i piechoty. Pozostało jej już mniej niż pięćdziesięciu żołnierzy zdolnych do walki.

Kompania jeszcze dwukrotnie zmieniała miejsce postoju, by w końcu zająć pozycje obronne, które utrzymywała przez prawie dwa miesiące.

„Mogliśmy tylko co noc wysyłać patrole bojowe i chwytac jeńców" - powiedział Howard, który wychodził na taki zwiad. Pewnej nocy zabrał ze sobą Wally'ego Parra. Znaleźli się w okolicy, gdzie dopiero co rozegrała się bitwa pod Breville. Sceneria była makabryczna i kojarzyła się Howardowi z wizją pobojuwiska pod Verdim.

W blasku księżyca widać było porozrzucane zwłoki, głównie żołnierzy brytyjskiej 51 Dywizji, którzy zginęli od ognia artylerii. Howard i Parr natknęli się w jednym z okopów na grupę sześciu żołnierzy, którzy nadal siedzieli w kółku i trzymali karty do gry. Nie żyli, choć nie widać było na ich ciałach ran po kulach czy odłamkach.

Zdaniem Howarda w tym okresie „największy problem polegał

na podtrzymaniu morale żołnierzy. Wcześniej wszyscy byliśmy przekonani, że zostaniemy wycofani z Normandii i otrzymamy w Wielkiej Brytanii uzupełnienia, aby przygotować się do następnej operacji powietrznodesantowej". Tak jak piloci szybowców, którzy wrócili od razu do Anglii, gdzie szykowali się do kolejnych akcji.

Inny problem stanowił nieprzyjacielski ostrzał artyleryjski. „Chłopcy zaczęli uciekać na odgłos kanonady - mówił Howard. - Z początku wielu z nas brało to za przejaw tchórzostwa i potępialiśmy takie zachowanie. Pamiętam, że sam traktowałem taką ucieczkę bardzo ostro i bezwzględnie. Ale po pewnym czasie, kiedy zobaczyłem, że niektórzy z naszych najdzielniejszych ludzi też się kryją, zmieniłem zdanie.

To był po prostu rodzaj choroby. Żołnierze chowali się, wariowali podczas ostrzału i dostawali pietra w czasie ataków. Nie można ich było posyłać na patrole, nie nadawali się nawet do służby wartowniczej; pozostawało kierowanie ich na badanie lekarskie. Lekarz wojskowy po stwierdzeniu, że żołnierz nie symuluje, odsyłał go do domu jako niezdolnego do walki. Obserwowanie, jak w ten sposób odpadają dobrzy żołnierze było bardzo smutne”.

Jednak wydawało się, że sam Howard w pewnym momencie się załamał. Podczas D-Day i przez następne cztery dni prawie nie spał.

W miesiącu poprzedzającym D-Day znajdował się nieprzerwanie pod bardzo silną presją. Straty poniesione w Escoville i Herouvillette ostudziły jego zapał. „Czułem głębokie przygnębienie i pesymizm

- przyznał. - Byłem właściwie pewny, że aliancki przyczółek w Normandii załamie się w słabym punkcie, na lewym skrzydle. Kiedy jednak przełożony i lekarz szczerze ze mną porozmawiali i po cichu postraszyli ewakuacją do kraju, na szczęście otrząsnąłem się z tego.

To było straszne doświadczenie”.

Howard wyciągnął z tego naukę. Starał się wykorzystać wolne chwile na sen i dopilnowywał, aby dowódcy plutonów „w miarę moż-

liwości zapewniali wszystkim po kolei okresy odpoczynku, przeznaczonego na sen. Dotyczyło to zwłaszcza tych, którzy uczestniczyli w odpieraniu ataku albo przeszli ostrzał artyleryjski”.

Kolejnym problemem w kompanii D były przypadki zadawanych sobie ran, „postrzały nóg i stóp -jak mówił Howard - zwykle tłumaczone wypadkiem w trakcie czyszczenia broni. Bardzo trudno było udowodnić, że ktoś zrobił to celowo”. Zdaniem Howarda „podtrzymanie morale, kiedy straty są dotkliwe, jest zawsze niezwykle trudnym wyzwaniem dla dowódcy. ”Wysoka dyscyplina i duch bojowy są ważne, ale stwierdziłem, że dobrym lekarstwem jest nieustanne wynajdywanie żołnierzom zajęć. Trzeba ich wyznaczać do udziału w wypadach na pozycje wroga, ostrzeliwania nieprzyjaciela z broni snajperskiej, a przede wszystkim mieć na każdego oko. Liczy się też to, by przekazywać żołnierzom podczas regularnych odpraw uzyskiwane od zwierzchników informacje na temat przebiegu działań wojennych”.

Howard robił też to, co powinien każdy dobry dowódca kompanii.

Dbął, aby żołnierzom nie brakowało papierosów („wśród żołnierzy zdumiewająco nasiliło się

palenie tytoniu"), szczególnie po stoczony potyczce albo ostrzale artyleryjskim. Pilnował, by poczta docierała na czas („rzecz kluczowa dla podtrzymania dobrego morale”), i wysyłał nawet gońców do sztabu batalionu, jeśli uważał, że w ten sposób listy trafią choćby o parę minut szybciej do rąk jego ludzi. Ważny był też terminowy dowóz świeżego pieczywa. (Pierwsza dostawa świeżego pieczywa nadeszła dopiero w dwadzieścia pięć dni po D-Day.

„Zdumiewające, jak bardzo za nim tęskniliśmy”.) Czyszczenie broni przeobraziło się w coś w rodzaju rytuału. Rozpocząło się wcześniej rano, po zbiórce o brzasku, a potem ponownie po śniadaniu. Cała broń - pistolety i karabiny maszynowe, *Piaty*, moździerze, granaty, amunicja - była czyszczona, oliwiona, a następnie sprawdzana. W tym czasie już prawie wszyscy w kompanii mieli *Schmeissery*.

Howard nie zdołał nigdy przywyknąć do jednej rzeczy - bitewnego swądu: „Najgorszy odór wydzielają zwłoki, rozkładające się ciała. Zabitych żołnierzy wprawdzie grzebano, ale martwe zwierzęta po prostu gnily. W środku lata zrobiło się koszmarne. W zamku Saint Come znajdowała się stajnia pełna pięknych wyścigowych koni, które spłonęły uwięzione w środku. Przerazający, wyjątkowo mdlący odór roznosił się z tego miejsca na całą okolicę. W końcu jakoś się z nim uporaliśmy za pomocą wapna. Można sobie wyobrazić wielkie roje much, unoszące się nad tym pogorzeliem. No i jeszcze ten żrący swąd kordytu i materiałów wybuchowych po każdym bombardowaniu artyleryjskim. Utrzymywał się przez wiele dni. Od tego okropnego smrodu nie można się było uwolnić, a jeśli dodać jeszcze zrozumiałe niewygody, brak miejsc do mycia i sanitariatów, to miało się ochotę uciec tam, gdzie powietrze jest czyste, gdzie można się wykąpać w rozkosznie ciepłej wodzie, przebrać i położyć do łóżka zasłanego chłodną białą pościelą”.

A jednak najbardziej podkopywało morale dręczące każdego żołnierza pytanie: „Dlaczego się tak marnuje nasze siły? Z pewnością znajdują się inne mosty gdzieś pomiędzy tym miejscem a Berlinem, które trzeba uchwycić i nie dopuścić do ich zniszczenia”.

W istocie zagadką było to, że Ministerstwo Wojny tak beztrąsko mar-notrawiło siły kompanii D. Stanowiła ona przecież doborową formację, jedyną w swoim rodzaju w całej armii brytyjskiej. Na wyszkolenie wydano ogromne sumy. Ojej zaletach decydowały świetne umiejętności żołnierzy, doborowa kadra podoficerska i oficerska. Zdołała wejść do akcji błyskawicznie po twardym lądowaniu na pokładzie szybowca; wypełniała zadania z precyzją i zgraniem doskonale wytrenowanej drużyny piłkarskiej.

Była niezrównana w eliminowaniu z walki nieprzyjacielskich żołnierzy oraz czołgów przy użyciu broni ręcznej. Wykazała się wielką wytrzymałością.

Potrafiła przeprowadzić błyskawiczny szturm. Specjalizowała się w działaniach w nocy. Jej wyczyny zyskały uznanie: 16 lipca w Normandii marszałek polny Bernard Law Montgomery osobiście udekorował Johna Howarda Orderem za Wybitną Służbę (DSO).

A jednak dopuszczono, by kompania D wykrwawiła się niemal na śmierć w ogniu niemieckich dział, bez dobrojenia sprzętem do walki z pułkiem pancernym. Rany odnieśli Sweeney, Priday i Hooper; w sierpniu z pierwotnego składu jej kadry oficerskiej pozostał jedynie Howard. Kompania D utraciła

też wszystkich sierżantów. Rannego w nogę Thorntona ewakuowano, podobnie kaprala Parra.

Jedenaście dni po D-Day ponownie ranny został również Howard odłamkiem moździerzowego granatu, który trafił go w plecy.

Kierowca odwiózł majora na punkt sanitarny, gdzie chirurg wyjął

odłamek i nakazał Howardowi nie ruszać się przez pewien czas. Tymczasem nieprzyjaciel kontynuował ostrzał z moździerzy i wszyscy rozbiegli się w poszukiwaniu schronienia. Howard rozejrzał się wo-koło. Pozostał sam w sali zabiegowej. Zeskoczył ze stołu operacyjnego, nałożył koszulę, wojskową kurtkę i wyszedł na podjazd, gdzie ujrzał swojego kierowcę schowanego pod jeepem.

- Wracajmy do kompanii - powiedział do niego. - Tam jest spokojniej niż tutaj.

Howard powrócił na linię frontu, choć dokumenty wystawione przez lekarza wojskowego informowały, że został ewakuowany do Anglii. W konsekwencji odsyłano napływającą doń korespondencję.

Wcześniej codziennie dostawał listy od Joy, a teraz nagle się to urwało. W tym okresie na Anglię spadały rakiety V-1 i V-2, więc Howard zadręczał się myślami o losie żony i dzieci. To doświadczenie

- jak mówił - omal nie pozbawiło go zmysłów.

Joy, która otrzymała telegram z Ministerstwa Wojny, martwiła się jeszcze bardziej. Treść tego telegramu miała brzmieć: „Pani mąż odniósł ranę od moździerza [ang. *mortar*] i przebywa w szpitalu”, została jednak przeinaczona na: „Pani mąż odniósł śmiertelną [ang.

mortal] ranę i przebywa w szpitalu”. Roztrzęsiona Joy dowiedziała się w Ministerstwie Wojny, że powinna szukać małżonka w takim--

to-a-takim szpitalu. Zadzwoniła więc, lecz usłyszała, że John Howard nigdy tam nie trafił. Nikt nie wiedział, gdzie się znajduje. Przez dwa tygodnie John i Joy zamartwiali się, nim wreszcie nieporozumienie się wyjaśniło.

Sierżant Heinz Hickman ponownie miał okazję spotkać się w walce z kompanią D. Relacjonuje: „Dochodziło do walki wręcz, walki po-

śród ulicznych gruzów. Nie wiedziałeś, kto biegnie przed tobą, a kto z tyłu. Trudno było cokolwiek zobaczyć i wszyscy uciekliśmy. Za dnia zajmowaliśmy pozycję, nocą szliśmy albo w lewo, albo w prawo, albo też w tył. Miałem zatknietą za pasem mapę. Nic mi jednak ona nie dawała, bo i tak nie wiedziałem, gdzie jestem. Tak więc szło się dwa kilometry w lewo, dwa kilometry w prawo, trzy kilometry naprzód albo z powrotem. Wszędzie snuł się dym, unosił się odór. Codziennie liczyłem swoich żołnierzy; w jednej drużynie pozostało dwóch, w drugiej trzech. Byłem dowódcą plutonu, a miałem pod komendą zaledwie pięciu ludzi”.

Drugiego września, podczas próby przepłynięcia rzeki Orne, Hick-man został ranny, dostał się do niewoli i po przesłuchaniu trafił do obozu jenieckiego w Anglii.

Von Luckowi także nie sprzyjało szczęście. Co dwa lub trzy dni przeprowadzał ataki z użyciem wozów pancernych. Jednak kiedy tylko jego czołgi wyruszały, aliancy obserwatorzy w balonach natychmiast przekazywali przez radio informację okrętom na przybrzeżnych wodach oraz samolotom w powietrzu i „Bum!” - na niemieckie czołgi spadały pociski artylerii pokładowej albo pikujące *Spitfire'y*.

Osiemnastego lipca von Luck przeżył najcięższe bombardowanie w życiu, przeprowadzone przez bombowce, okręty wojenne i artylerię polową.

„Monty” rozpoczął operację „Goodwood”, w wyniku której miał przebić się przez niemieckie linie, zdobyć Caen i ruszyć na Paryż. Gdy ostrzał nieco zelżał, von Luck wyruszył motocyklem na pierwszą linię. Przybył na stanowisko baterii armat 88 mm, wycelowanych w niebo i jeszcze dymiących, dowodzonej przez majora Luftwaffe. Po prawej, w odległości niespełna kilometra, dostrzegł 25 brytyjskich czołgów z Dywizji Pancerniej Gwardii, które posuwały się naprzód. Wskazał je dowódcy baterii i powiedział:

- Majorze, proszę opuścić lufy dział i zniszczyć te czołgi.

Major odmówił. Stwierdził, że jest oficerem Luftwaffe, nie ponosi odpowiedzialności za działania wojsk lądowych; ma strzelać do bombowców, a nie do czołgów. Von Luck powtórzył rozkaz. W odpowiedzi usłyszał to samo.

Wtedy wyciągnął pistolet, wymierzył między oczy majora z odległości kilkunastu centymetrów i oznajmił:

- Majorze, za chwilę albo pan zginie, albo zdobędzie order.

Major polecił obniżyć lufy swoich czterech dział i otworzyć ogień i w ciągu paru minut unieruchomił dwadzieścia pięć brytyjskich czołgów.

Wkrótce potem „Monty” odwołał operację „Goodwood”.

Pod koniec sierpnia niemiecka 21 Dywizja Pancerna została wycofana z Normandii. Von Lucka i jego żołnierzy wysłano w dolinę Rodanu, by stawili czoła zagrożeniu ze strony wojsk inwazyjnych w południowej Francji.

Szeregowi Romer i Bąk *znaleźli* się w alianckiej niewoli.

*

*

*

Na początku września Brytyjczycy przełamali front. Niemcy rzucili się do ucieczki, a wojska brytyjskie deptały im po piętach. Kompania D wzięła udział w tym pościgu. Dotarła do jednej z wsi nad Sekwaną, gdzie Howard zorganizował swoją kwaterę w miejscowej szkole. Dyrektor tejże szkoły przyszedł się z nim zobaczyć i oświadczył, że chciałby jakoś okazać wdzięczność z powodu oswobodzenia.

- Nie posiadam jednak nic wartościowego, co mógłbym panu dać

- wyznał Howardowi. - Wszystko, co cenne, zabrali Niemcy przed swoim odejściem, nawet wózki mleczarskie i podobne rzeczy. Mogę panu ofiarować jedynie swoją córkę.

Wtedy wprowadził osiemnastoletnią dziewczynę. „To było takie żałosne” - wspomina Howard. Co jeszcze smutniejsze, gdy odmó-

wił, dyrektor zaprowadził córkę do żołnierzy, którzy nie omieszkali przyjąć „podarunku”.

Nazajutrz Howard znalazł się w innej wsi, nad samą Sekwaną,

„i tam zobaczyliśmy wszystkie te dziewczęta z obciętymi włosami, przywiązane do latarni. Naprawdę przygnębiający widok”. Zastanawiał się, czy podobne upokorzenie spotkało przyjaźnie usposobione dziwki z Benouville, które skłonne były dogadzać brytyjskim żołnierzom tak samo, jak wcześniej Niemcom. A co z młodymi matkami ze szpitala położniczego? Czyje dzieci rodziły, skoro wszyscy sprawni Francuzi zostali wywiezieni do przymusowych robót albo siedzieli w niemieckich obozach jenieckich?

Howard uważał za niesprawiedliwe to, że Francuzi wyładowywali całą frustrację na tej jednej grupie. Ci, którzy mieli najwięcej na su-mieniu, uczestniczyli w obcinaniu włosów byłym kochankom Niemców ze szczególną gorliwością.

Piątego września, po dziewięćdziesięciu jeden dniach nieprzerwanych walk, kompania D została wycofana z linii frontu. Przewieziona ciężarówkami do Arromanches, znalazła się na sztucznej przystani Mulberry, skąd po zaokrętowaniu odpłynęła do Portsmouth. Stamtąd wyruszyła pociągiem do Bulford, gdzie żołnierze kompanii wrócili do swoich dawnych koszar. Howard był jedynym oficerem spośród tych, którzy podczas D-Day uczestniczyli w desancie i szturmie na mosty i pozostali w kompanii. Nie przeżył żaden z sierżantów i tylko nieliczni kaprale. Od D-Day stan liczebny kompanii D obniżył się ze 181 do 40 ludzi.

D-DAY

Trzy miesiące po i pięćdziesiąt lat później

Po nocy w Bulford żołnierze kompanii otrzymali urlopy. Howard pojechał do Oksfordu, gdzie radośnie powitała go rodzina. Rankiem 17

września „wstałem i zobaczyłem te wszystkie samoloty z szybowcami i, rzecz jasna, zorientowałem się, że coś się dzieje”. Samoloty zmierzały w kierunku Arnhem. Howard domyślał się, iż jest tam Jim Wallwork i inni piloci szybowcowi, z którymi się poznał „i w duchu życzyłem staremu Jimowi powodzenia”.

Howard nie wiedział jednak o tym, że nad Holandię wyruszył w jednym z oddziałów spadochroniarzy także sierżant Thornton, który został ewakuowany z Normandii, ale szybko się wylizał z ran. Potem, zamiast wyczekiwać na ponowny przydział do kompanii D, załatwił sobie przeniesienie do 1 Dywizji Powietrznodesantowej, przeszedł szkolenie spadochronowe i trafił do 2 batalionu pułkownika Johna Frosta. Przez cztery dni walczył u boku Frosta na moście w Arnhem i wraz ze swoim pułkownikiem poszedł do niewoli. Kiedy po latach powiedziałem mu, że jest prawdopodobnie jedynym człowiekiem, który wziął udział w zmaganiach o obydwa sławne mosty, Thornton z typową dla siebie skromnością stwierdził, iż pewnie są i inni.

Żaden z szybowców nie przewoził grup szturmowych do nagłego ataku na mosty w Arnhem i Nijmegen. Wydaje się, że gdyby kompania D była w owym czasie do dyspozycji, ktoś pomyślałby o jej wykorzystaniu.

Spekulacje, czego kompania Howarda mogłaby dokonać w Arnhem i Nijmegen, należą do najbardziej intrygujących pytań z cyklu „co by było gdyby”, dotyczących II wojny światowej. Jeśliby most w Nijmegen

został

opanowany

nagłym

szturmem,

amerykańscy

spadochroniarze nie musieliby toczyć o niego rozpaczliwych walk.

Mogliby wówczas zorganizować okrężną obronę, a część swoich sił

odesłać na pomoc jednostkom walczącym w Arnhem. W samym Arnhem Frost, dysponując desantem

szybowcowym, byłby w stanie utrzymać oba brzegi.

Tak się jednak nie stało. W szybowcach transportowych przelatujących nad głową Howarda zabrakło grup szturmowych. Howard obserwował, jak powietrzna armada wyrównuje szyki i kieruje się na wschód. I ponownie życzył jej szczęścia.

Pod koniec września 1944 roku, dziesięć dni po Arnhem, Howard z powrotem zameldował się w Bulford. Przystąpił do odtwarzania kompanii D. Uzupełniono jej stan osobowy, a zadanie Howarda polegało na uczynieniu z rekrutów prawdziwych żołnierzy wojsk powietrznodesantowych. Zaczął od podstaw - zaprawy fizycznej i nauki posługiwania się bronią. W połowie listopada mógł już zabrać swoich nowych podopiecznych na ćwiczenia w walkach ulicznych. Wybrał w tym celu pewną okolicę w Birmingham, zadbał o kwatery i wrócił do Bulford.

W poniedziałek 13 listopada Howard postanowił spędzić noc w domu, z Joy; Oksford znajduje się pomiędzy Birmingham a Bulford. W

podróż zabrał dwóch innych oksfordczyków, kaprała Stocka oraz swojego nowego zastępcę, kapitana Osborne'a. Choć Stock był jego służbowym kierowcą, to jednak Howard sam usiadł za kierownicą, gdyż Stock jego zdaniem jeździł nie dość szybko.

Około 17.30, gdy zaczynało się ściemniać, napotkali na wąskiej, krętej drodze konwój amerykańskich ciężarówek. Zupełnie niespodziewanie Howard ujrzał tuż przed sobą sześciotonową ciężarówkę. „Najwyraźniej wypadła z konwoju i wyprzedzała, by zająć z powrotem miejsce w kolumnie. To się wydarzyło tak szybko”.

Doszło do czołowego zderzenia. Howard miał złamane obie nogi, prawe biodro i zmiażdżone lewe kolano. Stock i Osborne wyszli z wypadku z lżejszymi obrażeniami.

Howarda zabrano do szpitala w Tidworth, gdzie przez trzy tygodnie był poddawany intensywnej terapii. Codziennie odwiedzała go Joy. W

grudniu, wykorzystując znajomości w oksfordzkiej policji, Howard załatwił sobie przeniesienie do szpitala w Oksfordzie. I pozostał

tam do marca 1945 roku.

Tymczasem kompania D wzięła udział w powstrzymaniu i odparciu niemieckiej kontrofensywy w Ardenach, następnie uczestniczyła w zdobywaniu przepraw na Renie i w natarciu w kierunku Bałtyku. Piloci szybowców walczyli pod Arnhem, a potem również brali udział w forsowaniu Renu.

Kiedy Howarda wypisano ze szpitala, wciąż poruszał się o kulach. Do czasu, gdy zakończyła się jego rekonwalescencja, dobiegła też końca wojna w Europie. Kiedy jednak stawił się w macierzystej jednostce, dowiedział się, że jego pułk Ox i Bucks posłano na Daleki Wschód, na kolejną operację desantową z udziałem szybowców. Dowódca batalionu zapytał Howarda, kiedy powróci on do pełni sił. Wyglądało na to, że zwierzchnicy chcieli awansować go na zastępcę dowódcy batalionu.

Howard zaczął ćwiczyć na bieżni w pobliżu swojego domu. Jednakże już na drugi dzień doszło do

uszkodzenia prawego stawu biodrowego, a prawonoga odmówiła posłuszeństwa. Okazało się, że uraz nie był jeszcze należycie wyleczony i wskutek ćwiczeń uległy uszkodzeniu nerwy w prawej kończynie. Wrócił do szpitala, gdzie przeszedł kolejną operację.

Tymczasem wojna w Azji się zakończyła.

Chciał pozostać w siłach zbrojnych i kontynuować karierę oficerską, ale

„wykopali mnie z armii jako niezdolnego do służby. Zwyczajnie im nie pasowałem”.

Howard podjął więc pracę urzędnika, najpierw w Narodowym Komitecie Oszczędnościowym, a następnie w Ministerstwie Żywności. W 1946 roku został przyjęty na audiencji u króla w Pałacu Buckingham. Szóstego czerwca 1954 roku, w dziesiątą rocznicę desantu w Normandii, dostał od władz francuskich odznaczenie *Croix de Guerre*. Most na kanale, o który walczył, otrzymał oficjalną nazwę mostu Pe-gasus. Później drogę przebiegającą opodal mostów na kanale i rzece nazwano Esplanadą majora Johna Howarda.

Howard został konsultantem Darryla Zanucka przy produkcji filmu *Najdłuższy Dzień*. Postać majora, którego grał Richard Todd, była w filmie jedną z pierwszoplanowych, co oczywiście go radowało. Mniej zachwyciła Howarda skłonność Zanucka do sztucznego dramatyzowania autentycznych wydarzeń. Reżyser uparł się bowiem, żeby w filmie most był zaminowany i postawił na swoim - w jednej ze scen filmu saperzy usuwają spod mostu ładunki wybuchowe i wyrzucają je do kanału.

W 1974 roku Howard odszedł na emeryturę. Wraz z Joy zamieszkał

w niedużym, lecz wygodnym domu we wsi Burcot, oddalonej o około 10 kilometrów od Oksfordu. Terry i Penny mieszkali na tyle blisko, by dziadkowie mogli często składać odwiedziny swoim wnukom. W podeszłym wieku Howardowie nie podróżowali zbyt wiele, ale John niemal co roku 6 czerwca wracał na most Pegasus. Jego prawa noga nie była w pełni sprawna i dolegał mu silny ból, gdy poruszał się o lasce, widok mostu jednak dodawał mu energii; witał się wtedy z panią Gondree i rozmawiał ze swoimi dawnymi żołnierzami, którzy dotarli w miejsce walk na kolejną rocznicę. Zwykle zjawiali się tam Sweeney i Bailey, czasami Wood, Parr i Gray i zawsze jeszcze kilku innych.

Von Luck przez resztę jesieni 1944 roku prowadził boje z francuską dywizją pancerną generała Leclerca. W połowie grudnia brał udział

w zmaganiach na południowym skrzydle niemieckich sił, które podjęły kontrofensywę w Ardenach. Zdumiało go, jak bardzo okrzepli w walkach Amerykanie od lutego 1943 roku, kiedy to po raz pierwszy starł się z nimi na przełęczy Kasserine (w Afryce Północnej).

Wiosną 1945 roku 21 Dywizja Pancerna wyruszyła na front wschodni, by powstrzymać marsz Armii Czerwonej na Berlin. Pod koniec kwietnia dywizja znalazła się w okrążeniu; von Luck rozkazał dokonać wyłomu w radzieckich liniach i utrzymać go na tyle długo, by niemiecka 9 Armia mogła się poddać Amerykanom. Przed uderzeniem na Rosjan von Luck zebrał ocalałych żołnierzy ze swojego pułku i powiedział do nich:

- Sądzę, że nadchodzi już koniec. Zapomnijcie o Tysiącletniej Rze szy. Zapytacie: „w takim razie, o co więc mamy jeszcze walczyć?”

Odpowiem: tylko o jedno, o wasze rodziny, waszą ziemię, waszą ojczyznę. Myślcie zawsze, co się stanie, kiedy Rosjanie dopadną wasze żony, wasze córki, wasze wsie, nasz kraj.

Jego żołnierze walczyli aż do wyczerpania amunicji. Von Luck oznajmił wówczas:

- Wszystko skończone. Każdy może iść tam, gdzie chce.

Sam zamierzał się stawić u dowódcy 9 Armii, lecz został schwytyany przez Rosjan. Trafił do obozu jenieckiego na Kaukazie, gdzie przez pięć lat pracował w kopalni węgla. W 1951 roku powrócił do Hamburga i stał się dobrze prosperującym importerem kawy.

Począwszy od połowy lat siedemdziesiątych, szwedzka akademie wojskowa zapraszała von Lucka i Howarda na wspólne wykłady na temat dowodzenia. Obaj od razu się polubili i stali się dobrymi przyjaciółmi.

„Zakopaliśmy już topór wojenny”, skomentował Howard.

Sierżant Heinz Hickman spędził resztę wojny w obozie jenieckim w Anglii. Spodobało mu się w tym kraju tak bardzo, że gdy przewieziono go z powrotem do Niemiec, wystarał się o brytyjską wizę. W rezultacie wyemigrował do Anglii, dostał tam pracę, poślubił miejscową dziewczynę i osiadł na stałe.

Pewnego dnia na początku lat sześćdziesiątych jeden z jego znajomych z pracy powiedział mu, że tego wieczoru odbywa się zjazd spadochroniarzy, więc może zechce wziąć w nim udział. Tam właśnie Hickman zobaczył

Billy'ego Graya, człowieka, który 6 czerwca 1944 dwadzieścia minut po północy stał przed kawiarnią na szeroko rozstawionych nogach i strzelał z broni automatycznej.

Naturalnie Hickman nie poznał Graya. Kiedy jednak ten wyciągnął

kilka fotografii mostu Pegasus i zaczął wspominać nocny szturm, zerknął

na zdjęcia.

- Znam ten most - powiedział. - To most na kanale Orne. Także zostali przyjaciółmi, z upływem lat - bliskimi. Oni też „zakopali topór wojenny.”

Generał Nigel Poett, komandor Orderu Łąźni, odznaczony Orderem za Wybitną Służbę, ma za sobą znakomitą karierę wojskową. Po przejściu w stan spoczynku zamieszkał w pobliżu Salisbury. Major Nigel Taylor pracował

jako radca prawny i osiedlił się koło Malvern. Richard Todd zajął się na nowo aktorstwem i odniósł znaczne sukcesy. (Kiedy z nim rozmawiałem, brał udział w zdjęciach do filmu *The Business of*

Murder w Mayfair).

Major Dennis Fox pozostał w wojsku przez dziesięć lat po wojnie, a następnie objął kierownicze stanowisko w ITV. Pułkownik H.J.

Sweeney także pozostał w siłach zbrojnych i służył w nich do pięćdziesiątego piątego roku życia. Potem „Tod”

był dyrektorem Domu Weteranów w Battersea opodal starego Wind-soru, a także prezesem związku weteranów pułku Ox i Bucks.

Major R.A.A. Smith objął stanowisko dyrektora oddziałów Shel-la i BP w Indiach. Po przejściu na emeryturę, „Sandy” zamieszkał

w Chedworth i organizował wycieczki po Indiach. David Wood w wojsku dosłużył się stopnia pułkownika. Zajmował się organizowaniem wyjazdów w okolicę mostu Pegasus, podczas których Howard i Taylor opowiadali o dawnych wydarzeniach. Po odejściu w stan spoczynku David zamieszkał w wiejskim domu w Devon.

Sierżant sztabowy Oliver Boland na emeryturze osiadł w pobliżu Stratford nad Avonem. Jack Bailey pozostał w armii i dosłużył się stopnia starszego sierżanta. Później Jack zajął ważne stanowisko w jednej z londyńskich firm i zamieszkał w Catford, po sąsiedzku z Wallym Parrem. Dr John Vaughan podjął praktykę lekarską w Devon.

Sierżant sztabowy Jim Wallwork przez pierwszych dziesięć lat po wojnie pracował jako komiwojażer. W roku 1956 wyemigrował do Brytyjskiej Kolumbii (w Kanadzie), gdzie zajął się hodowlą na farmie u podnóża gór, na wschód od Vancouver. Z domu Jima rozciąga się wspaniały widok na dolinę - podobny do tego, który miał przed oczami jako pilot szybowca, kiedy podchodził do lądowania w Normandii.

Kapral Wally Parr chciał pozostać w wojsku, jednak z uwagi na żonę i dzieci zdecydował się na zdjęcie munduru. Powrócił do Catford, gdzie zamieszkał z Irene i prowadził rodzinny interes - firmę zajmującą się myciem okien - wraz z jednym synów, podczas gdy drugi syn poświęcił się muzyce.

Wagger Thornton w chwili wydania tej książki pędził wraz z żoną spokojne życie emeryta w południowym Londynie. Jego dzieci skoń-

czyły uniwersytet, zdobyły stopnie naukowe i kontynuują błyskotliwe kariery. Korzystają z wolności, którą ich ojciec pomógł ocalić, gdy wystrzelił ze swojego *Piata* 6 czerwca 1944 o godzinie 1.00 w nocy. (Thornton jeszcze długo po wojnie przeklinał tę broń jako „kupę złomu”).

Z tego, co wiadomo, nie zachował się żaden zdolny do lotu szybowiec transportowy typu *Horsa*. Zanuck zdobył plany tej konstrukcji i polecił zbudować kopię *Horsy* na użytek filmu *Najdłuższy dzień*. Brytyjskie Ministerstwo Lotnictwa oceniło, że szybowiec posiada wady konstrukcyjne, nie nadaje się do wykorzystania, w związku z czym Zanuck nie uzyskał zgody na przelot repliką szybowca nad kanałem La Manche.

Reżyser był zmuszony rozłożyć *Horsę*, przewieźć ją na pokładzie statku do Francji i tam złożyć na nowo.

Makieta mostu i otaczającej go okolicy, ta sama, którą Howard i jego żołnierze studiowali tak pilnie w Tarrent Rushton, znajduje się w Muzeum Wojsk Powietrznodesantowych w Aldershot.

W Benouville pojawiło się kilka nowych domów, ale zasadniczo miejscowość nie zmieniła się specjalnie od 6 czerwca 1944 roku. To samo można powiedzieć o Ranville, gdzie pochowano pod drzewem na brytyjskim cmentarzu wojskowym Dena Brotheridge'a.

Stoi też kawiarnia Gondree'ów, tyle że na ścianach we wnętrzu pojawiły się wizerunki Johna Howarda, Jima Wallworka, Nigela Tay-lora i innych, którzy wyzwolali Francję, i samych Gondree'ów.

Przez następne czterdzieści lat pani Gondree kierowała swoją niewielką kawiarenką z imponującym rozmachem. Co roku 6 czerwca promieniała ze szczęścia, kiedy w otoczeniu starych znajomych z kompanii D i 7 batalionu wspominała wielki dzień sprzed lat. Jej mąż, Georges, zaprzyjaźnił się z wieloma Brytyjczykami, zwłaszcza z Howardem. Każdego roku polował na kaczki z Jackiem Baileyem.

Kiedy rozmawiałem z panią Gondree, poprosiłem ją, ażeby opisała życie podczas okupacji. Dała wtedy upust swej nienawiści do Niemców. Wywieźli wszystkich młodych mężczyzn. Zabierali najlepsze jedzenie i napoje.

Rozstrzelili ludzi. Wszyscy musieli dla nich pracować. Aresztowali bez powodu. A ponieważ sami Gondree'owie mieli jednak powody, by obawiać się aresztowania, żyli w strachu. Pani Gondree stwierdziła, że najgorsza była konieczność obsługiwania okupantów.

Nadal nie znosiła Niemców i nie chciała ich wpuszczać do swojej kafejki. Kiedy Zanuck realizował *Najdłuższy dzień*, planował nakręcić scenę, w której na poły odziani niemieccy żołnierze wyskakują przez okna kawiarni, podczas gdy kompania D szturmuje most. *Madame* Gondree krzyczała, wymachując rękami i wołając *Mon Dieu! Mon Dieu!*

Oświadczyła Zanuckowi, że nigdy, przenigdy nie pozwalała Niemcom spać w swoim domu i że zdecydowanie trzeba wykreślić tę scenę ze scenariusza. I z tej sceny zrezygnowano.

Kiedy Howard przyjeżdżał do Benouville w latach siedemdziesiątych i we wczesnych osiemdziesiątych, czasami przywoził ze sobą Hansa von Lucka. Howard powiedział pani Gondree, że von Luck może przypomina Niemca, ale w istocie to Szwed. *Madame* Gondree nie cierpiała poza Niemcami również komunistów, a zwłaszcza francuskich komunistów.

Wychowała córki, doczekała się wnucząt i miała wielu przyjaciół.

Tuż przed uroczystościami z okazji czterdziestej rocznicy desantu pani Gondree zachorowała. Reporterzy i ekipy telewizyjne tak często ją odwiedzali w tym czasie, że musiała wywiesić na drzwiach kawiarni tabliczkę „Żadnych reporterów, żadnych wywiadów”. Choroba przykuła ją do

łóżka.

Mimo to zebrała siły i w rocznicę D-Day wzięła udział w nabożeństwie na cmentarzu w Ranville. Wsparta na ramieniu Johna Howarda, podpierając się laską, stała z dumnie uniesioną głową. Przedstawiono ją księciu Karolowi, który rozmawiał z nią po francusku; poznał przy tej okazji córki Gondree'ów - Georgette i Arlette. Potem książę Karol zwrócił się do Howarda i wykrzyknął: „Och, o panu wiem wszystko”. Howard przedstawił

kilku ze swoich pilotów, w tym Wallworka, Bolanda oraz Geoffa Barkwaya z szybowca nr 3. Brytyjski następca tronu słyszał o nich również i rozmawiał z nimi o szybowcach *Horsa*.

Dla pani Gondree, ochrzczonej przez brytyjską prasę mianem „matki chrzestnej 6 Dywizji Powietrznodesantowej”, to przeżycie i związane z nim emocje okazały się zbyt mocne. Po zakończeniu uroczystości wróciła do łóżka.

O północy Howard przyszedł na most z dwudziestoma ocalałymi z kompanii D - wśród nich byli m.in. Jack Bailey, Wally Parr, Paddy O'Donnell, Jim Wallwork, David Wood, Oliver Boland, Sandy Smith, John Vaughan, Tod Sweeney i Wagger Thornton. W czasie wcześniejszych zlotów w rocznicę 6 czerwca pani Gondree wynosiła o godzinie 0.16 szampana, ale w 1984 roku już nie była w stanie tego zrobić. Zastąpiły ją córki Georgette i Arlette, a także córka Howarda, Penny. Dokładnie szesnaście minut po północy wystrzeliły korki. Przyjęcie skończyło się po 3.00 nad ranem.

Następnego poranka młode panie Gondree oraz Howard chcieli zawieźć *madame* do szpitala, ta jednak nie chciała o tym słyszeć, dopóki Howard i pozostali weterani brytyjskich wojsk powietrznodesantowych przebywali w Normandii. W godzinę po tym, jak John Howard odjechał

na prom, 8 czerwca, zgodziła się wreszcie na szpital. Zmarła tam 2 lipca 1984 roku.

*

*

*

Kanał poszerzono o metr do półtora, nie ma już wieży ciśnień. Zamek stoi tak jak dawniej. Bunkier z karabinem maszynowym, którego załogę Jack Bailey podczas D-Day wyeliminował z walki, a w którym nieco później John Howard założył stanowisko dowodzenia, stanowi obecnie fundament domu zamieszkałego przez człowieka operującego obrotowym mostem.

Działo przeciwpancerne, z którego strzelał Wally Parr, zachowano na pamiątkę wraz ze stanowiskiem. Trzema głazami oznakowano miejsca, w których wylądowały trzy pierwsze szybowce desantowe.

Lata osiemdziesiąte i dziewięćdziesiąte

Czterdziestej rocznicy opanowania mostu Pegasus towarzyszył znaczny rozgłos. Zjechały ekipy telewizyjne, reporterzy radiowi i prasowi oraz setki gości z Francji, Wielkiej Brytanii i Ameryki. Do roku 1984 w rocznicę odbywał się skromny zlot, w którym brali udział weterani, członkowie ich rodzin oraz Gondree'owie. Od 1984 roku 6 czerwca na moście zaczęły pojawiać się tłumy. John Howard powiada: „Weterani i rodzina Gondree'ów żałują teraz, że ta rocznica straciła swój prywatny charakter i stała się wydarzeniem publicznym”.

W 1986 roku obszar pomiędzy lądowiskiem szybowców a kanałem nazwano Esplanadą majora Johna Howarda. W 1987 władze francuskie uznały kawiarnię i dom Gondree'ów za *Monument Historique*, gdyż był

to pierwszy wyzwolony we Francji budynek mieszkalny. Jednakże w tym samym roku zaczęły krążyć pogłoski, że Francuzi postanowili zastąpić most Pegasus innym, większym. Okazało się, że kierownictwo portu w Caen chciało, aby kanałem mogły wpływać większe statki.

Zgodnie z tymi planami nowy most miał stać nieco dalej na południe niż dotychczasowy (bliżej kawiarni). Brytyjscy weterani wraz z córkami Gondree'ów zgłosili stanowczy protest.

Inicjatywę wzięł w swoje ręce major Howard. Po oznaczeniu na czerwono linii, wzdłuż której miała przebiegać nowa szosa (zaledwie kilka metrów przed frontem kawiarni), zrobił zdjęcia i pokazał je prefektowi Caen. Argumentował, że ruchliwa droga tuż obok kawiarni osłabi i poważnie zniszczy strukturę owego *Monument Historique*.

Prefekt zarządził więc sporządzenie nowych planów. Howard z zadowoleniem stwierdził, że nowy most stanie dokładnie w miejscu starego, a wytyczona szosa będzie biegła zaledwie o kilka centymetrów bliżej kawiarni. Most ten miał być zwodzony, podobnie jak stary.

Howardowi obiecano również, że budowa rozpocznie się dopiero po pięćdziesiątej rocznicy D-Day.

W 1988 Howarda udekorowano szczególnym odznaczeniem.

Stowarzyszenie Weteranów Normandii wybiło ograniczoną liczbę numerowanych medali, którymi honorowano weteranów kampanii normandzkiej. Howard dowiedział się, że członkowie komitetu tegoż stowarzyszenia na swoim spotkaniu jednogłośnie uznali, iż medal o numerze „1944” powinien otrzymać właśnie on, Howard, a oficjalne uzasadnienie brzmiało: „Dla pierwszego brytyjskiego dowódcy, który wszedł do akcji przeciwko nieprzyjacielowi na ziemi francuskiej podczas inwazji w Normandii”.

W czterdziestą piątą rocznicę desantu mer Ranville odsłonił tablicę upamiętniającą zdobycie tamtejszego mostu na rzece przez dwa plutony brytyjskiego oddziału szturmowego. Most otrzymał nazwę „Horsa”. Na uroczystości stawili się weterani z pułku Ox i Bucks, a także, pomimo zimnego i przenikliwego deszczu, spory tłum ciekawskich.

W 1991 roku francuska biurokracja ponownie się odezwała. Lokalne władze ogłosiły w prasie zamiar przeniesienia mostu Pegasus do Muzeum Pokoju w Caen. Howard oraz wszyscy weterani 6 Dywizji Powietrznodesantowej zgłosili ostry protest, który skłonił Francuzów do -

być może tylko przejściowego - zaniechania tych planów. Dopóki jednak brytyjscy weterani uparcie trwają przy swoim, most pozostanie na dotychczasowym miejscu.

Wszystkie wydarzenia związane z mostem Pegasus były relacjonowane przez brytyjską prasę, która zresztą nie omieszkała poinformować o sporze pomiędzy siostrami Gondree o prawo własności do kawiarni.

Rozgłos nadany mostowi zaowocował pewnymi korzyściami. John Howard zaczął dostawać stopy listów od wielbicieli. Odpowiadał na każdy z nich, podpisując je hasłem „*Ham and Jam. John*”. Szczególną satysfakcję sprawiała mu korespondowanie z młodymi oficerami z całego świata.

W połowie lat osiemdziesiątych pewien niemiecki nastolatek, Frank Montag, przeczytał pierwsze wydanie tej książki i przedstawiła w niej historia tak go pochłonęła, że przez kolejne dwa lata budował plastyczny model, na którym przedstawił całą akcję. Aby wiernie odtworzyć każdy szczegół, często konsultował się z majorem Howardem i szeregowym Romerem. W 1988 roku gotowy model ofiarował Muzeum Wojsk Powietrznodesantowych w Aldershot, gdzie do dziś się znajduje. Na tym modelu utrwalony został moment, kiedy w kilka minut po desancie pluton nr 1 przekracza most. To małe dzie-

ło sztuki podziwiała wielu weteranów sił powietrznodesantowych.

Siódmego czerwca 1986 roku doszło na moście do spotkania by-

łego niemieckiego wartownika Helmuta Romera oraz drugiego z wartowników, Erwina, z Johnem Howardem. Howard zanotował

opowiedzianą przez nich historię, by następnie opisać ją, używając trzeciej osoby. Jest to fascynujący opis szturm na most przedstawiony z odmiennej perspektywy; posłużył on do wprowadzenia pewnych poprawek do pierwszej edycji niniejszej książki.

Zgodnie z zapisaną przez Howarda relacją, Romer oraz jego przyjaciel Erwin zostali w 1943 roku w wieku siedemnastu lat powo-

łani do Wehrmachtu. To oni właśnie pełnili straż na moście w nocy z 5 na 6 czerwca 1944. Mieli obowiązek zatrzymywać wszystkich przechodzących przez most, pytać, dokąd idą, sprawdzać ich dokumenty itd. Ponieważ obowiązywała godzina policyjna, późnym wieczorem i nocą najczęściej nie mieli nic do roboty. „To nie było ekscytujące zajęcie - Romer powiedział Howardowi - zawsze jednak lepsze od walczenia w Rosji albo we Włoszech”.

Romer stał się naocznym świadkiem lądowania szybowca Jima Wallworka. Oto jak odtworzył jego powieść Howard: „Niemcy usłyszeli dziwny «świszczący» dźwięk i nagle ujrzeli duży, bezgłośny statek powietrzny nadlatujący nisko od południa, wzdłuż kanału, w kierunku mostu i usłyszeli trzask

na poletku znajdującym się w pobliżu, około pięćdziesięciu metrów na południowy zachód od mostu. Doszli po wniosku, że to zestrzelony bombowiec i zaczęli się naradzać, czy powinni sami iść i sprawdzić miejsce katastrofy, czy też obudzić sierżanta, który spał w schronie obok bunkra".

Dalej Howard opisuje, że kiedy tak radzili, „niespodziewanie dostrzegli przed sobą grupę dziwnie wyglądających kilkunastu ludzi, którzy zmierzali w ich stronę z pistoletami i karabinami. Mieli uczernione twarze, mundury w maskujące cętki i najwyraźniej nieprzyjazne zamiary.

Ale, o dziwo, nie strzelali".

Romer i Erwin rzucili się do ucieczki. „Ostatecznie byliśmy tylko osiemnastoletnimi chłopakami - mówi Romer - a tamtych było znacznie więcej". Obaj Niemcy uskoczyli na pobocze drogi, „a potem uciekali co sił

w nogach. Dołączył do nich inny z żołnierzy, pewien Polak, który, tak jak oni, chciał ocalić życie".

Przebiegli ze sto metrów, a następnie schowali się w gęstych zaroślach.

„Wokół mostu rozpoczęła się strzelanina, zanim jeszcze dobiegli do krzaków. Widzieli pociski smugowe przelatujące z gwizdem we wszystkich kierunkach. Było jasne, że nieprzyjaciel wypiera resztę niemieckiej załogi. Romer i jego dwaj towarzysze weszli głębiej w krzewy, bardzo wystraszeni".

Pozostali w ukryciu przez cały dzień, obserwując stamtąd rozgrywającą się batalię - sierżanta Thorntona niszczącego czołg, przybycie komandosów i inne wydarzenia. Nie ruszyli się też przez następną noc i część kolejnego dnia. Wreszcie głód i pragnienie zmusiły ich do poddania się. „Niepewnie, z podniesionymi rękami podeszli do mostu i byli mile zaskoczeni, że Brytyjczycy do nich nie strzelają. Wiedzieli, że dla nich wojna już się skończyła, co ich wcale nie smuciło. Przewieziono ich jako jeńców do Anglii, a potem do Kanady, którą Romer uznał za «raj na ziemi»".

Relacja Howarda kończy się następująco: „Romer i Erwin zaprowadzili Howarda do miejsca, w którym pełnili wartę w czerwcu 1944, wskazali ślady po pociskach na stalowych przesłach mostu, rezultat nalotu sprzed zaledwie paru dni przed D-Day. Potem powoli odtworzyli drogę swojej ucieczki i pokazali, gdzie przeleżeli w ukryciu w krzakach ponad trzydzieści sześć godzin".

W efekcie rozmów z pilotami szybowców Howard wprowadził kolejne bardzo istotne uściślenia do pierwszego wydania niniejszej książki. W

czterdziestą rocznicę desantu trzech piloci, którzy wylądowali przy moście na kanale, spotkali się po raz pierwszy od D-Day. Wspólnie dokonali pewnych odkryć, tak opisanych przez Howarda: „Wkrótce stało się jasne na podstawie rozmowy Bolanda (pilota szybowca nr 2) z Barkwayem (pilotem nr 3) oraz informacji zebranych przez Howarda od ocalałych żołnierzy z obydwu szybowców, że tuż

przed lądowaniem Boland dostrzegł sunący na niego szybowiec Barkwaya, co zmusiło go do ostrego zwrotu w prawo. Barkway, widząc przed sobą szybowiec Bolanda, musiał skrócić w lewo, a potem

w prawo, obracając się o dziewięćdziesiąt stopni. Wskutek tego manewru jego szybowiec przełamał się na pół, a kabina pilotów wylądowała w stawie".

Dysponując takim świadectwem, Howard doprowadził do tego, że zamieniono miejscami tablice z brązu umieszczone w punktach, w których zakończyły swój lot szybowce desantowe nr 2 i 3. Epizod ten raz jeszcze dowodzi, że historia jest żywą nauką - zawsze uczy czegoś nowego.

W dekadzie po czterdziestej rocznicy D-Day odeszli na zawsze na-stępujący weterani ataku na most Pegasus:

pilot szybowcowy Boland

pułkownik Taylor sierżant

Ollis kapral Godbolt

kapral Porter kapral

Stacey szeregowy Jackson

szeregowy O'Donnell

szeregowy Bleach generał

Nigel Poett starszy

sierżant Bailey major Fox

major Smith

Ci z żołnierzy z mostu Pegasus, którzy nadal mogą stawić się na wezwanie, wiodą szczęśliwe życie, tym bardziej satysfakcjonujące, że ludzie często rozpoznają ich jako wojennych bohaterów. Na miano to zasłużyli, choć się z nim nie obnoszą.

Zmarła Irene Parr, a Wally ożenił się powtórnie z francuską wdową, która nie mówi po angielsku. Z kolei Wally nie zna francuskiego.

Mimo to mieszkają razem w Normandii.

Jim Wallwork odszedł na emeryturę. Zimy spędza w Meksyku. W

1992 roku przyjechał do Anglii na zlot pułku pilotów szybowcowych i odwiedził wtedy Johna Howarda. Liczba weteranów uczestniczących w uroczystościach rocznicy 5/6 czerwca wzrasta co roku, podobnie jak przybywające na nie tłumy.

John Howard owdowiał. Zamieszkał w apartamencie w odnowionej wiejskiej rezydencji w Surrey. Pomimo trapiących go dolegliwości, prowadził

wyjatkowo pracowite życie. Trzy lub cztery razy w roku wybierał się na kontynent europejski, zasiadał za kierownicą samochodu, wygłaszał

wykłady dla młodych kadetów z państw członkowskich NATO oraz ze Szwecji - oraz, rzecz jasna, brał udział w dorocznych uroczystościach czerwcowych. Raz w roku latał do Stanów Zjednoczonych, gdzie dawał

wykłady i spotykał się z przyjaciółmi. Korespondował z mnóstwem osób.

Po śmierci generała Poetta i pułkownika Taylora major Howard pozostał najstarszym rangą żyjącym żołnierzem 6 Dywizji Powietrznodesantowej*. Rolę honorowego seniora pełnił z godnością. To dzięki jego energii ocalał most Pegasus i kawiarnia Gondree'ów, miał główny udział również w tym, iż most stał nadal na tym samym miejscu pół wieku później.

Epilog

Znaczenie mostu Pegasus

Jakie to wszystko miało znaczenie? Ponieważ operacja skończyła się sukcesem, nie dowiemy się tego do końca; tylko niepowodzenie akcji wykazałoby prawdziwą wartość militarną mostu Pegasus. Ocena każdej operacji wojskowej musi zawierać element spekulacji. A spekulowanie bywa sekretnym nałogiem każdego amatora historii i nie da się go uniknąć przy wydawaniu osądów przeszłości.

Przypuśćmy zatem, że major Schmidt zdołałby wysadzić mosty w powietrze. W takim wypadku, nawet gdyby żołnierze Howarda utrzymali się na obu przyczółkach, nad kanałem i na rzece, forsowanie przez wojska brytyjskie tych wodnych przeszkód stałoby się bardzo utrudnione. Howard mógł się nie zdecydować na ściągnięcie plutonu Foxa znad rzeki do Benouville, a wtedy Thornton nie znalazłby się przy skrzyżowaniu ze swoim *Piatem*. W takich okolicznościach Brytyjczycy najprawdopodobniej nie utrzymaliby się na terenach wokół Benouville i Le Port, a w rezultacie 6

Dywizja Powietrznodesantowa została odcięta na wschód od Orne.

Gdyby Thornton spuścił, a niemieckie czołgi przedarłyby się z Benouville, Niemcy z pewnością odrzuciliby powietrzny desant. W

takim wypadku 6 Dywizja po zajęciu mostów przez nieprzyjaciela znalazłaby się w izolacji. Tak jak nieco później 1 Dywizja Powietrznodesantowa pod Arnhem - unieruchomiona, wyposażona tylko w lekki sprzęt, pozbawiona uzupełnień i zaopatrzenia. Innymi słowy, bez tych mostów 6

Dywizja mogła ponieść równie dotkliwe straty, jakie poniosła 1 Dywizja.

Utrata nawet tak doborowej, elitarnej formacji jak 6 Dywizja Powietrznodesantowa raczej nie miałaby decydującego znaczenia dla wyniku normandzkiej batalii toczącej się na stukilometrowym froncie z udziałem setek tysięcy żołnierzy. Jednakże 6 Dywizji powierzono specjalną misję. Eisenhower i Montgomery liczyli na to, że generał Gale powstrzyma Niemców na lewej flance, co obarczało jego wojska odpowiedzialnością za zapobieżenie katastrofie, którą stałoby się wdarcie niemieckich jednostek pancernych na plażę - najpierw Sword, a następnie Juno, Gold i wreszcie Omaha. Gale zdołał zatrzymać niemieckie czołgi, w znacznej mierze dzięki utrzymaniu mostu Pegasus.

Odebranie Niemcom tych mostów w istotny sposób wpłynęło na przebieg normandzkiej kampanii. Kiedy Hitler zaczął przerzucać dywizje pancerne z Pas de Calais do Normandii, nie mógł już przeprowadzić skoncentrowanego, skoordynowanego kontruderzenia - z dwóch zasadniczych powodów. Po pierwsze, alianckie panowanie w powietrzu i działania francuskiego ruchu oporu spowolniły marsz tych formacji w rejon walk. Po drugie, Niemcy mogli dokonać kontr-natarcia tylko na obszarze pomiędzy rzekami Dives i Orne. Naturalny szlak uderzenia przebiegałby przez most Pegasus i następnie ku Ouisstremm oraz dalej na zachód, przez plażę. Calais leży na tyle blisko, że przeprowadzenie takiej operacji przez Niemców było teoretycznie możliwe. A jednak dlatego, że brytyjska 6 Dywizja Powietrznodesantowa utrzymała się na przyczółku i mostach, niemieckie dywizje takie jak 21 Dywizja Pancerna, 1 Dywizja Pancerna SS czy też osławiona Dywizja *Panzer Lehr* musiały objeżdżać zniszczone Caen, a potem wejść do walki na zachód od tego miasta. W

konsekwencji wchodziły do bitwy pojedynczymi batalionami i pułkami, mając przed sobą główne siły brytyjskiego desantu. W siedmiodniowej bitwie, która się rozpętała, Niemcy podejmowali wciąż nowe ataki, przez co stopniowo wykruszali najlepsze ze swoich jednostek pancernych. 6 Dywizja Powietrznodesantowa utrzymywała zajmowane pozycje, stale zmuszając Niemców do nieskutecznych natarć frontalnych.

Jakie więc znaczenie miała akcja kompanii D? Fiasko na moście Pegasus uczyniłoby D-Day o wiele bardziej krwawym dla aliantów, a zwłaszcza dla 6 Dywizji Powietrznodesantowej. Niewykluczone, iż niepowodzenie pociągnęłoby za sobą klęskę całej inwazji, z tak poważnymi konsekwencjami dla historii świata, że trudno o nich teraz myśleć.

ANEKS

Rozkazy Poetta dla Howarda

5 Bryg. Spad. 00 nr 1, dodat. A

Mapy: 1:50 000, arkusze 7/F1,7/F2;

ŚCIŚLE TAJNE

1:25 000, arkusz nr 40/16 NW

2 maja 44

Do: majora R.J. Howarda, 2 Oxf Bucks.

DANE

1. Nieprzyjaciel

(a) Statyczna obrona w rejonie operac.

Garnizon dwóch mostów w BENOUVILLE 098748 i RANVILLE 104746, złożony z ok. 50 żołnierzy, uzbrojonych w 4 lekkie działka plot, kal. prawdopodobnie 20 mm, cztery do sześciu rkaem, jeden kaem plot i prawdopodobnie dwa działka ppanc, kal. poniżej 50 mm. Betonowy schron w trakcie budowy, a mosty przygotowywane do wysadzenia. Patrz powiększenie zdj. A21.

(b) Ruchome rez. w rejonie operac.

Jeden baon 736 pgren w rejonie LEBISEY 0471-BIEVILLE 0674, z prawdopodobnie 8-12 czołgami. Baon ten ma pełny lub częściowy transport motorowy i co najmniej jedną komp. plot.

Kwat. sztabu baonu na PRAWYM skrzydle pułku 736 pgren, na obszarze 065772. Co najmniej jeden patrol w tym rejonie pełni funkcję patrolu bojowego, gotowego do przeprowadzenia natychmiastowego zwiadu.

(c) Stan gotowości.

Znaczna skala niezbędnych przygotowań do inwazji na kontynent, znajomość faz księżyca oraz wpływów decydują o wysokim stanie gotowości NIEMIECKIEJ obrony. Załoga mostów może pozostawać w stanie gotowości bojowej, a ładunki do wysadzenia mostu znajdować się na miejscach.

(d) Szczegółowe inf. o nieprzyjacielskiej obr. i rez. dostępne na żądanie z dywiz. akt wywiad., wraz ze zdj. lotn. i makietami.

2. Siły własne

(a) 5 Bryg. Spad. dokonuje zrzutu bezpośrednio na PN-WSCH

od RANVILLE o godz. H minus 4 godz. 30 min. i wyrusza, by zająć poz. obr. wokół dwóch mostów.

(b) 3 Bryg. Spad. dokonuje zrzutu o godz. H minus 4 godz.

30 min. i wiąże npla na zalesionych wzgórzach na POŁU

DNIE od LE MESNIL 1472.

(c) 6 Bryg. Pow. Des. ląduje na PN-WSCH od RANVILLE i na ZACHÓD od BENOUVILLE o godz. H plus 12 godzin i prze chodzi na poz. obr. w rejonie STE HONORINE LA CHAR-DONNERETTE 0971-ESCOVILLE 1271.

(d) 3 Bryg. dyw. ląduje na ZACHÓD od OUISTREHAM 1079

o godz. H z zadaniem uderzenia na CAEN.

3. Teren

Patrz dostępne mapy, zdj. lotn. i makiety.

ZAMIARY

4. Pańskie zadanie polega na uchwyceniu nie zniszczonych mostów na rz. ORNE oraz kanale w BENOUVILLE 098748 i RANVILLE

104746, i utrzymaniu ich do nadejścia z odsieczą 7 baonu spad.

Jeżeli mosty zostaną wysadzone, zorganizuje pan przeprawy pon tonowe przy obu przeszkodach wodnych w możliwie najkrótszym czasie.

METODA

5. Skład sił

(a) d-ca: mjr R.J. HOWARD, 2 OXF BUCKS

(b) wojsko: komp. D 2 Oxf Bukcs, bez wsparcia kaem i moźdz.

kal. 76 mm.

dwa plut. komp. B z 2 OXF BUCKS

pododdz. 20 saperów z 249 komp. (pow.-des.)

pododdz. 1 skrzydła p pilotów szybowcowych

6. Plan lotu

(a) 6 szybowców *Horsa*.

(b) Str. ład. X: trójkątne pole 099745. 3 szybowce.

Str. ład. Y: prostokątne pole 104747. 3 szybowce.

(c) Czas akcji. Pierwsze lądowanie godz. H minus 5 godz.

7. Ogól. zadanie

(a) Zdobycie mostów nagłym szturmem jest głównym celem oper., a jej sukces zależy przede wszystkim od wykorzystania zaskoczenia, szybkości i od energicznych działań.

(b) O ile większość pańskich sił wyląduje cało i bezpiecznie, nie powinien pan mieć większych trudności z pokonaniem rozpoznanej obrony mostów.

(c) Zasadnicza trudność polega na odparciu nieprzyjacielskich kontrataków na mosty, aż do nadejścia odsieczy.

8. Możliwy nieprzyjacielski kontratak

(a) Należy się spodziewać kontrataku o każdej porze po godz.

H minus 4.

(b) Ten kontratak może zostać przeprowadzony siłami gr. bo jowej złożonej z jednej komp. piech. na ciężarówkach, do 8 czołgów i jednego lub dwóch dział, zamontowanych na ciężarówkach, albo też tylko przez komp. piech. na ciężarówkach lub bez.

(c) Najbardziej prawdopodobna marszruta tych sił to jedna z dróg prowadząca z ZACHODU lub PD-ZACH, nie można jednak wykluczyć marszu na przełaj.

9. Org. poz. obr.

Utrzymanie tych przepraw ma kluczowe znaczenie i w tym celu, oprócz pilnowania samych mostów, umocnicie się na niewielkich przyczółkach na ZACHODNIM brzegu. Obr. bezpośrednio na mostach i na ZACHODNIM brzegu kanału należy utrzymać za wszelką cenę.

10. Patrole

(a) Będziecie utrudniać i opóźniać rozwinięcie nieprzyjacielskiego kontrataku, dokonanego siłami 736 pgrn., poprzez wysyłanie patroli bojowych osłaniających wszystkie lądowe podejścia od ZACHODU. Patrole te będą miały charakter ruchomy i zaczepny.

(b) Do tej roli można przeznaczyć do jednej trzeciej żołnierzy w pana dyspozycji. Pozostałe dwie trzecie należy przeznaczyć do obr. statycznej i bezpośrednich kontrataków.

11. Wykorzyst. oddz. inż.

(a) Przydzielili pan swoim saperom wyłącznie poniższe zadania, uszeregowane pod względem ważności:

Unieszkodliwienie mechanizmów detonacyjnych.

Usunięcie ładunków wybuchowych z komór na mostach.

Zorganizowanie przepraw pontonowych.

(b) Podczas szczegółowego planowania oper. będzie się pan konsultował z szefostwem wojsk inż., wyznaczonym przez nie d-cą oddz. inż. lub też z żołnierzami wojsk inż., pozostającymi pod pańską komendą.

12. Odsiecz

Oceniam, że odsiecz NIE nadejdzie do godz. H minus 3 godz., tj., nie wcześniej niż w dwie godz. po wyład. pierwszych pańskich oddz. Jedna komp. 7 baonu spad. zostanie skierowana panu do pomocy w możliwie najkrótszym czasie po wyład. tegoż baonu.

Powinna dotrzeć do pańskich poz. do godz. H minus 3 g. 30 min. i pozostanie pod pana komendą do czasu nadejścia d-ctwa. oper. 7

baonu spad. (patrz punkt 13(b)).

ŁĄCZNOŚĆ

13. (a) Wyznaczy pan jednego z ofic. lub starszych stopniem podofic.

do nawiązania kontaktu z d-twem operac. 7 baonu spad. w po bliżu rej. koncentr. baonu o godz. H minus 4 g. 30 min. w celu przekazania następujących inform.:

(I)

Czy mosty są zabezpieczone?

(II)

Czy nie uległy zniszczeniu?

(III) Czy znajduje się pan w styczności bojowej z nplem, a jeśli tak, to z jakimi jego siłami?

(IV) Stan zaimprovizowanych przepraw, w razie wysadzenia mostów.

(V)

Gdzie znajduje się stan. dowodz. pańskiej komp.?

Ponadto da pan, ok. godz. H minus 4 g. 15 min., umówiony wcześniej sygnał z mostów, oznaczający, że zostały one przez was opanowane.

(b) D-two operac. 7 baonu spad. przejmie komendę na przyczółkach i nad pańskimi siłami po swoim przybyciu na WSCHODNI most.

RÓŻNE

14. Rozmieszczenie desantu w szybowcach

(a) Ogólnie:

Szybowce 1-4: Jeden pluton strzelecki bez transp. koł.; 5 saperów.

Szybowce 5-6: Jeden pluton strzelecki bez transp. koł.; 5 ludzi z d-twa komp.

(b) Szczegółowy rozkład załadunku opracuje pan z ofic. saperów i ofic. zaopatrz, brygady.

15. Cel misji

Zadanie powierzone pańskim siłom ma charakter priorytetowy.

Zapotrzebowanie na specjalny ekwipunek i wykorzystanie urządzeń szkoleniowych należy zgłaszać przez d-two pańskiego baonu d-twu 6

Bryg. Pow. Des. Aż do odwołania wszelkie rozkazy i in-struk. dla pana, dotyczące tego zadania, będzie pan otrzymywał od d-twa 6

Bryg. Pow. Des. lub za jego pośrednictwem.

D-two obu brygad udzieli panu wszelkiej niezbędnej pomocy.

NIGEL POETT

Brygadier

POCZTA POLOWA ANGLIA

D-ca 5 Bryg. Spad.

Podziękowania

Chciałbym podziękować wszystkim osobom, z którymi rozmawiałem podczas pisania tej książki - za ich gościnność i pomoc. Zapraszano mnie do domów, częstowano posiłkiem i/lub drinkiem, nierzadko proponując nocleg. W trakcie przeprowadzania ponad dwudziestu wywiadów w Anglii zwiedziłem znaczne połacie tego kraju, co było miłą przygodą i poznałem wielu Brytyjczyków, co okazało się fascynujące. Spotykałem się z sędziwymi

emerytami,

świetnie

prosperującymi

przedsiębiorcami,

doradcami prawnymi i agentami firm - w luksusowych wiejskich rezydencjach,

mieszkaniach

londyńskiego

East

Endu,

modnych

apartamentach West Endu. I przekonałem się, że weterani kompanii D to przedstawiciele całej brytyjskiej społeczności, wszystkie jej warstwy miały swój udział w wojennym wysiłku tego kraju.

Nigdy nie zapomnę przyjaźni, którą ci ludzie okazali mi - nieznanemu Jankesowi, zajmującego się ich przeszłością. Możliwość poznania ich i wysłuchania ich opowieści potraktowałem jako wielki przywilej i zarazem przyjemność.

Adam Sisman, mój wydawca, wykazał się entuzjazmem, energią i wyjątkową przedsiębiorczością, z czego z wdzięcznością i pożytkiem skorzystałem.

Chciałbym także podziękować pracownikom Uniwersytetu w Nowym Orleanie oraz radzie nadzorczej LSU. Jesienią 1983 roku rada przyznała mi urlop naukowy, dzięki któremu mogłem przez pewien okres mieszkać wraz z żoną w Londynie oraz podróżować po kontynencie europejskim i Kanadzie, przeprowadzając wywiady. Bez tego

urlopu nie napisałbym niniejszej książki, za co składam gorące podziękowania wymienionym instytucjom.

Moja żona, Moira Buckley Ambrose, znosiła wszelkie trudy z typową dla siebie zimną krwią. Ciężko pracowała ze mną i dla mnie; bez jej pomocy również nie mógłbym napisać tej książki.

Źródła

Oto osoby, z którymi rozmawiałem, gromadząc wykorzystane w książ-

ce informacje (swoich rozmówców wymieniam zgodnie z kolejnością przeprowadzonych wywiadów): Jim Wallwork, John Howard, Wally Parr, Dennis Fox, Richard Todd, Nigel Poett, Nigel Taylor, M. Thornton, Oliver Boland, C. Hooper, E. Tappenden, Henry (Heinz) Hickman oraz Billy Gray (obaj udzielili mi wspólnego wywiadu), David Wood, John Vaughan, R. Ambrose, Jack Bailey, Joy Howard, Irenę Parr, R. Smith, H. Sweeney, E. O'Donnell, Theresa Gondree i Hans von Luck.

Informacje na temat szeregowego Helmuta Romera zaczerpną-

łem z jego listu wysłanego z obozu jenieckiego do Johna Howarda pod koniec 1945 roku, kiedy przeczytał w jednej z gazet artykuł o szturmie na most. Historię szeregowego Bąka (Boncka) usłyszałem od Wally'ego Parra. O majorze Schmidcie wspominają różne źródła brytyjskie, niemieckie i francuskie. Georges Gondree pozostawił pisemną relację o swojej działalności w czasie wojny. Porucznik Werner Kortenhaus opisał swoje przeżycia w ośmiostronicowym liście, który od niego otrzymałem. Pragnę podziękować Scotty'emu Hirstowi za skontaktowanie mnie z Kortenhausem.

John Howard wypożyczył mi uprzejmie wszystkie swoje notatki, dzienniki, fotografie, kopie rozkazów i raportów wywiadowczych. Jim Wallwork przekazał mi kopię raportu o misji „Deadstick”.

Przeczytałem wszystkie klasyczne książki o inwazji w Normandii.

Najbardziej pomocne były: *Drop Zone Normandy* Napiera Crookenda; *Call to Arms* oraz *The 6th Airborne Division in Normandy* generała

Richarda Gale'a; *By Air to Battle*, oficjalna relacja z walk brytyjskich dywizji powietrznodesantowych; *Red Berets into Normandy* sir Huw Wheldona; *The Glider Gang* Miltona Danka; *The Red Beret* Hilla-ry'ego Saundersa; *British Airborne Troops* Barry'ego Gregory'ego; *Fighting Gliders of World War II* Jamesa Mrazeka; *Dawn of D-Day* Davida Howartha; *The Longest Day* Corneliusa Ryana (wyd. poi.

Najdłuższy dzień: 6 czerwca 1944; Warszawa, 1987) oraz *Out of the Sky* Michaela Hickeya.

Table of Contents

[Rozpoczni](#)